ROZMOWA „DO RZECZY"

Ardanowski ostro o PiS. I o nowej partii, którą buduje

W tym wydaniu tygodnika – karta z poparciem referendum w sprawie Zielonego Ładu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 28/586 8–14 LIPCA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

KRYTYKA STROJÓW, FEJKI – JAK LEWICA NIEUSTANNIE ATAKUJE PIERWSZĄ DAMĘ

Bandera wiecznie żywy – spory ukraińskich nacjonalistów

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Nakład: 51 500 egzemplarzy

RZĄDY KULTUROWYCH BARBARZYŃCÓW

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SEKRETY POTĘGI HUSARII

Szarże nie do powstrzymania – Wyszkolenie, nieprawdopodobnie wysokie morale i doskonałe uzbrojenie dawały husarzom olbrzymią przewagę nad wrogami

Towarzyszy wzloty i kłopoty – Jacek Komuda o dniu powszednim skrzydlatego jeźdźcy

Czarna seria Mosadu – Incydent w Lillehammer uruchomił kaskadę fatalnych dla Izraela zdarzeń

Afgańska klęska imperium brytyjskiego – Ekspedycja Macnaghtena była największą porażką poniesioną w XIX w. przez imperium brytyjskie. W całej sprawie mocno namieszał młody Polak

Kaźń cichociemnego – Bolesław Kontrym przed wojną bezpardonowo bronił polskiej granicy przed Sowietami. Po aresztowaniu przez UB ślad po „Żmudzinie" urywa się na blisko cztery lata

Cesarz spod Złotej Bramy – Ostatni władca Bizancjum osobiście bronił murów Konstantynopola

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 52e0f83c74

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zemsta i jej owoce

Nie jestem chyba w stanie wymienić wszystkich instytucji państwa polskiego, które zajmują się obecnie tropieniem, śledzeniem, oskarżaniem i (w ostateczności) eliminowaniem opozycji. W Sejmie działają trzy osobne komisje śledcze plus bliżej nieokreślony specjalny zespół pod przywództwem mecenasa Romana Giertycha. Komisje mają wykazać naruszenie prawa przez PiS w sprawach konkretnych, zespół mecenasa Giertycha ma większe ambicje i zajmuje się PiS jako takim. Jednocześnie mecenas, który jest podejrzanym w sprawie domniemanego wyprowadzenia ze spółki Polnord ok. 92 mln zł (śledztwo się nadal toczy), regularnie spotyka się z prokuratorem generalnym Adamem Bodnarem, by wspólnie radzić nad… przywróceniem praworządności.

Do tego trzeba dorzucić zespoły prokuratorskie, powoływane ad hoc przez ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, które mają udowodnić, że istniała w Polsce „zorganizowana grupa przestępcza", obejmująca całość kierownictwa Ministerstwa Sprawiedliwości na czele ze Zbigniewem Ziobrą. Z tego też powodu prokuratura domaga się odebrania immunitetów posłom Suwerennej Polski i chce ich, przynajmniej tak zapowiada, aresztować. Dodatkowy zespół prokuratorów ma się zająć dawno już wydawało się wyjaśnioną sprawą śmierci Barbary Blidy. Wniosek jest jeden: całe polskie państwo walczy obecnie z opozycją. Trzeba przyznać, że są to działania niezwykłe i całkowicie ponadstandardowe. W istocie oznaczają one drastyczne i rażące złamanie reguł państwa demokratycznego.

Po pierwsze – i co najważniejsze – tego rodzaju akcja jest wymierzona w posłów, polityków lub instytucje związane z opozycją, a więc z natury rzeczy w systemie demokratycznym w siłę, która powinna być właśnie chroniona. Bez prawdziwej opozycji nie ma demokracji. Przy czym, co istotne, nie chodzi o bezkarność poszczególnych opozycyjnych polityków, ta im oczywiście nie przysługuje, ale o świadomy i zadeklarowany cel obecnie rządzących, którym jest wyrugowanie opozycji jako takiej przy pomocy metod państwa policyjnego. Groźby aresztowań, przesłuchania, rewizje itd., itp., którymi posługują się obecnie rządzący wobec swoich oponentów, coraz bardziej przypominają działania autorytarnych reżimów. Użycie przeciw politykom reprezentującym grubo ponad 30 proc. społeczeństwa prokuratury, służb i sędziów (bo tak trzeba rozumieć dokonywane przez ministra Bodnara czystki) jest czymś niebywałym. Nie ma podobnego przykładu w żadnym państwie europejskim w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Po drugie, muszą szokować zarzuty, którymi posługują się rządzący. Określenie „zorganizowana grupa przestępcza" odnosi się zwykle do mafii. Jeśli wziąć za dobrą monetę to, co obecni prokuratorzy zawarli we wstępnych aktach oskarżeniach, to wyszłoby na to, że Polską rządziła zbrodnicza, przestępcza banda mafiosów. Oznacza to zatem, że przez osiem lat (a przynajmniej przez kilka ostatnich) nie było różnicy między pospolitymi przestępcami – mordercami, gwałcicielami i złodziejami – a mającą służyć obronie społeczeństwa prokuraturą, która była polską wersją cosa nostry. Prowadzić to musi do przekonania, że Polska była państwem zbójeckim. Jak to możliwe, że z tego przestępczego systemu władzy wyłoniły się wolne wybory i obecne „demokratyczne" władze, trudno powiedzieć. Jedno jest wszakże pewne: występując z takimi oskarżeniami, Donald Tusk i jego pomagierzy niszczą autorytet państwa i przyczyniają się jedynie do poczucia bezkarności u wszystkich realnych przestępców. Ogłaszają przecież, że ani prawa, ani sprawiedliwości nie było i – co musi być tego konsekwencją, a czego bodnarowcy nie rozumieją (albo z powodu głupoty zrozumieć nie chcą) – deklarują, że tego prawa i sprawiedliwości nie ma też obecnie. Zostały one zastąpione przez odwet, zemstę i odgrywanie się.

Wiem, że tego rodzaju retoryką posługiwało się wielu propagandystów. Dla nich PiS był mafią i reżimem. Jednak czym innym jest w systemie demokratycznym teatralizacja debaty i emocjonalna retoryka, a czym innym działanie organów państwa. Gdy te ostatnie, jak to się dzieje obecnie, zachowują się, jakby sterowali nimi podnieceni aktywiści z Czerskiej, demokracja zostaje zastąpiona siłą. Znikają dyskusja i wymiana argumentów. Tylko do czego to prowadzi? Wystarczy wahnięcie nastrojów, a wszyscy ci, którzy obecnie śledzą i oskarżają – prokuratorzy Bodnar, Woźniak, Korneluk czy Kowalska – sami znajdą się wśród oskarżonych. Jeśli ich oponenci są „zorganizowaną grupą przestępczą", to dokładnie taką samą „zorganizowaną grupą przestępczą" są członkowie obecnych zespołów prokuratorskich.

Jest czymś wręcz szokującym, że wszystkie te posunięcia, które prędzej czy później muszą wywołać chaos, dokonywane są przez tych, którzy jednocześnie opowiadają o zewnętrznym zagrożeniu dla państwa. Jeśli w nie wierzą, to okazałoby się, że nawet władze sanacyjne miały więcej oleju w głowie w 1939 r. niż ekipa Tuska. Kolejne akty zemsty obecnej władzy doprowadzą przecież do przeniesienia debaty z Sejmu na ulicę i – co za tym idzie – uruchomienia bardzo niebezpiecznego mechanizmu, który polega na tym, że przymus państwa będzie musiał się liczyć z rosnącym siłowym oporem społecznym. A może o to chodzi? Może chodzi o zamianę polskiej demokracji we wstrząsaną wojną domową afrykańską republikę bananową? ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

TEMAT TYGODNIA

16 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ZAPRZAŃCY PODNOSZĄ ŁBY
Komu przeszkadza ojczyzna

20 PIOTR SEMKA
NAJDŁUŻSZA (HISTORYCZNA) WOJNA DZISIEJSZEJ POLSKI

KRAJ

24 ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM
CZAS KACZYŃSKIEGO DOBIEGŁ KOŃCA
PiS to projekt schyłkowy

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
UPOKORZENIE ZAMIAST WSPARCIA

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
STROJEM W PIERWSZĄ DAMĘ

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
WYCIECZKI DO PRL

KULTURA

34 WIESŁAW CHEŁMINIAK
TRZECI MUSZKIETER
Frans Hals – mistrz z Haarlemu

38 PIOTR GOCIEK
GLINIARZ NA EMERYTURZE

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 JAN FIEDORCZUK
SZCZELNY SYSTEM TUSKA
Układ domknie się w prezydenckich wyborach

50 ŁUKASZ WARZECHA
NIE CHCEMY JEŹDZIĆ WOLNIEJ

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
AMERYKAŃSKA FASCYNACJA PRAWOSŁAWIEM

HISTORIA

54 RAFAŁ ŁATKA
INFORMATOR „CARITAS"
Podporządkowany komunistom

ŚWIAT

58 JACEK PRZYBYLSKI
POŻEGNANIE Z BIDENEM?
Czy Harris stanie do walki z Trumpem

61 WITOLD REPETOWICZ
ROSJA NA CELOWNIKU DŻIHADU

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
BANDERA WIECZNIE ŻYWY

66 ROZMOWA Z DR. KRZYSZTOFEM IWANKIEM
MODI LICZY NA CUD

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
UNIJNY DŁUG WIDMO
Rachunek dla przyszłych pokoleń

75
REFERENDUM W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU
Karta do zbierania podpisów

WAKACJE Z „DO RZECZY"

76 JACEK PAŁKIEWICZ
DOKĄD NA URLOP?
Podróże z Pałkiewiczem

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (14), KOMUDA (45), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (74), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 52e0f83c74

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Donald Tusk - fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER, Barbara Nowacka - fot. Piotr Molęcki/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 51 500 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Porno dla dziewczynek", Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, „DRz" 26/2024

Z przerażeniem czytałam artykuł pani redaktor o treściach pornograficznych zaszytych w książkach tworzonych dla kilkunastoletnich dziewczynek. Moje dzieci na szczęście nie sięgają po tego rodzaju „literaturę", ale po lekturze artykułu rozmawiałam z moją 13-letnią córką. Podpytywałam o niektóre tytuły, przed którymi przestrzegał artykuł. I okazuje się, że w szkole córki (a nie mieszkamy w Warszawie, nawet nie w mieście wojewódzkim, ale dużo mniejszym) wiele dziewczynek sięga po tego typu literaturę. Moja córka jej nie czyta, ale i tak ma z nią kontakt – poprzez rozmowy z koleżankami, które z wypiekami na twarzach wymieniają się książkami i opowiadają o nich. Nie rozumiem, gdzie w tym wszystkim są rodzice. Może cieszą się, widząc dziecko z książką zamiast z telefonem. Ale powinniśmy zwracać uwagę na to, jakie to są książki.

Joanna

„Słuchajmy językoznawców", Aleksandra Niewiara, „DRz" nr 21/2024

Droga Redakcjo,
w dyskusji o śląskiej gwarze, która ma być nazywana językiem, artykuł „Słuchajmy językoznawców" w tygodniku „Do Rzeczy" był jednym z najbardziej przekonujących głosów rozsądku. Bo oparty na głębokiej wiedzy, nie na emocjach. Jestem pod wrażeniem wiedzy Autorki artykułu. Szkoda, że w debacie publicznej takie głosy są na marginesie dyskusji, a w głównym nurcie płyną wypowiedzi emocjonalne, które właśnie emocje i politykę stawiają ponad zdrowy rozsądek, wiedzę i naukę.

Wierzę, że kropla drąży skałę. Mimo że emocje i polityka biorą górę, to musimy robić miejsce na głos rozsądku. Nawet jeśli wydaje nam się, że jest mało słyszalny. Dlatego dziękuję za ten tekst.

Joanna, Łódź

eprasa.pl 52e0f83c74

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dlaczego Episkopat milczy?

List ujawniający brutalne metody traktowania ks. Michała Olszewskiego wywołał spore poruszenie. Jeden z moich znajomych, który ma za sobą internowanie 13 grudnia 1981 r., zadzwonił do mnie poruszony. Przypomniał mi, jak ogromne znaczenie dla niego samego – wówczas 22-letniego studenta, działacza NZS – miała wizyta w jego miejscu odosobnienia wysłannika kurii gnieźnieńskiej. Ksiądz, który ich odwiedził, bardzo wyraźnie zastrzegał, że nie chce wchodzić w ocenę przepisów prawnych, na mocy których zostali uwięzieni. Podkreślał, że jest wśród internowanych, aby samemu wyrobić sobie opinię, w jakich warunkach są przetrzymywani, czy są bici, czy wreszcie władze zapewniają im godziwe wyżywienie.

Jak wspomina mój znajomy, więźniowie doskonale rozumieli te zastrzeżenia. Uznawali, że taka ostrożność w kwestiach politycznych jest jak najbardziej uzasadniona. A jednocześnie ta wizyta niezwykle mocno podbudowała ich poczucie pewności siebie. Wszystkie te wspomnienia mój znajomy spuentował pytaniem: „Dlaczego, skoro wtedy przedstawiciel kurii mógł nas odwiedzić, teraz nic nie słychać o żadnej wizycie wysłannika Episkopatu Polski u ks. Michała?”.

Dlaczego ktoś z Episkopatu nie chce wyrobić sobie opinii na temat sytuacji uwięzionego kapłana w bezpośredniej rozmowie? Wydawałoby się, że taka forma kontaktu jest czymś jak najbardziej zrozumiałym. Oczywiście rozumiem, że wielu biskupów nie jest przeświadczonych, czy zna wszystkie okoliczności sprawy. Mogą się obawiać tego, by sprawa ta nie poszła na konto całego Kościoła w Polsce. Ale od takiej ostrożności do zaniechania zwykłej wizyty z pytaniem o warunki aresztu jest długa droga.

Zgromadzenie Księży Najświętszego Serca Jezusowego – macierzysty zakon o. Olszewskiego – wydrukowało 2 lipca komunikat zatytułowany „Murem za księdzem Michałem”. Napisali w nim: „Wiemy, że wielu z was chce zrobić coś więcej, zorganizować manifestację, zbierać podpisy czy nagłaśniać sprawę w mediach. Choć my jako Profeto [inicjatywa ks. Olszewskiego, która budzi wątpliwości prokuratury – przyp. P.S.] nie możemy angażować się w takie działania ze względu na naszą rolę w postępowaniu, doceniamy każdy gest”.

Oświadczenie nie rozstrzyga, ale jest jakimś potwierdzeniem opinii tych, którzy widzą w aresztowaniu ks. Olszewskiego coś w rodzaju politycznej „pokazówy”. Czy choćby takie oświadczenie nie powinno skłonić któregoś z biskupów do osobistego wyrobienia sobie opinii o sprawie?

Jeszcze jeden niepokojący fragment listu. Ksiądz Olszewski opisuje, że trudne do wytrzymania przez pierwszy tydzień aresztu były okrzyki więźniów: „Jeb.. ks. Michała”. Nie uświadamiamy sobie często, jakie zatrute plony wydaje u ludzi z marginesu społecznego ziarno wrogości wobec Kościoła zasiane przez media. To stwarza sytuację dodatkowego zagrożenia trzymanego w areszcie kapłana. Gdy piszę te słowa, mijają dwa dni od upublicznienia listu, a nikt z Episkopatu ani żaden inny biskup nie odnieśli się do sprawy. Skąd tak dalece posunięta obojętność? ©℗

FOT. NBP

PREZES NBP: OBNIŻKI STÓP NAJWCZEŚNIEJ W 2026 R.

Pod koniec obecnego roku inflacja może się zbliżyć do 5 proc. w skali roku, a na początku 2025 r. może jeszcze trochę wzrosnąć – oznajmił na konferencji w ubiegłym tygodniu prezes Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński. Zdaniem szefa NBP inflacja powinna wrócić do celu (2,5 proc. +/– 1 punkt procentowy) w roku 2026. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

REPUBLIKA

Telewizja Republika przedstawia komiks historyczny „Monte Cassino" oparty na relacjach walczących w bitwie żołnierzy generała Andersa. Wydanie zbiorcze zawiera tom pierwszy, drugi i trzeci trylogii.

ZADZWOŃ I ZAMÓW
22 280 99 39 wew.4

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 52e0f83c74

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Bodnar naprostowany

Jeszcze niedawno (24 czerwca, w TVN24) deklarował Adam Bodnar, że „nie wyobraża sobie" użycia siły w sporze z KRS, do czego wzywa go grupa „wściekłych" sędziów z „Iustycji". Zacytujmy dokładnie te wiekopomne słowa: „Ma pójść policja do KRS, wymienić zamki, zablokować wejście? W stosunku do jednego z organów państwa? Ja sobie nie wyobrażam takiego scenariusza, że w taki sposób mielibyśmy rozwiązywać problemy". Taaa…

Co się stało w minionym tygodniu? Najbardziej prawdopodobne, że „Donald znowu się wściekł". A Donald jak się wścieka, to wiadomo co, bo sam z dumą opowiadał o tym swym wyznawcom na warszawskim wiecu: wzywa ministrów i ruga tak, że gdybyście (sugerował wiecowej publice) słyszeli, jaki jestem wtedy twardziel, to bylibyście ze mnie jeszcze bardziej dumni. Adam Bodnar na twardziela nie wygląda, więc łatwo uwierzyć, że porcja opeeru od Tuska wystarczyłaby mu gruntowanie poszerzyć wyobraźnię. Szczerze mówiąc, Bodnar na twardziela do tego stopnia nie wygląda, że nawet nie trzeba by do takiego opeeru Tuska, wystarczyliby Giertych albo sędzia Żurek, bo to podobno po akta jego dyscyplinarki przysłał Bodnar do KRS swoich osiłków z łomem.

Kolejne bezprawie tego ministra i rządu zostało skomentowane już wielokrotnie, i ze wszystkim w tych komentarzach się zgadzam, ale jednego mi brakuje: konstatacji, że w całej tej politycznej bandyterce Bodnar i jego quasi-prokuratorzy wydają się bezradni i głupkowato zagubieni. Wściekli sędziowie żądają zemsty za próby ich dyscyplinowania, „czegoś wreszcie" domagają się „silni razem", na „coś" naciska Giertych, a zwłaszcza Tusk żąda, żeby przykryć w mediach gospodarską wizytę kanclerza, która zamiast sukcesem okazała się wtopą. Naciskany i rugany minister każe więc zrobić coś brutalnego i spektakularnego, gdzieś się włamać, coś skonfiskować, ale nie dlatego, żeby wiedział, czego szuka – w nadziei, że coś tam będzie, może jakiś list Kaczyńskiego, może jakieś pokwitowanie, cokolwiek, co się da nagłośnić.

Jak mówią Rosjanie: i śmieszno, i straszno… ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Rząd bez zobowiązań

Donald Tusk chce zgłosić w Sejmie rządowy projekt ustawy o „związkach partnerskich". Prawny status małżeństwa – instytucji i wzoru społecznego zarazem – ma zostać podważony. Konstytucja (w art. 18) ciągle uznaje małżeństwo, rodzinę i rodzicielstwo za nienaruszalne wartości, ale KonstytucJa Tuska uznaje je jedynie za prywatne upodobania, które mogą sobie po cichu odejść do lamusa historii, tak jak sama Deklaracja Ideowa PO.

To, czy młodzi ludzie – mający albo mogący mieć dzieci – będą wobec siebie przyjmowali prawne zobowiązania albo ich nie przyjmowali, jest (w liberalnym państwie) kwestią zupełnie obojętną. Polska przechodzi na stronę antyrodzinnej rewolucji, bo – jak mówi premier – ma być „jak w Belgii czy w innych państwach europejskich". Czas więc wypełnić kolejną powinność dostosowawczą wobec Unii Europejskiej i Tusk „zaręcza", że (!) „Koalicja Obywatelska będzie w tej sprawie zdyscyplinowana". Dziś więc zmienią prawo cywilne, jutro dostosują do tej zmiany edukację publiczną, a pojutrze – prawo karne, dla tych, którzy te „prawa i zdobycze społeczne" będą kwestionować.

PiS przez całe lata uznawał prawo do życia i prawa rodziny za kwestie „światopoglądowe". I też „zaręczał", że w tych sprawach partia nie będzie prowadzić żadnej polityki. Uparcie przekonywał swych działaczy i zwolenników, że sprawy te – jako „światopoglądowe" – nie mają charakteru politycznego, więc nie angażują powinności politycznych. Wystarczy jedynie wiedzieć, że są ważne dla wyborców, którym trzeba od czasu do czasu, w kampaniach czy w głosowaniach, wysłać sygnał, że „myślimy tak samo". Ale od samego myślenia, nawet „tak samo", świat się nie zmienia.

Taka kiereńszczyzna kończy się w historii zawsze tak samo. Ci, którzy nie rozumieją, że zasady wymagają czynnej polityki, muszą przegrać z tymi, którzy rozumieją, że bez czynnej polityki zniszczyć tych zasad się nie da. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zwycięskim marszu prawicy

Gdy piszę, Europa z napięciem czeka na drugą turę francuskich wyborów. W „Corriere della Sera" ukazał się tekst czołowego komentatora dziennika Aldo Cazzullo, który prorokuje, co się stanie z Unią Europejską, jeśli lepeniści dorwą się do władzy.

„To będzie koniec Unii. Koniec wyższości prawa unijnego nad krajowym, euroobligacji, unijnej armii, KPO i solidarności z Ukrainą". Zamyka wywód wyświechtaną sentencją: „Gdy rozum śpi, rodzą się demony". Ma oczywiście na myśli upiorną prawicę.

Zostawmy demony na boku. Porozmawiajmy o tym, kto zasnął i je wywołał. Sprawca jest jeden: szaleństwo i postępujące wyobcowanie nie tylko lewaków, lecz także liberalnej lewicy. Nie tylko we Włoszech lewica porzuciła najsłabszych, czyli swoją klientelę wyborczą, na rzecz wymuskanych intelektualistów, zbuntowanej młodzieży, artystycznych elit i wszelkich mniejszości. W efekcie w Italii blisko 60 proc. robotników i ludzi biednych głosuje na prawicę.

We Włoszech lewica proponuje wyborcom walkę z nieistniejącym faszyzmem, szaleństwo ekologiczne, śmierć przemysłu samochodowego, kult św. Migranta i ideologiczny terror: skoro nie myślisz jak my, to jesteś wykluczony. Tak dzieje się na uniwersytetach, w środowiskach naukowych i w większości mediów. Postępowcy serwują szalone teorie gender i jeszcze bardziej szaloną kulturę „woke", szczególnie w krajach anglosaskich. Nie mówiąc o histerii propalestyńskiej. Ciężkostrawne dania podlane są ostrym sosem ogłupiającej poprawności politycznej.

Co więcej, towarzyszą temu pomnikowa megalomania i hipokryzja. Europejski lewicowy intelektualista nie tylko gardzi myślącymi inaczej. Uważa, że jest darem Pana Boga dla ludzkości. Zapominając o świętych regułach politpopu, lży swoich politycznych adwersarzy, a przy okazji wszystkich, którzy na nich głosują. Ma ich za idiotów.

Niestety, totalne zideologizowanie nie pozwala postępowcom na trzeźwy ogląd rzeczywistości. Teraz protestują przeciwko... wynikowi francuskich wyborów. Kserkses I Wielki kazał chłostać morze. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 52e0f83c74

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

OSTRA JAZDA

Celebrytów zasady panujące w świecie zwykłych śmiertelników nie obowiązują. Wybacza się im szybciej i więcej, a oni o tym wiedzą. Jedyna nauczka, która faktycznie do nich trafia, to odcięcie od kasy. Mowa o modelce i prezenterce Klaudii El Dursi. Do sieci trafiło nagranie, na którym zarejestrowano, jak należące do niej auto pędzi pasem awaryjnym, i to podczas sporego ruchu na drodze. Klaudia milczała i milczała, w końcu jednak musiała coś powiedzieć. Dlaczego? Ano dlatego, że zaczęła tracić kontrakty reklamowe. Jeden z nich to kontrakt ze znaną marką samochodową (ot, chichot losu). Gdy już nie dało się udawać, że tematu nie ma, gwiazda opublikowała oświadczenie. – Internet obiegła informacja, że prowadziłam samochód, który wyprzedzał pasem awaryjnym na drodze szybkiego ruchu, i czuję się w obowiązku, żeby się do tego odnieść. Tak, to ja prowadziłam ten samochód, bo byłam za kierownicą, i tak, to ja złamałam przepisy ruchu drogowego – przyznała prowadząca „Hotel Paradise". – Ta ogromna fala krytyki, która na mnie spadła, choć ogromnie bolesna, jest uzasadniona. Chciałam bardzo przeprosić za moje nierozsądne, brawurowe zachowanie. Jest mi ogromnie wstyd, jest mi przykro. Takie zachowanie absolutnie nie powinno mieć miejsca. Okazałam brak szacunku względem innych kierowców, za co jeszcze raz ogromnie przepraszam – zaznaczyła modelka. Dalej El Dursi zapewniła, że weźmie na siebie wszystkie konsekwencje swojego zachowania. – Nie będę się próbowała tłumaczyć, bo nie ma wytłumaczenia na takie zachowanie. Żaden pośpiech tego nie usprawiedliwia, żadna chęć sprostania tym wszystkim zadaniom dookoła. Jeszcze raz przepraszam – dodała. Ciekawe, czy celebrytka bardziej przestraszyła się utraty wszystkich zleceń reklamowych czy policji, która poinformowała, że zajmuje się sprawą.

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/DDTVN/EAST NEWS

NIC SIĘ NIE STAŁO!

Ta historia nie byłaby jednak kompletna, gdyby El Dursi nie wzięli w obronę celebryccy znajomi. I tak Sylwia Bomba znana ze stacji TTV stwierdziła, że skoro Klaudia przeprosiła, to wszystko OK i o co wam chodzi. – Mylić się jest rzeczą ludzką i wielu z nas łamie przepisy i jedzie za szybko. Klaudia zrobiła to w sposób ekstremalny, ale przyznała się, przeprosiła. Zachowała się bardzo ładnie i nie ma co oceniać i krytykować – skomentowała Bomba w rozmowie z „Jastrząbpost". Dołączył do niej jej partner Grzegorz Collins, który – szok i niedowierzanie – także jest oburzony krytyką, która spadła na Klaudię. – Teraz niech każdy rzuci kamieniem, kto nie złamał przepisów. Zapytałem kiedyś na Instagramie: „Czy znacie kogoś, kto może powiedzieć z ręką na sercu, że nigdy za kierownicą nie złapał za telefon, nie zadzwonił, nie odpisał na SMS?". Każdy z nas to zrobił. Popełniamy błędy, jesteśmy tylko ludźmi i uważam, że na Klaudię spadła zbyt duża fala krytyki – ocenia. – Przeprosiła, a zbyt duży medialny szum się z tego zrobił. Powinniśmy wygasić ten temat i go nie powielać. Na szczęście nikomu nic się nie stało i wiemy, że ona tego już nigdy nie zrobi – przekonuje przedsiębiorca. Skoro trwa piłkarskie Euro, to można podśpiewywać: nic się nie stało...

DURNE WIERSZYKI

Pogodynka ze stacji TVN Dorota Gardias (ta sama, która jakiś czas temu rozpływała się nad prezencją Szymona Hołowni) opowiedziała o swoim podejściu do wiary. Zapewniła, że „naprawdę bardzo mocno wierzy w historię Jezusa Chrystusa", jednak ma problem z Kościołem. – Ostatnio też Mojżesz mnie zafascynował i jego historię zgłębiam, ale nie przekonuje mnie prowadzenie dzieci do Komunii Świętej i uczenie ich tych, przepraszam, że to powiem, wierszyków, których one nie rozumieją – powiedziała Gardias w rozmowie z wprost.pl. Z tego powodu nie posłała do Komunii swojej córki. – Hania nie poszła do Komunii Świętej [...]. Ochrzciłam ją, natomiast chciałabym, żeby kolejne sakramenty przyjęła, jeśli będzie tego chciała. I żeby to rozumiała, żeby to było dla niej naprawdę ważne – wyznała prezenterka. Jakaś maruda mogłaby powiedzieć, że także rodzice są od tego, żeby tłumaczyć dzieciom owe „wierszyki". Ale przecież nikt pani pogodynki pouczał nie będzie.

ALEŻ ON MĄDRY!

Popularny trener fitness Akop Szostak postanowił wraz z żoną Sylwią ratować małżeństwo (nieironicznie – brawo!). Para wyjechała do Paryża, aby tam odnaleźć dawny żar. Wszystko fajnie, tylko Szostak postanowił podzielić się głębokimi analizami dotyczącymi relacji międzyludzkich. „Codziennie stawiamy niekończące się wymagania – wobec bliskich, przyjaciół, partnerów, a nawet przed sobą. Szczególnie widać to w naszych relacjach z innymi ludźmi. Łatwo wpaść w pułapkę oczekiwań" – rozważa zawodnik MMA w instagramowym wpisie. „Tworzymy w głowie szczegółowe listy wymagań wobec innych. Gdy są spełnione, czujemy się szczęśliwi. Ale gdy nasze oczekiwania zostają zawiedzione, pojawia się zawód, frustracja i złość" – wskazuje. „Jesteśmy niewolnikami własnych pragnień, zapominając, że drugi człowiek to nie nasze lustrzane odbicie. Jest odrębny, niezależny, ma własny świat. Może czasem warto to dostrzec, zanim stracimy coś cennego" – dodał na koniec. Ale on mądry! ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, znów mamy problem z Polakami. Po raz kolejny okazali się strasznie konserwatywni, prymitywnie myślący i niepostępowi w obszarze cielesności. Otósh ponad połowa z nich chce karać osoby, które będą chodziły roznegliżowane w miejscach publicznych.

Jakie to jest pokraczne myślenie. Rozebranie się na plaży jest okej, ale już pójście w niekompletnym stroju po bułki do sklepu albo wyjście tak do kościoła – oho, tego to już z jakiegoś powodu nie wolno, jakby ciało było innym ciałem na plaży, a innym w markecie.

Wydaje nam się, iż jest to efekt braku odpowiedniej edukacji seksualnej od poziomu przedszkola, a następnie przez wszystkie etapy szkoły i kształcenia uniwersyteckiego. Skąd potem taki Polak, wychowywany głównie do wstydu, ma wiedzieć, że ciało jest OK także poza plażą, własną łazienką i własną sypialnią?

Ucieszyło nas z kolei, iż Polacy wydają się być coraz bardziej otwarci na obecność zwierząt na plażach. Bo skoro po plażach mogą sobie bezkarnie biegać dzieci, które – jak wiadomo – ciągle się ruszają i krzyczą, to dlaczego nie można byłoby zabrać na plażę swojego psiecka?

Psiecko powinno mieć takie same prawa jak dzieci, a więc biegać po brzegu, kopać dziury w piachu i robić kupy na wydmach (jak kiedyś stwierdziła pewna celebrytka). Brak tolerancji społeczeństwa na psieci w przestrzeni publicznej to nic innego jak wciąż pokutujące wśród ludzi przeświadczenie, iż dzieci ludzkie z jakiegoś powodu są ważniejsze niż psieci.

A przecież każdy może myśleć inaczej i dla każdego może być coś innego ważne. Powinny nawet zostać wydzielone specjalne strefy dla psieci, aby związki 2 + pies mogły przebywać swobodnie wśród podobnych sobie, bez poczucia karcącego wzroku wielodzietnej rodziny z Podkarpacia w tradycyjnym modelu 2 + 7 + passat na gaz.

Co prawda, nas ten problem na razie nie dotyczy, iż nie stać nas za pensję w korpo na wakacje w Afryce, ale wydaje nam się, iż musimy podnieść ten temat. Zwłaszcza iż coraz więcej młodych pracowników wielkich korpo jednak do tej Afryki i w inne egzotyczne kierunki jeździ.

Otósh chodzi o dodatkowe szczepienia ochronne przed podróżami w takie rejony. Z jednej strony jesteśmy gorącymi zwolennikami szczepień, a z drugiej mamy jednak to poczucie, iż wymóg dodatkowych szczepień przed wakacjami w innych miejscach świata to jednak pewnego rodzaju stygmatyzowanie i sugerowanie, iż mogą tam istnieć choroby, których nie ma w tym kraju.

Wydaje nam się, że jest to nie na miejscu i nie powinniśmy sugerować tego typu rzeczy, które mogą być pożywką dla różnego rodzaju rasistów i fashystów. Czy te szczepionki, które są obecnie podawane w tym kraju, nie mogą być wystarczające? My tam się do końca nie znamy. Ale co takiego groźnego może być w Afryce czy w Azji?

I czy na pewno jest to groźniejsze od ksenofobii, nietolerancji i fashysmu? Myślimy, iż jednak raczej nie. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

To nie jest plac zabaw

Jarku, może ja już nie będę kolejny raz kandydował?

Ani mi się waż! Powiedziałem ci, Łukasz, że będziesz kandydował do skutku i choćby to było 50 razy, to masz kandydować!

Ale to już nudne jest, to i tak nic nie daje.

Na razie nie daje, ale w końcu da.

Ale żona się ze mnie śmieje.

Trzeba się było nie żenić, jak ja.

Z takim piętnem to mnie już nigdy nigdzie nie wybiorą. Będą zawsze mówić: „Ten, co go pięć razy nie wybrali".

Polityka to nie jest plac zabaw.

A może by tak Ryszard kandydował?

Nie. Ja potrzebuję Ryszarda u boku. On jest od poważniejszych spraw. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Niestety, jak polskie media protestują, to od razu wiadomo, że idzie o kasę dla nich".

TOMASZ LIS, *publicysta, na portalu X, o proteście polskich mediów w sprawie niekorzystnej dla nich nowelizacji prawa*

eprasa.pl 52e0f83c74

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy", planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy"
przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy" jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym,** bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stawał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy".

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

eprasa.pl 52e0f83c74

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy

ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer: +48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:
Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:
Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:
Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:
Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl 52e0f83c74

dwaj panowie g

Specjalnie dla niewtajemniczonych relacjonujemy w formie telenoweli sytuację z wyborem marszałka w sejmiku Małopolski. „En las Garras de la Pasión", odc. 3452: Ricardo nie może się pogodzić z Beatrice, a w tle tajemniczo uśmiecha się Matteo. Vito i Luka walczą o spadek, lecz ich konflikt wykorzystać chce Pedro wspierany przez potężnego don Andrea. Don Andreo ma pretensje do miejscowych peonów, który chcą wydziedziczyć jego ojca, Juana. Sytuację próbował wykorzystać José, lecz w sprawę zamieszani są też ranczerzy mniej znacznego, konkurencyjnego barona. W ostatniej chwili pojawia cię nieznany brat bliźniak Luki, inny Luka. I ostatecznie to on zostaje wybrany na właściciela hacjendy.

Nowy Luka to Łukasz Smółka, którego wybór zakończył telenowelę małopolską, w której najbardziej podobały nam się szczegóły mało nagłaśniane przez media: jak szeregowy poseł Jarosław opieprzał radnych na głośnomówiącym, a później podobnej motywacji użył były premier Matteo. No i jedzenie bigosu nocą, bo mechanizmy demokratyczne nie działały, ale catering – owszem.

Chryja w Krakowie miała większe znaczenie, niż myślicie. Wiewiórki mówią, że jeszcze nigdy w PiS nie było tak wielkiej dezaprobaty dla decyzji personalnych prezesa. Nie chodzi tylko o upór przy kandydaturze Łukasza Kmity, ale szerzej – o układ list wyborczych w trzech kolejnych wyborach: parlamentarnych, samorządowych i europejskich. „Wszyscy myśleli, że prezes jest nieomylny – mówi nam wiewiórka – a okazało się, że jest omylny".

Podczas gdy w Krakowie radni spożywali bigos, potrawy dużo bardziej wykwintne jedzone były na Sycylii, gdzie w ubiegłym tygodniu na sesji wyjazdowej spotkała się frakcja Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. To tam PiS podjął decyzję, że nie wychodzi z EKR i nie buduje nowej grupy austrowęgierskiej z Orbánem. W kuluarach jednak też dyskutowano o nieomylności/omylności prezesa (niepotrzebne skreślić). Wśród starej gwardii panuje bowiem przekonanie, że w kampanii do europarlamentu prezes dał się okpić i do Brukseli trafiło zbyt wielu ludzi don Matteo.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Prawda jest taka, że zarówno na Sycylii, jak i w Polszcze wielu polityków – a także wyborców PiS – zastanawiało się, jak to możliwe, że podczas gdy tyle się dzieje: Scholz w Warszawie, bodnarowcy w KRS, afera z obcinaniem budżetu polskiej armii, chryja wokół skasowania CPK itd., kraj musi żyć kolejnymi rundami cyrku w Małopolsce. Niektórzy mówią, że to legendarna sprawność PR-owska PiS. Nam bardziej się podoba hasło ukute przez pewną znajomą dziennikarkę: „Ot, pisia myśl".

À propos wizyty Scholza w Warszawie. Jest! Mamy sukces! Podczas spotkania kanclerza z Tuskiem udało się osiągnąć natychmiastowe wstrzymanie migracji! Na razie chodzi o migrację niemieckich pieniędzy do kieszeni ofiar niemieckich zbrodni wojennych w Polsce. A co z migracją migrantów szturmujących granice? A to się zobaczy za kolejnych 80 lat.

Przy okazji wizyty cesarza na dworze księcia wasala wykonano zdjęcie Olafa z Donaldem tudzież pomniejszymi kmieciami i knechtami, które kancelaria premiera zamieściła w sieci, opatrując opisem: „Family photo podczas polsko-niemieckich konsultacji rządowych". Cóż za afront. Przypominamy, że wedle obowiązującej nie tylko w Niemczech ideolo rodzina jest źródłem wszelkiej patologii.

Uwaga! Po mieście łażą specjaliści od prucia szaf pancernych. Ostatnio odwiedzili Krajową Radę Sądownictwa. Nie wiadomo, jak się przed nimi bronić. Kiedy ktoś na ich widok woła: „Bo zaraz wezwę policję!", odpowiadają: „To ja jestem policja". Na wszelki wypadek zabierają też ze sobą jakiegoś prokuratora. Na razie znana jest tylko jedna metoda obrony

eprasa.pl 52e0f83c74

przed intruzami. I my ją stosujemy: otóż nie mamy szaf pancernych.

Co ciekawe, intruzi od prucia szaf pancernych chodzą po mieście na zlecenie niejakiego Adama Bodnara, rzeźnika praw obywatelskich w stopniu ministra sprawiedliwości. Tego samego, który niedawno w tefauenach deklarował: „Ma pójść policja do KRS, wymienić zamki, zablokować wejście? W stosunku do jednego z organów państwa? Ja sobie nie wyobrażam takiego scenariusza". Jak widać, warto rozwijać wyobraźnię. Nigdy nie wiadomo, czym cię zaskoczy.

Ruszyła druga transza odwołań ambasadorów. Wstępem było jednak obniżenie im wynagrodzeń aż o jedną trzecią. Delikwenci wyrazili na to zgodę, wychodząc z założenia, że to cena za pozostanie na placówkach. O święta naiwności! Chodziło tylko o to, by łatwowiernym wypłacić po prostu mniejsze odprawy! Dożynki tradycyjnie mają potrwać do końca sierpnia, kiedy większości z ambasadorów wyznaczono terminy zjazdów.

Najważniejszym z odwoływanych w tej transzy ma być Andrzej Papierz, który ma opuścić placówkę w Czarnogórze. Papierz do czasów Zbigniewa Raua był szarą eminencją gmachu przy Szucha, przez co był znienawidzony przez wszelkiej maści czerwonych i różowych. Ma doświadczenie w byciu odwoływanym przed terminem. Za poprzedniego reżimu Tuska odwołano go z Sofii nieco inną metodą: pozbawiając go certyfikatu dostępu do informacji niejawnych. Co z tego, że sąd uznał to za bezprawie, skoro na placówkę już nie wrócił.

Skoro odwołują, to będą powoływać. A nawet już powołują. Potwierdza się nasze info sprzed paru tygodni o tym, że do Maroka ma polecieć na ambasadora ściągnięty z emerytury Tomasz Orłowski. Tak zwany agreement w jego sprawie już powędrował. Orłowski dziś ma lat 68, jak skończy kadencję, będzie miał 72. Każdy kraj ma takiego Bidena, na jakiego zasłużył. W tym przypadku dwa kraje: Polska i Maroko.

Niby nie powinno się mieszać futbolu z polityką, ale mamy to w nosie, bo wszystko mieszamy z polityką. Stąd żarcik o Donaldzie Tusku, który przyszedł nam do głowy podczas oglądania Euro 2024. Oto on: premier Donaldo jest jak Cristiano Ronaldo – im starszy, tym gorszy.

Apropos Euro 2024. Odbywa się, jak wiadomo, w Niemczech. Lektura doniesień prasy światowej na ten temat jest arcyciekawa. I nie chodzi o korespondencje ze stadionów, lecz o wieści spoza aren sportowych. Otóż wynika z nich – a powstało na ten temat wiele reportaży – że w Niemczech syf, smród i ubóstwo, Frankfurt opanowany przez crack i naćpane zombie, wszędzie albo biją, albo ciachają nożami, pociągi nie jeżdżą o czasie, nikt nic nie wie, a kreatywni kibice wchodzą na mecze bez biletów, gdyż nikt nie jest w stanie tego całego bardaku skontrolować. Teraz rozumiemy pilną potrzebę pacyfikacji Polski przez Niemcy, zbyt dobrze wyglądamy na tle.

Bardzo rozbawiła nas kampania „Politycy zabijają polskie media", rozpętana przez media tzw. głównego koryta. Po pierwsze, nie polskie, tylko polskojęzyczne. Po drugie – co niby ma zrobić Tusk? Wysłać Bodnara do siedziby Google z palnikiem, żeby pruł szafy pancerne? W sumie to ostatnie to nawet chętnie byśmy zobaczyli, transmitowane na YouTube.

Ponieważ wielki entuzjazm wśród naszych czytelników wzbudziły żarty z niejakiej Barbary minister nijakiej Nowackiej, będziemy kontynuować. Przypomnijmy, że owa pani, zwana przez niektórych Barbarią, wycięła z lektur „niejakiego Rymkiewicza" i „pana Dukaja". Żarcik na dziś: Co mówi Nowacka na widok książki „1984"? „O, ktoś tu zostawił stary kalendarz".

Od czasów lektury Hrabala bardzo cenimy sobie hasło „Nudzicie się – kupcie sobie szopa pracza". Nie da się jednak ukryć, że szop jest gatunkiem inwazyjnym i rozplenił się ponad miarę. Jak ujawnił Instytut Analiz Środowiskowych, dyrekcja Parku Narodowego Ujście Warty zapłaciła aktywistom 1,6 mln euro za odławianie szopów. Odłowiono łącznie 80 sztuk szkodnika. W tym czasie myśliwi ubili 4 tys. sztuk tego gada będącego ssakiem. Za własne pieniądze. Bycie aktywistą to bardzo intratne zajęcie. Przytulenie 20 tys. euro za jednego złapanego szopa robi wrażenie. Tylko myśliwi robią za frajer.

Mamy też dobre wiadomości. Wprawdzie podrożał prąd, ale za to jest ciepło. Więc nie trzeba go zużywać. Na zimę też mamy dobre wiadomości. Wtedy podrożeje woda. Ale nic nie szkodzi, nie będzie widać, że jesteśmy brudni, bo będzie ciemno. Gdyż będziemy oszczędzać prąd. ©℗

Orle Pióro Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie oraz redakcja „Do Rzeczy" **przepraszają Tomasza Piątka** za naruszenie jego dóbr osobistych poprzez opublikowanie nieprawdziwych informacji na jego temat w rubryce „Dwaj panowie G" w numerze 25/2024 tygodnika „Do Rzeczy" oraz w opublikowanym 16 czerwca 2024 r. na stronie internetowej „Do Rzeczy" artykule „Tomasz Piątek przytulił fuchę w MSZ".

eprasa.pl 52e0f83c74

Zaprzańcy podnoszą

Krzysztof Masłoń

Ci, których Polska uwiera, nie spoczną. Nie skończy się na skandalu z usuwaniem bohaterów z muzeum w Gdańsku

Profesor Paweł Machcewicz z Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku uznał obecność na głównej wystawie placówki postaci o. Maksymiliana Kolbego, rtm. Witolda Pileckiego i rodziny Ulmów za zbyteczną. „To nie jest gazetka ścienna – pouczył przy okazji – gdzie można umieszczać dowolne treści, byle były słuszne i patriotyczne. To zarazem dzieło sztuki i twór intelektualny, ekspozycja w każdym szczególe przemyślana i spójna i nie można dodawać do niej tego, co jakiś polityk, który akurat jest przy władzy, uzna za właściwe i potrzebne mu do

eprasa.pl 52e0f83c74

Rodzina Ulmów, rtm. Witold Pilecki oraz o. Maksymilian Kolbe na fasadzie Pałacu Prezydenckiego po tym, gdy usunięto ich postacie z Muzeum II Wojny Światowej

FOT. ŁUKASZ BŁASIKIEWICZ/KPRP

osiągnięcia zaplanowanych celów". Swoją decyzją, oprotestowaną jak Polska długa i szeroka, dowiódł tego, że realizuje cel wskazany przez „akurat będącego u władzy" Donalda Tuska, którego zresztą w latach 2008–2014 był jednym z głównych doradców.

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Machcewicz wyłuszczył, jakie ma zastrzeżenia do wszystkich tych inkryminowanych postaci, tak się składa, że polskich bohaterów, a w dwóch przypadkach na trzy nawet świętych i błogosławionych Kościoła katolickiego. Otóż o. Kolbe „był w latach 20. i 30. gorliwym antysemitą. Jako wydawca katolickich pism o ogromnym nakładzie, takich jak »Rycerz Niepokalanej« czy »Mały Dziennik«, publikował i sam pisał niezwykle jadowite, antysemickie teksty. Tymczasem na wystawie zostało to pominięte te, a ten niewygodny temat załatwiono poprzez kuriozalny eufemizm, że ojciec Kolbe »ewangelizował Żydów«".

„Naprawdę?" – nie może wyjść ze zdumienia „Gazetowy" rozmówca. – Tak. Przecież samo zastosowanie takiego terminu do tego, co robił ojciec Kolbe, jest oburzające" – stawia kropkę nad i wstrząśnięty i niezmieszany historyk.

A przykład rodziny Ulmów przykrywa tylko smutną prawdę, że w Polsce „ci, którzy pomagali [Żydom], stanowili garstkę". Dowiodły tego „badania, szczególnie prowadzone w ciągu ostatnich dwudziestu paru lat". Nie wymienia Machcewicz nazwisk tych dociekliwych badaczy. Podpowiedzmy: Barbara Engelking i Jan Grabowski. Warto też wydobyć z zapomnienia postać Jana Tomasza Grossa, autora „Sąsiadów".

Pretensje wobec Witolda Pileckiego są innej natury, a sprowadzają się w istocie do tego, że o ile jego działalność w Auschwitz nie budzi zastrzeżeń, o tyle powojenna historia zamordowanego przez komunistów bohatera przynależy, mówiąc najkrócej, do innej narracji.

Generalnie narracje bywają różne. Schizofreniczne także. W kontekście całej sprawy dziwi mnie, że niepodjęty został w gdańskim muzeum wątek swego czasu rozwijany w gazecie Adama Michnika o AK-owcach, którzy w powstaniu 1944 r. mordowali Żydów. Pasowałby tu jak ulał.

Nie wszyscy położyli uszy po sobie, przemilczając coraz bezczelniejsze, coraz bardziej antypolskie działania zaprzańców, którzy pod skrzydłami władzy rządzącej od pół roku krajem poczuli się pewnie jak nigdy dotąd. Doszło do tego, że nawet obecny wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz przywołał Machcewicza do porządku, na co ten wprawdzie zareagował histerycznie, zastanawiając się publicznie, czym PSL-owski wicepremier i minister lepszy jest od PiS-owskiego Piotra Glińskiego (to jest już nie kamień, ale głaz obrazy), potem jednak wykazał pewną elastyczność. Widać od „Pierwszego" dostał polecenie, by nie szalał, Pileckiemu urządził w muzeum kącik gdzieś koło kibla, Ulmów przerzucił do szatni, a zminiaturyzowaną fotografię Kolbego umieścił wśród zdjęć innych duchownych poległych w latach wojny i okupacji.

Kiedy dojdzie do następnych podobnych gorszących działań tak jak te z Gdańska? Z pewnością nie będziemy długo czekać. Ci, których Polska uwiera, nie spoczną.

PONAD PODZIAŁAMI

Ktoś naiwny zapyta się może: Po co oni to robią? Jak to po co? Dla naszego dobra! To przecież Stefan Żeromski pouczał: „Trzeba rozrywać rany polskie, żeby się nie zabliźniły błoną podłości". Tak, ten cytat (z „Sułkowskiego") jest użyteczny dla rodzimych polonofobów, i to wszelkiej maści. Ale już podkreślanie przez Żeromskiego, że naszym obowiązkiem jest „wypatrywanie i wyszukiwanie w ciemnościach drogi do szczęścia dla ojczystego plemienia" się przemilcza. Mało to głupstw powiedziano i napisano?

Był przecież taki, tfu-tfu, Roman Dmowski, który śmiał twierdzić: „Jestem Polakiem – więc mam obowiązki polskie: są one tym większe i tym silniej się do nich poczuwam, im wyższy przedstawiam typ człowieka. Bo im szersza strona mego ducha żyje życiem zbiorowym narodu, tym jest mi ono droższe, tym większą ma ono dla mnie cenę i tym silniejszą czuję potrzebę dbania o jego całość i rozwój. Z drugiej strony, im wyższy jest stopień mego rozwoju moralnego, tym więcej nakazuje mi w tym względzie sama miłość własna".

I pomyśleć, że Dmowski ma rondo swego imienia w centralnym miejscu Warszawy. Jeszcze pomnik mu wystawiono! Pora tego rzekomego ojca polskiej niepodległości, a w istocie straszliwego endeka i antysemity wyrugować z naszej przestrzeni publicznej. Zanim rondo w Alejach Jerozolimskich otrzyma wreszcie godne

eprasa.pl 52e0f83c74

imię, a pomnik trafi może nie od razu na wysypisko śmieci, ale na Targówek, tak bliski przecież panu Romanowi, nowe światłe władze już podmieniły patrona Instytutu Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Minister kultury, a jest nim od niedawna – co przypomnę, bo nazwisko jeszcze się nie utrwaliło – Hanna Wróblewska, „po gruntownej analizie", a jakże, przemianowała placówkę na Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza, a to dlatego, że „dotychczas Instytut ograniczał się do działalności w obszarze konserwatywno-prawicowej i narodowej myśli społeczno-politycznej. Poszerzenie zakresu jego działalności pozwoli włączyć dotychczas pomijane środowiska". A konkretnie jakie? Komunistyczne, bo o innych jakoś nie wiadomo.

Zastrzelony przez Eligiusza Niewiadomskiego Gabriel Narutowicz był, jak się dowiadujemy, „demokratą ponad podziałami partyjnymi", w związku z tym zostanie zaakceptowany przez wszystkich uczestników wojny polsko-polskiej. Ośmielam się wątpić. Pewny jestem jednego tylko, że Instytut stanie się narzędziem do oskarżania narodowej demokracji o faszyzację życia w naszej ojczyźnie, o rasizm i antysemityzm. A były patron Instytutu okaże się moralnym sprawcą śmierci prezydenta Narutowicza, choć jako żywo związki Niewiadomskiego – ewidentnego szaleńca – z endecją były mocno problematyczne.

Z POZYCJI OFIARY

Minister Wróblewska nie musi o tym wszystkim wiedzieć, ona ma się wykazać. I się wykazuje. Ta wieloletnia dyrektorka Zachęty została przy robiącym za ministra kultury i dziedzictwa narodowego pułkowniku Bartłomieju Sienkiewicza obsadzona jako szefowa kluczowego w tym resorcie departamentu narodowych instytucji kultury. I na rozkaz pułkownika z kulturą związanego jedynie nazwiskiem wszczęła działania mające na celu wyrzucenie z Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski dyrektora dr. Piotra Bernatowicza, co całkiem niedawno sfinalizowała odwołaniem go z zajmowanego stanowiska. Jego obowiązki pełnić ma Kamila Bondar (uwaga: Bondar, a nie Bodnar, mimo wszelkich podobieństw), do tej pory znana jakby średnio, bo chyba wyłącznie z Fotoklubu, „mikroinstytucji poświęconej historycznej i współczesnej fotografii", no i z elbląskiej galerii EL.

Hanna Wróblewska nasłała na Bernatowicza wszelkie możliwe kontrole, w których wnioskach doszukała się jakichś nieprawidłowości. Na przykład takich, że udostępniał on pomieszczenie Zamku Ujazdowskiego niemającemu siedziby Teatrowi Klasyki Polskiej. No rzeczywiście, to poważne wykroczenie.

Wypróbowana stara gwardia demokratów wzorowych z Krystyną Jandą, Mają Komorowską i Krzysztofem Warlikowskim, jak na ludzi polskiej sceny przystało, już wcześniej apelowała o „podjęcie zdecydowanych działań naprawczych" w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Bernatowiczowi do nieskrywanych przez niego poglądów konserwatywnych dorzucono homofobię, a to już w dzisiejszych czasach bardzo poważne oskarżenie. Tyle że trafiło kulą w płot. Kolejne ekspozycje prezentowane w Centrum od homofobii były jak najdalsze, a takie wystawy jak „Nowa normalność" Miriam Elii budziły autentyczne zainteresowanie publiczności, podobnie jak obrazy norweskiego malarza Odda Nerdruma i prace chińskiego artysty i dysydenta Badiucao. A odnotujmy tu jeszcze pokazaną ceramikę współczesną Claudii Clare, brytyjskiej lesbijki. Tak się akurat złożyło.

Ta wojenka podjazdowa, w której na pewno nie chodzi o sztukę, tylko o coś zupełnie innego, trwałaby może jeszcze czas jakiś, gdyby nie Biennale Sztuki w Wenecji, na które Piotr Bernatowicz do spółki z Dariuszem Karłowiczem (kolejne fatalne nazwisko!) przygotowali projekt „Polskie ćwiczenia z tragiczności świata. Między Niemcami a Rosją", którego najważniejszą częścią była wystawa obrazów Ignacego Czwartosa. Gdy pułkownik Sienkiewicz, który jako minister kultury stał się komisarzem polskiego pawilonu w Wenecji, zorientował się, o jakie obrazy chodzi, zażądał natychmiastowego ich usunięcia. Do czegoż to bowiem podobne, by np. pod tytułem „Nord Stream 2" umieszczać na płótnie kanclerz Merkel do spółki z Putinem, do tego z trupimi czaszkami w tle?! Po co także wspominać Birkenau i Żołnierzy Wyklętych?

Bernatowicz nie uląkł się ministerialnych pohukiwań i bredni o „fałszywie rozumianej historii Polski" oraz „przemawianiu z pozycji ofiary". To zresztą zarzut absolutnie kuriozalny porównywany chyba jedynie z propagandą proputinowskich historyków rosyjskich, wskazujących na Polskę jako winną agresji niemieckiej w 1939 r. i skrzętnie pomijających rolę, którą odegrał wtedy Związek Sowiecki, biorąc 17 września tamtego roku w ochronę narody ukraiński i białoruski.

W Wenecji w prywatnym mieszkaniu zorganizowano alternatywną wystawę „Polonia bez cenzury", obrazy Ignacego Czwartosa na medialnym szumie tylko zyskały, a Polska okazała się krajem, w którym wolna myśl jest kneblowa-

Paweł Machcewicz, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej FOT. KAROLINA MISZTAL/REPORTER

eprasa.pl 52e0f83c74

nia. I tyle zyskał najgorszy z ministrów kultury, jaki nam się zdarzył, a przecież zahartowali nas w różnym czasie Władysław Kowalski, Włodzimierz Sokorski, Andrzej Celiński. Sienkiewicz zakasował ich wszystkich, a teraz jego (?) politykę kontynuuje Wróblewska. Na nasuwające się pytanie, czego możemy się po niej spodziewać, odpowiadam: wszystkiego!

KULTURA ODDANA W AJENCJĘ

W najnowszej historii resortu kultury ważną rolę odegrał Andrzej Zakrzewski. Był ministrem w rządzie Jerzego Buzka, niestety krótko, bo niecały rok. Zmarł na raka w roku 2000. W wieku 59 lat. Ale ton nadał urzędowi z Krakowskiego Przedmieścia dzisiejszą nazwę, zmieniając Ministerstwo Kultury i Sztuki na Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Nie wszystkim to się podobało; w następnych latach majstrowano wokół tej nazwy wielokrotnie, m.in. z lekka oszalały lewicowiec Celiński „dziedzictwa narodowego" pozbył się całkowicie. Ale dziedzictwo to uparcie wracało, bo to ono w ostatecznym rozrachunku jest najważniejsze.

Tak właśnie prowadził politykę kulturalną Piotr Gliński, niekiedy z przekąsem nazywany „muzealnikiem". Rzeczywiście, za jego kadencji podwoiła się liczba placówek muzealnych finansowanych z budżetu państwa, powstały nowe muzea, odpowiednią rangę uzyskało Muzeum Historii Polski. Zresztą co mógł w obecnej Polsce rozwijać: teatr oddany w ajencję postaciom w rodzaju Moniki Strzępki, film, którego ikonami stały się Szumowska i Holland, nagradzana i wychwalana za obraz z gruntu antypolski, którym jest „Zielona granica", na okrągło pokazywana przez Canal Plus? Do momentu, gdy znikła niczym sen złoty, bo tak się złożyło, że Car i Bóg tych wszystkich zaprzańców, sam Donald Tusk, ni z tego, ni z owego postanowił bronić polskich rubieży. Jak za pięć minut zmieni zdanie, filmowcy sprokurują „Zieloną granicę II", „III", a może i więcej. O literaturze nie ma nawet co wspominać, bo ta – wszystko na to wskazuje – skończyła się w naszym kraju definitywnie, a tej, która kiedyś była, młode pokolenie nie pozna, skutecznie ją bowiem wyruguje z programów szkolnych inna niepozwalająca o sobie zapomnieć „ministra", tym razem z resortu edukacji – Barbara

Hanna Wróblewska, minister kultury i dziedzictwa narodowego

FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

Nowacka. A wracając do Piotra Glińskiego, to – na ile mógł skutecznie – zajmował się tym, co jest obowiązkiem polskiego ministra kultury i dziedzictwa narodowego: polską sztuką i polską historią. Nie żadną inną.

Ale i na tym ministerialnym poletku wyczyniano głupstwa, choćby to z 2021 r., kiedy resort kultury połączono, na szczęście na krótko, ze sportem. Dziś sportowcy mają swoje ministerstwo i swojego ministra, którego zazdrości im świat cały, bo ktoś taki jak Sławomir Nitras zdarza się raz na tysiąc lat. Biorąc to pod uwagę, wypadałoby chyba życzyć minister Wróblewskiej długiego rządzenia w pałacu Potockich, bo jeszcze w ramach kolejnej reorganizacji trafi tam rzeczony Nitras i zacznie opiłowywać katolików kryjących się, być może, gdzieś jeszcze w zapomnianych przez Boga i ludzi instytucjach kultury.

BURACZANE WYSŁODKI

Na edukacji prowadzonej przez obecną władzę możemy postawić krzyżyk. O zmianach na liście lektur szkolnych firmowanych przez Barbarę Nowacką pisałem już w tym miejscu. Rzekomo broniąc szkoły przed jej upolitycznieniem, sama brnie w to upolitycznienie właśnie, bredząc o „sekcie smoleńskiej", której poetą miał być rzekomo „niejaki Rymkiewicz". Ten ostatni był najwybitniejszym poetą polskim początku XXI w., o czym osoba na stanowisku Nowackiej powinna wiedzieć. Tego jednak nie wie, nie chce jednak w zarządzanej przez siebie szkole utworów „smoleńskiego" autora, do spółki z paroma innymi, choćby Jackiem Dukajem, których zastąpić ma proza np. Manueli Gretkowskiej, wsławionej „Kabaretem metafizycznym", w którym opowiada o jakże poważnych problemach kobiety z dwiema łechtaczkami, i scenariuszem do tyleż skandalizującej, ile beznadziejnej „Szamanki" Andrzeja Żuławskiego.

Nieszczęsna Nowacka, której miejsce jest wszędzie, ale na pewno nie w Ministerstwie Edukacji Narodowej, robi wszystko, by przypodobać się uczniom. W najgłupszy z możliwych sposób, bo przytakując narzekaniu dzieci i ich rodziców na przeładowane programy, zakazuje zadawania im prac domowych. Muszą przecież mieć czas dla siebie – wyjaśnia, nie precyzując, co w tym nagle odzyskanym czasie wolnym będą te nasze pociechy robić. Kto zbadał, ile godzin dziennie przeciętny polski małolat siedzi nad lekcjami, a ile nad grami komputerowymi?

Poraża infantylizm podejmowanych działań. To uczniowie mają decydować, jakie książki chcą czytać. Oczywiście, że najchętniej nie czytaliby w ogóle nic, ale skoro już muszą, to może – no niech tam – „Harry'ego Pottera". Albo „Hobbita"... Innych tytułów nie znają. Ale też do czego im ta wiedza w zjednoczonej Europie? Po co męczyć dziatwę „Panem Tadeuszem"? Wystarczy poznać jego fragmenty, „Koncert Jankiela" i będzie dość. To samo zrobi się z Sienkiewiczem (uwaga: Henrykiem).

O tym, że młodzież to nasza przyszłość, wie każdy – to truizm. Wie o tym też Tusk, wygłaszając co pewien czas jakieś zbiory komunałów, umawiając się z wybranymi przedstawicielami dziatwy szkolnej na bliżej nieokreślone rozmowy, mające pewnie zrewolucjonizować naszą edukację, na pierwszy rzut oka osadzoną może za bardzo w przeszłości. Ale taką mamy historię, nie inną. Odwracać się od niej mogą tylko ci, których nazwałbym wytłokami z buraka. Bo to nie jest nawet – pomijając wszelkie skojarzenia – sok z buraka, ale nędzne pozostałości, które zostają z niego po wyługowaniu wodą, zwane wysłodkami. Uśmiechnięte, pewne swoich racji, europejskie jak najbardziej, polskie jakby mniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Najdłuższa (historyczna) wojna dzisiejszej Polski

Piotr Semka

Incydent z usunięciem sylwetek rtm. Witolda Pileckiego, rodziny Ulmów czy o. Maksymiliana Kolbego nie był przypadkiem, a jedynie konsekwencją pewnego stylu arogancji, który cechował ekipę Pawła Machcewicza przez ostatnie 15 lat

Pilecki, Ulmowie i ojciec Kolbe wracają do Muzeum II Wojny Światowej". Ten tytuł pojawił się w wielu mediach. Jednak dopiero czas pokaże, w jakim stopniu ekspozycja stała gdańskiego muzeum powróci do stanu sprzed czerwca bieżącego roku. Wypowiedzi władz muzeum są bardzo oszczędne. Ostatni komunikat to zapowiedź dłuższych narad z „zespołem konsultantów" na temat sposobu pokazania postaci historycznych, których usunięcie zbulwersowało miliony Polaków.

Ale cały konflikt o postaci z dziejów drugiej wojny światowej przypominał o przyczynach sporu, który trwa od ponad 15 lat. Tego sporu wielu ludzi nie chciało zauważać lub go bagatelizowało. Być może to dobrze, że doszło do kontrowersji wokół Pileckiego, Ulmów i o. Kolbego, bo bez tego nie zrozumielibyśmy sposobu myślenia i zacietrzewienia grupy historyków, których twarzą stał się dyrektor Muzeum II Wojny Światowej, Rafał Wnuk, i prezentujący się jako jego patron prof. Paweł Machcewicz. Postarajmy się więc rozebrać ten konflikt na czynniki pierwsze.

LIKWIDACJA ZAŁOŻYCIELSKA

Większość liberalnych mediów ma zwyczaj rozpoczynać opowieść o Muzeum II Wojny Światowej od roku 2008, w którym to Donald Tusk rzucił ideę powstania w Gdańsku muzeum, którego zadaniem miała być opowieść o największym konflikcie XX w.

Tymczasem, aby zrozumieć logikę konfliktu, trzeba przypomnieć, że dwa lata wcześniej, w 2006 r., za czasów pierwszego rządu PiS, minister kultury Kazimierz Ujazdowski wraz ze swym zastępcą Jarosławem Sellinem zatwierdzili plan stworzenia muzeum na Westerplatte. Miał być to park historyczny przypominający o tym, że druga wojna światowa zaczęła się właśnie w Gdańsku, i który w nowoczesny i atrakcyjny sposób miał ukazać realia polskiej obrony tego skrawka Gdańska. Zespół, który powołano, rozpoczął przygotowania do nakreślenia szczegółów tego projektu, ale po ok. roku PiS stracił władzę i nowy rząd stworzyła Platforma Obywatelska.

Początkowo lokalni działacze pod wodzą ówczesnego zaufanego Tuska na Po-

eprasa.pl 52e0f83c74

Fragment wystawy głównej w Muzeum II Wojny Światowej przed usunięciem z niej sylwetek rtm. Witolda Pileckiego, rodziny Ulmów czy o. Maksymiliana Kolbego FOT. M. BUJAK/MIIWS

morzu, Sławomira Nowaka, chcieli przejąć ten projekt i obsadzić swoimi ludźmi, ale po pewnym czasie uznano, że należy całe przedsięwzięcie porzucić.

Donald Tusk myślał już o zorganizowaniu w Gdańsku w 60. rocznicę wybuchu wojny, 1 września 2009 r., wielkiej międzynarodowej imprezy, która by spełniła jego „europejskie" ambicje. Uznał, że uroczyste położenie kamienia węgielnego pod Muzeum II Wojny Światowej będzie atrakcyjnym elementem obchodów. Intelektualne zaplecze środowiska Tuska w Gdańsku, magazyn „Przegląd Polityczny", już od dawna współpracowało ze środowiskiem historyków z obozu lewicowego, których patronem był prof. Marcin Kula z Uniwersytetu Warszawskiego. Nic dziwnego, że to Machcewicz został mianowany szefem projektu i stał się kandydatem na dyrektora nowej placówki. Szybko powstał cały team, w którego skład wchodzili także Rafał Wnuk, Jerzy S. Majewski i Janusz Marszalec. Należy podkreślić, że Paweł Machcewicz równolegle do pełnienia funkcji dyrektora muzeum otrzymał rangę sekretarza stanu Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska.

Warto o tym przypominać, bo w kolejnych latach Machcewicz będzie tworzył w szalbierczy sposób antynomię – on i jego współpracownicy jako naukowcy kontra politycy. W tym kontekście umieszczano zazwyczaj krytyków jego projektu. To, że sam chętnie przyjął status urzędnika ministerialnego, gdy przestało to mu być wygodne – wolał zepchnąć w cień.

Machcewicz i jego zespół z jednej strony zmagali się z czynnikami czysto technicznymi – miejsce wybrane na budowę muzeum okazało się wyjątkowo wilgotne i zmusiło twórców projektu do bardzo drogiej operacji technicznej stworzenia tzw. betonowej wanny. Ponadto ekipa Machcewicza, przekonana, że Platforma będzie rządzić wiecznie, nie spieszyła się specjalnie z przygotowaniami do otwarcia muzeum.

Około 2014 r. zaczęły pojawiać się w mediach zarysy programu nowego muzeum. Zapowiadały one nowe europejskie spojrzenie na drugą wojnę światową, oderwanie się od nacjonalistycznych, „ciasnych" poglądów. Kropkę nad i postawili twórcy muzeum, deklarując dość wyzywająco, że placówka ta na pewno nie będzie pomnikiem chwały polskiego oręża. Takie uwagi musiały wywołać reakcje po prawej stronie. Wiadomo było, że muzeum jest pierwszą tego typu inicjatywą i z racji budowania jej za spore publiczne pieniądze jego koncepcja powinna być elementem szerszego konsensusu. Tymczasem już sam skład pierwszej rady muzeum pokazywał, że o żadnych konsultacjach z historykami o konserwatywnych poglądach nie ma mowy. Im więcej szczegółów wychodziło na temat koncepcji nowej placówki, tym więcej rodziło się pytań. Reakcją ekipy Machcewicza było z jednej strony lekceważenie wątpliwości, a z drugiej powtarzane jak mantra hasła: „Dyskusja o kształcie muzeum nie ma sensu, gdyż jest ono jeszcze niegotowe. Jak będzie gotowe, wtedy zobaczycie i ocenicie".

W 2015 r. Platforma przegrywa wybory i PiS wraca do władzy. Odpowiedzią Machcewicza jest dalej konstruowanie swojego projektu ekspozycji z jednoczesnym organizowaniem frontu obrony muzeum już pod nowym hasłem: „Politycy, odczepcie się od historii". Wcześniej Machcewiczowi polityczny nadzór nad projektem nie przeszkadzał, bo rządzili platformersi, a teraz nagle polityka wydała mu się czymś wstrętnym i groźnym.

PROJEKTOWANIE MITU SKRZYWDZONEJ EKIPY

Gdy PiS doszedł do władzy, w naturalny sposób wróciła koncepcja parku tematycznego na Westerplatte. Wobec niechęci Machcewicza do jakichkolwiek dyskusji na temat kształtu wystawy stałej minister kultury Piotr Gliński doszedł do wniosku, że nie ma innego wyjścia jak rozwiązanie muzeum i stworzenie nowego bytu, który łączyłby projekt muzeum drugiej wojny z pracami nad powołaniem parku tematycznego na Westerplatte.

Gdy Machcewicz upublicznił swoją wizję ekspozycji, uczucia były mieszane. Z jednej strony ekspozycja w wielu częściach była zrobiona w sposób rzetelny i ciekawy, z drugiej strony widać było wiele ewidentnych luk i braków. Pominięto wątek sytuacji Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku, przemilczano męczeństwo polskiego duchowieństwa w czasie drugiej wojny. Duże wątpliwości budziło też przedstawienie powstań w sierpniu 1944 r. w Warszawie, w Paryżu i na Słowacji jako dających się porównać wystąpień ludności okupowanych miast.

Wątpliwości wobec układu wystawy w połączeniu z pisemnymi krytycznymi recenzjami założeń muzeum znalazły się w trzech recenzjach, z których jedna była mojego autorstwa, a o które zwrócił się do trojga autorów minister Piotr Gliński. W rezultacie w 2016 r. nowy rząd podjął decyzję o połączeniu dwóch placówek, co oznaczało likwidację stanowisk zajmowanych przez Pawła Machcewicza i jego zespół.

Rozpoczęła się trwająca przez kolejne osiem lat niezwykle intensywna kampania przeciwko muzeum w nowej formie. Członkowie rady, w większości naukowcy zagraniczni, mimo zachęt do pozostania na stanowiskach demonstracyjnie odeszli. I wtedy orężem, który Paweł

eprasa.pl 52e0f83c74

Machcewicz postanowił wykorzystać do walki z nowym kierownictwem muzeum pod wodzą Karola Nawrockiego, była teza, że kształt ekspozycji jest objęty integralnym prawem autorskim i nie może być w żaden sposób zmieniany. Był to oczywisty absurd, bo żadne muzeum na świecie nie jest w stanie zaakceptować sytuacji, w której dany układ ekspozycji zostaje zabetonowany prawnie „na wieki wieków" bez możliwości jakichkolwiek zmian. Rozpoczął się wieloletni spór prawny, który zakończył się uznaniem prawa nowego kierownictwa do pewnych poprawek przy wyłączeniu z tego paru elementów sporu.

Warto zwrócić uwagę na swoisty modus operandi ekipy Machcewicza. Na początku zaproponowali oni projekt ideowy, który musiał wzbudzić kontrowersje. W kraju, w którym druga wojna światowa przyczyniła się do tak wielkiej skali ofiar, a jednocześnie którego naród wykazał się tak wielką zdolnością do walki zbrojnej przeciwko okupantom Polski, wszelkie deklaracje, że muzeum „nie będzie panteonem polskiego oręża", musiały budzić sprzeciw.

Wątpliwości wokół „europejskiej wizji" konfliktu były tym większe, że w tym samym czasie w Brukseli powstawało Muzeum Historii Europejskiej, które dokładnie wypełniało założenia projektu Machcewicza. Machcewicz od początku stawiał sprawę jasno: projekt będzie taki, jak ja chcę, i nic w nim nie będzie zmieniane. Jakiekolwiek zachęty, by doprowadzić do szerszej dyskusji, w której strona konserwatywna mogłaby przedstawić swoje wątpliwości, były odrzucane. W bardzo przewrotny sposób wszelkie wątpliwości przedstawiano jako zamach i chęć prawicy do zdominowania ekspozycji. Było to bardzo nieuczciwe, ale bardzo ułatwiające kampanię propagandową pod hasłem „obronimy muzeum przed patriotycznym szantażem".

WALKA DO KOŃCA

Machcewicz szedł z pełną premedytacją na czołowe zderzenie z rządem PiS. Najpierw zakładał, że nowa ekipa nie zdecyduje się na zmienianie czegokolwiek w ekspozycji, gdyż przestraszy się kampanii międzynarodowej, którą uruchomiono w obronie muzeum. Dość przypomnieć, że nawet prof. Andrzej Nowak przychylił się do wniosku brytyjskiego badacza Timothy'ego Snydera, by niczego nie zmieniać w ekspozycji.

Gdy takie gesty nie zrobiły wrażenia na ministrze Glińskim, rozpoczęła się faza walki sądowej, która miała jak najdłużej odwlec jakiekolwiek zmiany. Gdy Karol Nawrocki, mimo procesu sądowego, dokonał takich zmian dokładnie w 17 miejscach ekspozycji, rozpoczęła się histeryczna kampania protestu przeciwko niszczeniu muzeum. Pod jej wpływem np. część darczyńców zażądała oddania przekazanych muzeum eksponatów. Machcewicz z tym większą pewnością trzymał „żelazną pozycję", bo liczył, że rządy PiS potrwają najwyżej jedną kadencję. A potem, gdy PiS w 2019 r. wbrew przekonaniom jego środowiska znów wygrał, zadecydowały już swego rodzaju rutyna i wpisanie się w ostry konflikt polsko-polski. Ekipa Machcewicza żyła marzeniem o triumfalnym powrocie na stare śmieci i wskrzeszeniu wyidealizowanej już coraz bardziej ekspozycji z 2015 r.

Muzeum II Wojny Światowej kierować będą ludzie lekceważący dialog, chcący cofnąć muzeum w czasie i mający bardzo niepokojące poglądy

A co w tym czasie robiły ekipy najpierw Karola Nawrockiego, a potem kolejnego dyrektora, Grzegorza Berendta? Po pierwsze, rozpoczęto prace na Westerplatte, które przyczyniły się do odnalezienia zwłok polskich bohaterów, których nigdy nie odnaleziono po drugiej wojnie światowej. Wynikało to z tego, że Westerplatte także po wojnie uważano za strategiczny obiekt i wojsko sprzeciwiało się szerszym badaniom archeologicznym na półwyspie. Teraz, w nowych warunkach, można było nie tylko rozpocząć poszukiwanie ciał polskich obrońców, lecz także zainicjować plan budowy parku tematycznego w tym najświętszym dla Polaków miejscu.

Przez siedem lat rządów dyrektorów Nawrockiego i Berendta zorganizowano wiele wystaw czasowych, konferencji historycznych i wydano wiele cennych publikacji. Mimo ciągłego sądowego pistoletu, który przystawiał Machcewicz do głów kolejnym szefom muzeum, rozbudowywano i ulepszano ekspozycję. To trzeba jednak podkreślić: nigdy nie pojawiał się żaden projekt całkowitej jej zmiany. Był to wyraz dobrej woli, którą ekipa Machcewicza nieustannie lekceważyła i wręcz uważała za dowód słabości.

WEJŚCIE SMOKA

Wygrana Koalicji PO-Trzecia Droga-Lewica była spełnieniem długoletnich marzeń ekipy rządzącej muzeum w latach 2008–2016. Bardzo szybko ogłoszono, że dyrektor Grzegorz Berendt zostaje odwołany ze swego stanowiska, a w marcu 2024 r. pełniącym obowiązki dyrektorem został prof. Rafał Wnuk – zastępca Machcewicza z lat 2008–2016. W czerwcu 2024 r. odwołano z rady wszystkich tych jej członków, którzy protestowali przeciwko odwołaniu dyrektora Berendta.

Z perspektywy czasu można uznać, że było to przygotowanie do usunięcia zmian w ekspozycji. Duża część rady na pewno protestowałaby przeciwko tej operacji, ale gdy już usunięto „niewłaściwe" osoby, dyrektor Wnuk mógł przystąpić do swego idée fixe przywrócenia ekspozycji dawnego kształtu.

Z punktu widzenia muzealnictwa była to swoista demonstracja arogancji. Od stworzenia tamtej koncepcji minęło już 10 lat i wracanie do dawnego kształtu jest anachroniczne. Ale jeśli nowe kierownictwo chce cofnąć czas do okresu swojej władzy, to oczywiście taki gest nie mógł dziwić. Swoistym manifestem nowego dyrektora był wywiad z nim zamieszczony w „Gazecie Wyborczej" w maju br. Dawał on dobrą próbkę tego, że w ciągu dziewięciu lat oderwania od władzy dawni członkowie ekipy Machcewicza nie mieli ochoty na jakąkolwiek refleksję na temat tego, że tego typu placówka musi godzić różne typy wrażliwości. Już sam początek był ewidentnie konfrontacyjny. „Nigdy nie poddam się patriotycznemu szantażowi – ani jako historyk, ani jako dyrektor muzeum" – deklarował Wnuk, specjalnie nie wyjaśniając, co ma na myśli pod określeniem „patriotyczny szantaż".

Bardzo istotne było też to, że nowy dyrektor muzeum poproszony przez dziennikarza „Wyborczej" o odpowiedź na pytanie, jakie są dziś punkty zapalne w polskiej historii drugiej wojny świato-

eprasa.pl 52e0f83c74

wej, skupił się na kwestii Holokaustu. Jak mówił: „Spór ogniskuje się wokół kwestii: czy ofiara może być również sprawcą? Bo już wiemy, że Polacy byli ofiarami, nierzadko obserwatorami, a czasem sprawcami lub współsprawcami zbrodni. Niektórzy występowali we wszystkich tych rolach kolejno, podobnie zresztą jak inne podbite nacje".

W rozumowaniu Wnuka zabrakło jednego ważnego elementu. Polacy tym różnili się od Litwinów, Węgrów, Rumunów, Słowaków czy Francuzów, na terenie których ojczyzn dokonywał się Holokaust, że Polacy na nieporównywalnie większą skalę walczyli zbrojnie z reżimem hitlerowskim. Nie można abstrahować od tego w ocenie polskiego stosunku do zagłady Żydów. Polski lotnik walczący w podniebnym pojedynku z niemieckim myśliwcem, polski marynarz uczestniczący w konwoju przez Atlantyk czy polski żołnierz napierający na niemieckie pozycje we Włoszech przyczyniali się do szybszego zakończenia działalności obozów śmierci w Auschwitz-Birkenau czy w Treblince.

Tym samym, jeśli w muzeum pod wodzą Wnuka będzie panować niechęć do pokazania „kultu polskiego oręża", to widz z Hiszpanii czy Japonii nie będzie w stanie zrozumieć, dlaczego Polacy są ze swojej postawy w ostatniej wojnie dumni.

I dalej. Jeśli nie zrozumie się specyfiki dumnego i odważnego zachowania Polaków wobec niemieckiej okupacji, a jednocześnie nie zostanie przedstawiona skala ofiar ludności polskiej, to niemożliwy będzie sprawiedliwy osąd, czy Polacy zrobili dostatecznie dużo, aby ratować Żydów w czasie istnienia rządów niemieckich okupantów.

Kolejny niepokojący sygnał myślenia Rafała Wnuka o polskiej przeszłości to kwestia tezy o ok. 4 mln Polaków walczących w jednostkach niemieckich. Spora część z podanej liczby przyjęła volkslistę z własnej woli, uważając się za Niemców, a część z powodu połakomienia się na pewne przywileje, które taki status dawał. Jednocześnie trzeba podkreślić, że część tych osób została wcielona do Wehrmachtu wbrew swojej woli, w efekcie podpisania volkslisty wynikającej z chęci przetrwania i obawy przed trafieniem do obozu lub wysiedleniem. Ale tak drażliwego i skomplikowanego problemu dyrektor placówki zajmującej się ostatnią wojną nie może puentować efektownym stwierdzeniem o „4 mln Polaków w armii niemieckiej". Niepokoi także brak reakcji Wnuka na prowokacyjne stwierdzenie przeprowadzającego wywiad, że „nasza armia na zachodzie składała się w połowie z byłych folksdojczów".

Jeszcze jedna próbka arogancji Wnuka. Odnosząc się do kwestii stosunku do Narodowych Sił Zbrojnych, pozwala sobie on na stwierdzenie: „Z punktu widzenia rządu emigracyjnego oddziały te działały przeciw Polsce". Od kogoś z tytułem profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego można oczekiwać, że niezwykle skomplikowany stosunek polskich władz na uchodźstwie do oddziałów, które uchylały się od scalenia z AK, był nieporównanie bardziej zniuansowany niż prostacka teza, że Londyn rzekomo miał uważać, iż NSZ działają przeciwko Polsce.

BEZ COFNIĘCIA CHOĆBY O MILIMETR

Te trzy próbki swoistej tromtadracji Rafała Wnuka pokazują, że incydent z usunięciem sylwetek rtm. Witolda Pileckiego, rodziny Ulmów czy o. Maksymiliana Kolbego nie był przypadkiem, a jedynie konsekwencją pewnego stylu arogancji, który cechował ekipę Pawła Machcewicza przez ostatnie 15 lat. Zresztą szybko potwierdził to sam Paweł Machcewicz, który – mimo że nie zdecydował się na powrót do gdańskiego muzeum – natychmiast ruszył w sukurs swoim dawnym współpracownikom. Pytany przez „Gazetę Wyborczą", czy usunięte materiały powinny zostać przywrócone, Machcewicz twardo odpowiedział: „Oczywiście, że nie". Ocenił, że „sposób prezentowania rodziny Ulmów fałszuje rzeczywistość historyczną", a „dodanie ojca Kolbego [to] jakieś wyróżnienie go, element konfesjonalizacji wystawy".

Ten ostatni cytat również wymaga komentarza. Teza, że dołączenie sylwetki polskiego kapłana do opowieści o minionej wojnie to konfesjonalizacja ekspozycji, jest kompromitująca w sensie wiedzy historycznej. Jest polskim fenomenem z czasów drugiej wojny światowej skala niemieckich represji wobec duchowieństwa. W obozie koncentracyjnym w Dachau polscy kapłani stanowili największą grupę etniczną spośród wszystkich więzionych tam księży i zakonników. Przywoływanie przez Machcewicza określenia z języka zacietrzewionych antyklerykałów budzi poważne zaniepokojenie sposobem myślenia kręgu historyków, któremu patronuje. I to jest problemem, a nie usunięcie tego czy innego zdjęcia z ekspozycji.

Nowe kierownictwo nie spodziewało się chyba skali protestu przeciwko demonstracyjnemu zlekceważeniu trzech symboli polskiej pamięci. Presja społeczna była tak silna, że zmusiła nawet wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza do zdystansowania się od działań nowego kierownictwa muzeum. Ba, nawet Donald Tusk uznał za stosowne wezwać do tego, aby nowe muzeum starało się łączyć, a nie dzielić Polaków. I być może tylko dlatego dyrekcja postanowiła stworzyć wrażenie, że wycofuje się ze swojej decyzji. Co charakterystyczne jednak, „Gazeta Wyborcza" natychmiast zaatakowała tę chwilę słabości.

„W sprawie Muzeum II Wojny Światowej Kosiniak-Kamysz wchodzi w buty PiS. Ale po co te buty Tuskowi?" – pisał komentator „GW" Mirosław Maciorowski. Rychło potem 163 badaczy podpisało deklarację solidarności z działaniami prof. Rafała Wnuka i dr. Janusza Marszalca, zmierzającą do przywrócenia wystawie stałej pierwotnego kształtu.

I wreszcie nie sposób nie przytoczyć lekceważącej wypowiedzi prof. Wnuka w Radiu Gdańsk, który przyrównał wprowadzenie zdjęć Pileckiego, Ulmów i o. Kolbego do ekspozycji do sytuacji, w której jakiś miłośnik kreskówek wrzuca Supermena do bitwy pod Grunwaldem. I dalej: „Supermenów będziemy starali się z całej opowieści wyczyścić. Krótko mówiąc, na tyle, na ile znam pana Machcewicza, pana Majewskiego, pana Marszalca – oni się raczej szantażu patriotycznego nie przestraszą". Ta deklaracja pokazuje jasno, że ostatnie cofnięcie się to jedynie wynik nacisku polityków Koalicji zaniepokojonych skandalem. Prawdziwym problemem jest to, że Muzeum II Wojny Światowej kierować będą ludzie lekceważący dialog, chcący cofnąć muzeum w czasie i mający bardzo niepokojące poglądy, w wielu miejscach zdradzające brak obiektywnej wiedzy historycznej.

Ten konflikt nie skończy się zbyt szybko. A slogan o „patriotycznym szantażu" już stał się znakiem rozpoznawczym dyrektora Rafała Wnuka. Na jak długo?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. MARCIN OBARA/PAP

eprasa.pl 52e0f83c74

Z Janem Krzysztofem Ardanowskim, byłym ministrem rolnictwa, przewodniczącym Rady do spraw Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, o jego nowym projekcie politycznym

rozmawia Ryszard Gromadzki

Czas Kaczyńskiego dobiegł końca

RYSZARD GROMADZKI: Po ponad 20 latach działania w Prawie i Sprawiedliwości opuszcza pan to ugrupowanie i ogłasza zamiar założenia własnej partii. Wydarzyło się coś nadzwyczajnego, co przepełniło czarę goryczy, czy może uznał pan, że dalsza walka o wewnętrzną reformę w PiS nie ma już sensu? Wielu sympatyków PiS upatrywało w panu „sumienie partii", polityka, który nie bał się mówić wprost prezesowi Kaczyńskiemu tego, co mu się w partii nie podoba.

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI: Dziękuję za tę ocenę. Moja decyzja o odejściu z PiS była skutkiem procesu, który we mnie dojrzewał, a także obserwacji tego, co dzieje się na scenie politycznej. Myślę o kolejnych wyborach przegranych przez PiS, co jest zarówno efektem wewnętrznej struktury partii, jak i poważnych błędów, które popełniło Prawo i Sprawiedliwość w kolejnych kampaniach wyborczych. Odejście z PiS nie jest dla mnie łatwą decyzją. Byłem z tą formacją związany 23 lata. Śmiem powiedzieć, że byłem dla partii jakąś wartością dodaną, choć pewnie różni Suscy czy inni z wianuszka pochlebców otaczających prezesa Kaczyńskiego będą oceniali to inaczej. Głosowali na mnie w znacznym stopniu wyborcy, którzy popierali mnie, a nie PiS. Wspierałem Prawo i Sprawiedliwość w różnych sytuacjach, również pełniąc funkcję ministra rolnictwa, co zaowocowało wysokim poparciem dla PiS na wsi w wyborach parlamentarnych w 2019 r. i prezydenckich rok później. To nie autopromocja, tylko ocena zewnętrzna.

Błędy w polityce nie są niczym nadzwyczajnym, problem pojawia się, kiedy się w nich trwa. Z przegranych wyborów parlamentarnych i samorządowych odtrąbionych jako sukces, choć de facto przegranych, nie zostały wyciągnięte żadne wnioski. A przecież w systemie parlamentarno-gabinetowym zwycięzcą wyborów jest to ugrupowanie, które potrafi stworzyć rząd. Jeśli nie jest w stanie stworzyć go samodzielnie, co w Europie będzie pewnie absolutną rzadkością ze względu na coraz większe podziały w społeczeństwach, to musi tworzyć rząd, budując większość w Sejmie w oparciu o koalicję. Prawo i Sprawiedliwość nie słuchało nie tylko mnie, nie wyciąga wniosków z błędów, na które zawracają również uwagę inni. Można bagatelizować posła ze wsi, chociaż ja mam codzienny kontakt, podobnie jak wielu posłów z tzw. terenu, z normalnymi ludźmi, w przeciwieństwie do tych, którzy okopali się gdzieś tam w Warszawie i stanowią tzw. kierownictwo. Kiedy jednak o tych problemach mówią wybitni intelektualiści życzliwi prawicy, jak prof. Andrzej Nowak, czy środowisko związane z Klubem Ronina, którzy zwracają uwagę na konsekwencje błędów, również apelując do PiS od wielu miesięcy m.in. o zmianę przywództwa, o otwarcie się na nowe środowiska, o strategię wobec młodzieży, to należałoby „spojrzeć w lustro" i uderzyć się w piersi.

Dodam do tego rejestru poważne błędy w polityce rolnej w ciągu ostatnich kilku lat, kiedy nie słuchano również moich uwag dotyczących podejścia do rolników czy wzmocnienia ich pozycji rynkowej, uważając, że poparcie społeczne można kupić różnymi dotacjami przed wyborami.

Kierownictwo PiS utraciło słuch społeczny?

To, co było siłą PiS, szczególnie w pierwszej kadencji jego rządów, którą oceniam bardzo wysoko, czyli wsłuchiwanie się w głos ludzi, realizowanie działań, które były społecznie akceptowane, a jednocześnie zdolność do przyznania się do błędów i przeproszenia za rzeczy, które nie wyszły, to wszystko zostało gdzieś utracone w drugiej kadencji. Na dodatek bardzo wartościowi, ideowi ludzie w PiS, którzy chcą jak najlepiej służyć Polsce, czuli się zażenowani „desantem" różnej maści karierowiczów, tych tzw. tłustych kotów, czerpiących bez skrupułów profity z poparcia ze strony PiS, nie ponosząc przy tym żadnej politycznej odpowiedzialności za różne skandale i patologie wyciągane teraz przez ekipę Tuska. To wiąże się również z kwestią przywództwa. Trzeba powiedzieć wprost, że projekt polityczny, którym było Prawo i Sprawiedliwość, który pozwolił tej partii zdobyć władzę i utrzymać ją przez dwie kadencje,

eprasa.pl 52e0f83c74

w tej chwili jest schyłkowy. Ten projekt nie daje już szansy na odzyskanie władzy.

Zmiana szyldu na Biało-Czerwoni to chyba za mało, żeby PiS wrócił na zwycięski kurs...

Zdecydowanie tak. Jeżeli komuś się wydaje, że ktoś się da nabrać na rebranding, czyli planowaną zmianę nazwy, przy tym samym kierownictwie, to znaczy, że jest niepoważny, że bardzo oderwał się od społeczeństwa, od normalnych ludzi.

W Polsce mamy do czynienia z procesem, w którym szefowie dwóch największych konkurencyjnych partii dążą do stworzenia układu dwupartyjnego. Tusk, który w sposób cyniczny, ale bardzo profesjonalny, prawie doprowadził do upadku Trzecią Drogę i Lewicę, rozgrywając perfekcyjnie swoich koalicjantów, nie chce, żeby po tamtej stronie sceny politycznej istniało cokolwiek innego poza PO. Podobną politykę od lat realizuje prezes Kaczyński, niszcząc koalicjantów, wszystkie te mniejsze partie, które kiedyś wokół PiS orbitowały.

W Prawie i Sprawiedliwości wytworzono przekaz, zgodnie z którym Kaczyński jest genialnym strategiem, człowiekiem przewidującym wszystko na wiele lat do przodu. Jeżeliby tak było, to sam powinien zrozumieć, że czas jego przywództwa, bezpośredniego wpływania na funkcjonowanie partii, dobiegł końca. Kaczyński powinien zostać honorowym prezesem, który zachowałby wpływ na swoją formację tak długo, jak by żył i pozostawał w pełni władz umysłowych. Jednak prezes Kaczyński traktuje PiS jako prywatną partię. Zresztą wielokrotnie podkreślał, i nie jest to tylko moje spostrzeżenie, że dla niego najważniejsza jest partia, a nie cele, która ona ma realizować. Konia z rzędem temu, kto wie, jaki jest w tej chwili program Prawa i Sprawiedliwości poza totalną krytyką, nawet w dużej mierze uzasadnioną, ekipy obecnie rządzącej Polską. Kiedy przystępowałem do PiS, partia ta miała wyraźny program prospołeczny i patriotyczny, związany z polską tradycją i katolickim dziedzictwem. Akcentowała wówczas wsparcie dla tych grup społecznych, które transformacja zepchnęła na margines. Dotyczyło to także przekształceń w rolnictwie. Dziś PiS nie ma żadnego jasnego programu.

Jeżeli komuś się wydaje, że ktoś się da nabrać na rebranding PiS, czyli planowaną zmianę nazwy, przy tym samym kierownictwie, to znaczy, że jest niepoważny, że bardzo oderwał się od społeczeństwa, od normalnych ludzi

Przypomina mi to taktykę „prawdy etapu" stosowaną przez bolszewików. Robimy coś, bo etap tego wymaga, a potem nadchodzi kolejny etap i nowa prawda. To nie buduje szans na zdobycie władzy za trzy lata. A żeby wpływać na Polskę, powstrzymać procesy destrukcyjne, wpływać także na politykę Unii Europejskiej, moim zdaniem złą i szkodliwą dla Europy, tę politykę lewacką, neomarksistowską, która poprzez zmianę traktatów dąży do odebrania suwerenności państwom narodowym, tworząc jakieś mityczne państwo europejskie z dominacją Niemiec, trzeba mieć pomysł, jak odzyskać władzę w Polsce.

W mojej ocenie Prawo i Sprawiedliwość nie ma realnych szans na zdobycie władzy. Samodzielne rządy PiS można włożyć między bajki, a koalicji z tą partią nikt nie chce. Jest wręcz kordon sanitarny wokół Prawa i Sprawiedliwości. Trzeba postawić pytanie: Czy prezesowi Kaczyńskiemu i jego akolitom chodzi o odzyskanie władzy i skierowanie Polski na tory rozwoju, oparte na aksjologii europejskiej, czy chodzi o to, żeby za każdym razem iluś swoich ludzi wprowadzać do Sejmu i Senatu, żeby tam mieli „wikt i opierunek" i w pewnym sensie fundusz emerytalny dla starzejących się działaczy partyjnej wierchuszki?

A więc prymat partyjniactwa nad myśleniem o państwie. Odwieczne przekleństwo polskiego życia publicznego.

Jak powiedziałem wcześniej – prezes Kaczyński wielokrotnie podkreślał ten prymat. Dla mnie papierkiem lakmusowym takiego podejścia jest tworzenie list wyborczych, gdzie biernych, miernych, ale wiernych obsadza się na preferowanych miejscach, a nie tych, którzy mają zdrowy rozsądek, rozeznanie sytuacji społecznej lub międzynarodowej i reprezentują sobą coś w sensie osobowym czy intelektualnym. Przykładem z ostatnich wyborów jest potraktowanie Jacka Saryusz-Wolskiego czy profesorów Legutki i Krasnodębskiego i zastąpienie ich takimi ludźmi jak Kamiński, Wąsik czy Jacek Kurski.

Chce pan zbudować swój projekt polityczny na gruzach PiS? Do kogo adresuje pan polityczną ofertę? Deklaruje pan, że w ugrupowaniu, które tworzy, będzie zarówno miejsce dla ludzi z PiS, jak i z PSL, Konfederacji i innych środowisk. To dość pojemna formuła.

Przede wszystkim to jest oferta, tak ją sobie wyobrażam, dla ludzi zdroworozsądkowych, o nastawieniu centrowym i konserwatywnym, odwołujących się także do tradycji chrześcijańskiej. Ale jest to także oferta dla rozczarowanych zarówno jedną, jak i drugą opcją polityczną, dla rolników i przedsiębiorców.

Wcześniej byłem wiele razy zachęcany, żeby utworzyć partię chłopską, szczególnie kiedy pojawiły się protesty po ogłoszeniu niesławnej „piątki dla zwierząt" i – w ostatnich latach – po niszczeniu polskiego rynku importem z Ukrainy. Uważam, że tworzenie dziś partii klasowych mija się z celem. Partie powinny mieć kompletne programy dla całego społeczeństwa. U podstawy każdego projektu politycznego musi być odniesienie do gospodarki. To niezmiernie istotne. Nie tylko idee niepodległościowo-patriotyczne są ważne. One są oczywiście pryncypiami, ale jednocześnie musimy budować silną gospodarkę.

Wchodząc do ostrej gry politycznej musi się pan liczyć z ostrzałem z obydwu stron. Dla PiS będzie pan zdrajcą prawicy.

Jestem realistą. Widziałem różne rzeczy w polityce i chyba niewiele jest mnie w stanie zaskoczyć czy zdziwić. Będą pewnie docinki, o ojcobójstwie i zdradzie („Et tu, Brute, contra me") w stosunku do Kaczyńskiego. Tylko proszę mi przedstawić realność pomysłu na odzyskanie władzy za trzy lata. Chybiona polityka ze strony PiS też mi się nie podoba. Jej przy-

eprasa.pl 52e0f83c74

kładem był totalny atak na Konfederację przed wyborami parlamentarnymi. Dla mnie to była jakaś aberracja. Konfederacja nie jest zagrożeniem dla Polski. To są ludzie trudni i skomplikowani, bo to trzy różne środowiska trochę sztucznie ze sobą współpracujące, ale są to na pewno ludzie dobrze życzący Polsce.

Albo cyniczna gra wobec PSL. Najpierw totalny atak, wręcz z żądaniem delegalizacji, a później umizgi, jakie to mamy wspólne prawicowe wartości. To była kpina, tak się nie uprawia polityki. To nie świadczy o strategicznym geniuszu prezesa Kaczyńskiego. On na pewno wie, w jaki sposób gasić pożary w PiS, wiele razy to robił, wyrzucając często ludzi bardzo wartościowych, zmuszając ich do odejścia albo zastraszając czy przekupując kolejnymi stanowiskami. Mogę podać sporo przykładów posłów poprzedniej kadencji, którzy nie powinni pełnić żadnych funkcji rządowych, ale tylko dlatego, żeby ich ambicje zaspokoić i nie dopuścić do frondy, pan prezes gotowy był prawie na wszystko.

Dla mnie to już historia, to już nie są rzeczy istotne. Pękło pewne tabu o nieomylności pana prezesa. O tym, że wszystko musi się kręcić wokół niego. To było wręcz zaczadzenie lub strach.

Wierzy pan, że ludzie będący dziś w PiS, posłowie, działacze partyjni, pomimo tego zaczadzenia Kaczyńskim pójdą za panem?

Wielu się nad tym zastanawia. Jednak wielu, ze względu na to dotychczasowe uzależnienie, na to, że jedynym punktem odniesienia w partii był prezes Kaczyński, a posłowie są traktowani jak żołnierze mający działać na rozkaz – „ruki po szwam" i naciskać guzik – proponowali w dalszym ciągu, żeby może jednak porozmawiać z prezesem, żeby on to zaakceptował. Albo sugerowali utworzenie jakiegoś forum wewnątrz PiS itp.

Przez wiele lat funkcjonował na prawicy mit Kaczyńskiego, którego nie wolno krytykować wręcz jak świętego, bo to jest obrazoburcze. Szanuję to, co osiągnęli bracia Kaczyńscy – jeszcze raz podkreślę swój związek z Lechem Kaczyńskim – tworząc jakąś formę organizacji polskiej prawicy. Ale powtarzam: ten projekt nie daje dziś realnej szansy na odzyskanie władzy w wyborach parlamentarnych po to, żeby Polskę ratować i naprawiać. Dlatego podejmuję takie działanie. Nie ma we mnie emocji.

Rozmawiają ze mną różni ludzie, nie tylko politycy. Słyszę cały czas głosy: „Niech będzie lider, niech będzie nazwa, rozpoznawalne logo, bo to jest najważniejsze". Ciągle pytany jestem o nazwiska polityków, którzy włączą się w ten projekt. Mnie chodzi przede wszystkim o integrowanie rozproszonych środowisk centroprawicowych. Proces tworzenia nowej partii wiąże się przede wszystkim z realną oceną sytuacji politycznej. Partia, o której mówię, będzie miała szansę w wyborach parlamentarnych za trzy lata, bo moim zdaniem żadnych przedterminowych nie będzie.

A może nie za trzy lata, tylko za rok? W przyszłym roku odbędą się wybory prezydenckie. Pan cieszy się sporym kapitałem szacunku społecznego. Być może nieoczywisty kandydat Jan Krzysztof Ardanowski nie byłby bez szans w walce o najwyższy urząd w państwie?

Proszę wybaczyć, ale nie chcę odpowiadać na tego typu pytanie. Jednak co do kandydata na prezydenta, to jeżeli będzie nominatem Jarosława Kaczyńskiego, przez niego namaszczonym (może nawet ktoś genialny się jeszcze objawi), to wybory przegra, bo zadziała mechanizm anty-PiS. Kandydat z szansami na powodzenie musi reprezentować o wiele szersze środowisko. Być może będzie to ktoś, kogo wskaże nowa partia. Ktoś, kto będzie do zaakceptowania przez rolników i przedsiębiorców, a także przez środowiska, które z powodów ideowych przerażone są lewackim kursem realizowanym przez ekipę Tuska.

Jan Krzysztof Ardanowski spełnia te kryteria...

Nie stawiajmy wozu przed koniem. Chciałbym, żeby ugrupowanie, które tworzę, nie było partią kolejnego wodza, kolejnego Kaczyńskiego czy Tuska. Buduję partię, która ma być oparta na zbiorowej mądrości. Oczywiście ktoś musi przewodzić i być piorunochronem. Tak to działa. Ale to nie może być partia wodzowska, realizująca politykę, o której Kaczyński wielokrotnie mówił, że „partia ma być jak jedna pięść". Nie ze mną tego typu działania.

Wydaje mi się, że w społeczeństwie, szczególnie wśród ludzi o poglądach centroprawicowych, zdroworozsądkowych, jest duże zapotrzebowanie na partię, która byłaby ich reprezentacją. To pewne, że będą problemy: wybujałych chęci, cwaniaków chcących zostać „tłustymi kotami", gry służb, osób podstawionych przez konkurencję itd. Jednak trzeba spróbować, trzeba się z tym zmierzyć.

Jak powiedziałem – ta partia potrzebna jest na wybory za trzy lata, choć ujawnić się musi oczywiście już stosunkowo niedługo. Najbliższe miesiące trzeba poświęcić na ciężką pracę, dotarcie do różnych środowisk po to, żeby przedstawić program, zaprosić do współpracy tych wszystkich, którzy są niezadowoleni z obecnego stanu polskiej prawicy. Kiedy spotykam się z przedstawicielami rożnych środowisk, mówię im: oczekiwaliście takiego ruchu z mojej strony i ja ten ruch wykonałam, ale teraz wszystkie ręce na pokład. Trzeba przygotować m.in. program dla określonych branż, dla przedsiębiorców z sektora MSP, dla rolnictwa, bo program, którego byłem współautorem w 2015 r., wymaga aktualizacji i korekty. Wszyscy ci, którzy chcą się zaangażować w mój projekt, muszą zapomnieć o przyszłych benefitach, a wziąć się do ciężkiej pracy. Może to górnolotne, co powiem, ale chodzi o kształtowanie Polski według naszych marzeń. To, co mogę zapewnić, to przesłanie Churchilla do Brytyjczyków z początku drugiej wojny światowej, czyli „krew, trud, łzy i pot", ale jestem przekonany, że Polska potrzebuje nowej nadziei. Tu nie chodzi o partię dla partii, ale o partię, która ma ratować kraj.

Wydaje mi się, że w społeczeństwie, szczególnie wśród ludzi o poglądach centroprawicowych, zdroworozsądkowych, jest duże zapotrzebowanie na partię, która byłaby ich reprezentacją. Ta partia potrzebna jest na wybory za trzy lata

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Upokorzenie zamiast wsparcia

Rafał A. Ziemkiewicz

Kanclerz Niemiec wystawił i ośmieszył swoich „największych sojuszników". Tylko czy w ogóle obchodzi go uległy rząd Tuska?

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Wizyty głów i szefów państw w innych państwach zasadniczo dzielimy na „oficjalne" i „robocze" – ale w III RP wypracowaliśmy jeszcze jeden ich rodzaj, który można by nazwać „wizytą wspierającą". To, że państwo polskie jest słabe i zawłaszczone przez sitwy, przez wielu obywateli, także tych opiniotwórczych, nazywane „państwem z dykty" i uważane za niereformowalne, przekłada się na generalnie niewielki szacunek Polaków dla swoich rządzących. Nawet ci, którzy ich wybrali, motywowani emocjami tożsamościowymi i potrzebą trzymania z dala od władzy wrogiego politycznego plemienia, często traktują swą decyzję jako wybór mniejszego zła.

Jednocześnie postkolonialne kompleksy Polaków sprawiają, że znacznie większym szacunkiem darzą obcych. Wystarczy, żeby zagraniczny pisarz albo historyk zajął się Polską albo powiedział o niej coś miłego, a staje się nad Wisłą bożyszczem, choćby u siebie był całkiem nieznany, a wartość jego książek, delikatnie mówiąc, mocno ustępowała rodzimej produkcji. Nie inaczej jest z politykami i ideami politycznymi. Unia Europejska nigdzie w Unii Europejskiej, a już zwłaszcza nie w „starej Unii", nie cieszy się tak wielkim deklarowanym poparciem jak właśnie w Polsce; a jeszcze większą miłością i szacunkiem darzą Polacy Amerykę.

I to właśnie kolejni prezydenci USA zainicjowali, na prośbę swych polskich sojuszników, procedurę „wizyty wspierającej". Takiej, której głównym celem nie jest wynegocjowanie czy podpisanie czegokolwiek, ale publiczne pokazanie Polakom: wasza władza to „good fellows", zobaczcie, szanujemy ich i popieramy, więc i wy powinniście ich szanować i popierać. W wypadku wizyt kolejnych prezydentów USA ten akt udzielania amerykańskiej sakry miał szczególnie spektakularną oprawę, przybierając formę wielkich wieców z udziałem chętnie uczestniczących w nich Polaków.

CO MIAŁ ODPALIĆ SCHOLZ

Donald Tusk i jego ekipa oczekiwała podobnego efektu po wizycie kanclerza Niemiec, Olafa Scholza. Nie planowano wprawdzie wielkiego wiecu – Scholz to jednak nie tego kalibru postać co Obama czy Trump, zresztą jego publiczne pojawienie prowokowałoby opozycję do kontrmanifestacji; prawdopodobnie to właśnie obawa przed nimi sprawiła, że wizyty wcześniej nie zapowiadano. Ale przygotowana została cała narracja, którą kanclerz Niemiec miał swoim przybyciem i słowami „odpalić".

W skrócie: Scholz przyjechał – takie przynajmniej były oczekiwania polskiego premiera – by powiedzieć Polakom, że pod rządami PO i Tuska stają się „drugą siłą" w Unii Europejskiej. „Polska może zastąpić Francję", „Nowy układ sił", „Polsko-niemiecki silnik gospodarczy Unii" – sypnęły się zawczasu przygotowane tytuły w prorządowych mediach, głównie za sprawą uaktywnionego na czas wizyty Polsko-Niemieckiego Forum Gospodarczego, na którym niemiecka wiceminister gospodarki i ochrony klimatu, Kirsten Scholl, zachwalała polską innowacyjność, posuwając się nawet do przyznania, że „wyniki gospodarcze Niemiec nie są tak

eprasa.pl 52e0f83c74

korzystne jak w Polsce", a polski wiceminister rozwoju i technologii, Ignacy Niemczycki, zapewniał, że chcemy, aby nasza współpraca rosła „nie tylko w wymiarze ilościowym, lecz także jakościowym".

Kto wgłębił się w te deklaracje, zauważy bez trudu, że ów „wymiar jakościowy", wymiennie zwany w języku oficjalnych wystąpień „innowacyjnością", rozumiany jest niemal wyłącznie jako „zielone technologie", na które postawienie, wedle niemieckich planów sprzed lat, miało być kołem zamachowym europejskiego cudu gospodarczego, umożliwiając dogonienie USA i Chin. I chociaż rzeczywistość wszystkim ich rachubom zaprzeczyła, to nasi sąsiedzi zdają się nie zauważać, że rozpętane szaleństwo „ratowania planety" w istocie sprzyja bardziej „gonionym" potęgom niż próbującej ich dogonić gospodarce niemieckiej – Chiny skopiowały i poprawiły niemieckie technologie elektromobilności, wypychając je już nawet z rynków europejskich; Ameryka już produkuje baterie sodowo-jonowe, którą to technologię europejskie koncerny, przywykłe do bezpiecznej i zyskownej symbiozy z państwową biurokracją, zwyczajnie przegapiły etc. Długofalowy plan przyłączenia peryferiów UE jako zaplecza dla wiodącej w nowej, „zielonej" gospodarce niemieckiej metropolii stracił więc już sens – ale z braku innego jest z teutońską, tępą nieustępliwością krok po kroku realizowany i właśnie przyszedł czas, by zaszczycić „odzyskaną dla Europy" Polskę stosownym miejscem w łańcuchu podwykonawców.

MY WAM POLICJĘ, WY NAM ROPĘ

Drugim dowartościowującym Polskę elementem wizyty kanclerza Niemiec i członków jego rządu w Warszawie miało być podpisanie wspólnego „polsko-niemieckiego planu działania", ustawiającego nas – przynajmniej teoretycznie – na poziomie ważnego partnera europejskiego mocarstwa w dziedzinie bezpieczeństwa, ochrony zewnętrznej granicy i walki z nielegalną migracją.

Do opinii publicznej przebiły się jednak z tego dokumentu zapisy dyskusyjne. Na przykład utworzenie na granicy polsko-niemieckiej (teoretycznie przecież od dawna już nieistniejącej) wspólnych patroli polsko-niemieckich, z prawem operowania po polskiej stronie. Tak że to, co miało stanowić clou wizyty – zobowiązanie Polski do zapewnienia dostaw ropy z naftoportu gdańskiego dla niemieckiej rafinerii PCK Schwedt w zamian za gwarancję dostaw gotowych produktów naftopochodnych z Niemiec przez rozbudowywaną w tym celu sieć rurociągów – zamiast entuzjazmu wzbudziło mieszane uczucia.

Nie wdając się w szczegóły, sytuacja wspomnianej niemieckiej rafinerii jest skomplikowana, bo jej większościowym właścicielem jest, jeszcze decyzją Angeli Merkel, Rosnieft. Jego udziały są w tej chwili zamrożone i mają być zbywane, a za czasów PiS zaawansowane starania o ich odkupienie podjął Orlen. Łatwo więc było opozycji zbudować prostą narrację: za Morawieckiego przejmowaliśmy niemiecką rafinerię, za Tuska zobowiązujemy się jej dostarczać kupowaną przez nas ropę – oto miara upadku. Narracja jest prosta jak cep, a przeciwko takowym tłumaczenia ekspertów „to bardziej skomplikowane" z zasady są przeciwskuteczne – tym razem Tusk pada ofiarą propagandowej broni, którą za rządów poprzednika wielokrotnie wygrywał.

Wszystko to zamknęło oczekiwany sukces wizyty w i tak oddanej Tuskowi „bańce" TVN i Axela Springera. Prawdziwym jednak ciosem było zachowanie samego Scholza.

Najlepiej po prostu oddajmy głos kanclerzowi: „Mamy jasny przekaz: Niemcy i Polska są dobrymi sąsiadami, bliskimi partnerami i rzetelnymi przyjaciółmi. Chcemy stworzyć nową dynamikę na rzecz naszej współpracy. W wielu dziedzinach tkwi wielki potencjał na rzecz jeszcze ściślejszej współpracy. Dzisiaj przyjęliśmy polsko-niemiecki plan działania i dzięki temu mamy całą gamę programów i projektów, nad którymi Polska i Niemcy będą ze sobą współpracować z korzyścią dla obu państw…".

I tak dalej.

„Podejmiemy działania", „chcemy stworzyć nową dynamikę", „w wielu dziedzinach", „mamy całą gamę korzystnych projektów"… Ani na moment nie wyszedł niemiecki gość poza bełkotliwe ogólniki. Z takim „jasnym przekazem" naprawdę nie warto było się fatygować do Warszawy.

BŁAZENADA

Szczególnie jeśli próbuje się nim obsłużyć sprawę dla Polaków wciąż otwartą i bolesną – sprawę wykręcenia się przez Niemcy od odpowiedzialności za zbrodnie i zniszczenia sprzed 80 lat. Cokolwiek wywiodą kazuiści od przedawnień i bierutowskich zrzeczeń, dla zwykłego człowieka rzecz jest prosta: kazuistyczne sztuczki i skorumpowanie polskich elit pozwoliły Niemcom nie zapłacić ani centa odszkodowań Polakom – jako jedynym, choć to my właśnie i nasz kraj najwięcej z rąk ich przodków ucierpieliśmy i to dobra nam zrabowane najbardziej przyczyniły się do ich powojennego dobrobytu.

Za Jaruzelskiego żartowano, że w ramach liberalizacji komuniści otworzą granicę i każdy chętny będzie mógł wyjechać pod zaledwie dwoma warunkami: że ma skończone 70 lat i że do urzędu paszportowego przyjdzie z obojgiem rodziców. Zapowiedź „podjęcia starań", żeby „zadośćuczynić żyjącym jeszcze polskim ofiarom nazizmu", zakrawa na podobną kpinę – tym większą, że wygłoszoną serio. A Tusk czy jego minister Sikorski, usiłujący na podstawie tej zapowiedzi zbudować narrację „PiS tylko tupał nogą, a my załatwiamy od Niemców konkrety", wyszli po prostu na żałosnych błaznów.

Czy Scholz nie wiedział, że „podkłada" i ośmiesza swoich najwierniejszych sojuszników? Zapewne wiedział, że kieruje się swoimi wewnętrznymi potrzebami – jakiekolwiek konkretne koncesje na rzecz Polski dawałyby wiatr w żagle AfD. Poza tym nie po to Niemcy przez osiem lat robiły na forum unijnym wszystko, by zainstalować w Polsce powolny sobie rząd, żeby teraz Warszawie w czymkolwiek ustępować.

Wizyta, która miała wesprzeć wizerunek Tuska jako „poważanego w Europie" polityka, który potrafi dla Polski coś załatwić („tylko Tusk może uzyskać dla Polski reperacje" – obiecywali Borys Budka, a za nim prorządowe media), w istocie więc upokorzyła go i wzmocniła PiS-owską narrację o bezwolnym pachołku Berlina. Zielone światło dane ministrowi Bodnarowi, by nazajutrz „przykrył ją" medialnie kolejnym aktem politycznej bandyterki, nie pozostawia wątpliwości, że Tusk zdał sobie sprawę z blamażu. Ale cóż może zrobić, nawet jeśli „znowu się wścieknie"?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Strojem w pierwszą damę

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Choć zgodnie z przyjętym zwyczajem pierwsza dama nie pracuje zawodowo, zdarza się jej spędzić w tygodniu na wykonywaniu obowiązków dwa razy dłużej niż standardowe 40 godzin, a państwo odprowadza jej jedynie składkę emerytalną, to jest recenzowana niemal na każdym kroku. W przypadku Agaty Kornhauser--Dudy szczególnie mocno przebija się krytyka, którą próbuje się wykorzystać politycznie

Para prezydencka wychodzi z pokładu samolotu podczas niedawnej wizyty w Chinach

FOT. GRZEGORZ JAKUBOWSKI/KPRP

Kolor włosów nie rozświetla i gryzie się w połączeniu z kolorem sukienki. Powinna unikać fryzury, która po bokach dodaje objętości – komentowała wygląd pierwszej damy podczas oficjalnej wizyty w Chinach ekspertka do spraw wizerunku Dorota Wolff. Agata Kornhauser-Duda, towarzysząc mężowi, spotkała się z małżonką prezydenta Chińskiej Republiki Ludowej Peng Liyuan w Teatrze Narodowym w Pekinie. Polskie media bacznie analizowały najdrobniejsze detale dobranej na tę okazję stylizacji. Na ich łamach eksperci chętnie dzielili się ocenami. – Agata Kornhauser-Duda ma świetną sylwetkę i wszelkie predyspozycje, żeby dobrze wyglądać. Niestety, jest bardzo konsekwentna, jeżeli chodzi o fryzurę, która nie dodaje uroku. Włosy w dyplomacji mogą wydawać się mało istotnym elementem, jednak odgrywają ważną rolę w kreowaniu wizerunku. Jeżeli chodzi o kolor włosów Agaty Dudy, to nie rozświetla i gryzie się w połączeniu z kolorem sukienki. Agata Kornhauser-Duda powinna unikać fryzury, która po bokach dodaje objętości – stwierdziła Wolff.

Skrytykowała także ubiór żony prezydenta. – Pierwsza dama musi uważać na dobór dekoltów. Krój sukienki jest odpowiedni do sylwetki, jednak róż jest ryzykowny do koloru włosów i bardzo zależny od światła. Ogólnie styl zachowawczy i bez polotu – stwierdziła. Ekspertka do spraw ubioru wskazała, że założona przez prezydentową do pekińskiego teatru sukienka ma poprawną konstrukcję i choć może kolor nie najlepiej współgra z fryzurą, to w kontekście kulturowym był dobrym wyborem. – Kolory mają znaczenie nie tylko estetyczne, lecz także symboliczne, wpływają na atmosferę i odbiór dyplomatycznych wydarzeń. Kolor różowy w kulturze chińskiej nie ma negatywnych skojarzeń. Jest to barwa spokoju – podkreśliła.

NUDNA ELEGANCJA

Nieco mniej łaskawy dla Kornhauser--Dudy był związany ze stacją TVN (juror w programie „Top Model") projektant Dawid Woliński. Jego zdaniem kreacja, którą pierwsza dama miała na sobie, wysiadając z samolotu po dotarciu do Chin, była dobrana błędnie. – Stylizacje pierwszej damy nie wzbudzają modowych sensacji. Zawsze bardzo prosto i raczej niewyszukanie. Kolorystyka tak bezpieczna i nudna, że aż trudno cokolwiek powiedzieć. Podobnie w tym przypadku – zauważył w mediach.

– Na tym prostym przykładzie można omówić kilka podstawowych błędów, które popełniają kobiety. Pierwszy, podstawowy: przy dużym biuście nie podkreślamy talii kontrastowym paskiem. Talię najlepiej podkreśli krój sukienki. Odcięcie w talii optycznie eksponuje biust. Pasek ton w ton byłby zdecydowanie bardziej elegancki. Widać też, że nuda znudziła samą pierwszą damę, bo poprosiła ewidentnie o urozmaicenie w postaci podwójnego mankietu. Niestety, nie pomogło. Kwadratowy dekolt karo też nie dodał lekkości. Klasyczne francuskie

eprasa.pl 52e0f83c74

cięcia poprzez biust nie dodały finezji, a wręcz odwrotnie – krytykował Woliński.

Celebryta ma dla Kornhauser-Dudy dobrą radę: „Prostsze sukienki w nowoczesnej formie, mniej zwiewności, więcej konkretów". Projektant doczekał się odpowiedzi od stylistki pierwszej damy, Doroty Goldpoint. – Mam wrażenie, że w Polsce jesteśmy wszyscy mistrzami od krytyki. Bo krytykować oczywiście można, ale w sytuacji, kiedy pracuje się w pewnym obszarze. Z tego, co wiem, to Dawid nie pracuje z osobami w dyplomacji. I patrząc na jego bardzo luźny styl, taki trochę grunge'owy, wyobrażam sobie, że klasyka jest dla niego nudna – wytknęła. – Dla każdego, kto lubi taki swobodny styl, klasyka jest nudna. Bo klasyka jest nudna, tak obiektywnie rzecz biorąc. Natomiast pierwsza dama jest, można powiedzieć, urzędnikiem najwyższej rangi w dyplomacji. I w związku z tym ją obowiązują takie zasady. Poza tym pierwsza dama nie jest osobą, która ma wnosić modę na salony. Ona ma wnosić przede wszystkim elegancję i respekt oraz szacunek do miejsca i osób, z którymi się spotyka – wyjaśniła stylistka, która na co dzień dba o stroje pierwszej damy.

Przy okazji wizyty w Azji polskim mediom nie umknęły także komentarze z chińskiej mediosfery. Co ciekawe, tam stylizacje polskiej pierwszej damy przyjęto znacznie bardziej entuzjastycznie niż nad Wisłą. Jedna z blogerek komentowała stylizację, w której pierwsza dama wyszła z prezydenckiego samolotu. Chinka stwierdziła, że uroda Agaty Dudy jest „zniewalająca". Zauważyła także, że ma ona „figurę modelki". Uwagę influencerki zwróciło również zachowanie pierwszej pary – schodząc po schodach prezydenckiego samolotu, małżonkowie trzymali się za ręce. Blogerka uznała, że to dodawało „ciepłego klimatu".

CIĄGŁA KRYTYKA

W polskiej prasie nie tak łatwo znaleźć pochlebne recenzje zarówno zachowania pary prezydenckiej, jak i strojów pierwszej damy. Z okazji święta Trzech Króli prezydent wraz z małżonką wzięli udział w uroczystym orszaku. „Agata Duda postawiła na błyszczący żakiet w bordowym kolorze oraz bluzkę i dół w dokładnie tym samym odcieniu. Choć sam zamysł był dobry, to znany stylista fryzur oraz redaktor modowy, Michał Musiał, ocenił całość wyjątkowo krytycznie" – donosiły w styczniu plotkarskie serwisy. – O ile kolor jest dobry i w trendzie, o tyle fason okazał się zupełnie nietrafiony. Jest niemodny i dodaje lat. Zdecydowanie lepiej byłoby zestawić marynarkę z szerokimi spodniami w tym samym kolorze – komentował Musiał. Ekspertowi nie spodobały się też duże lśniące guziki marynarki. „Ekspert zauważył również, że uczesanie pierwszej damy także pozostawiało wiele do życzenia. W tym roku zdecydowanie będziemy stawiać na swobodę i naturalność nie tylko pod względem ubrań, lecz także fryzur. Nic dziwnego, że ekspert uznał wymuskane, usztywnione uczesanie pierwszej damy za wpadkę. Co więcej, dał do zrozumienia, że wygląda po prostu sztucznie" – relacjonował portal Plotek.

Niedługo później, w lutym, para prezydencka udała się z oficjalną wizytą do Kenii. Jak oceniano afrykańskie stylizacje Agaty Kornhauser-Dudy? Cóż, raczej krytycznie. Cytowana wcześniej Dorota Wolff zmiażdżyła wyrazisty garnitur, w którym małżonka prezydenta wysiadła z samolotu na lotnisku w Nairobi. „Pani prezydentowa nie powinna nosić krzykliwych kolorów ani poduszek w żakietach podnoszących ramiona. Różowy lub fuksja nie jest odpowiednim kolorem w dyplomacji" – stwierdziła. Chwilę później niby pochwaliła fryzurę, jednak tylko po to, aby zaraz wbić kolejną szpilę. „Na szczęście prezydentowa zmieniła fryzurę i zaczęła zapuszczać włosy. Poprzednia fryzura była niekorzystna zarówno z uczesaniem, jak i kolorem. Pani Duda powinna unikać blondów w kolorze jajecznicy" – dodała Wolff. „Ktoś źle ubiera Agatę Kornhauser-Dudę. Brakuje tutaj nonszalancji, nowoczesnej elegancji i formy, jak np. u francuskiej czy amerykańskiej prezydentowej. Niektóre stylizacje nie są do końca trafione i wyglądają »tanio«, jak z wesela" – podsumowała specjalistka.

Trudno wymagać od portali plotkarskich, aby skupiały się na charytatywnej i społecznej działalności pierwszej damy, która to działalność jest naprawdę imponująca. Artykuły poświęcone wizycie w szpitalu dziecięcym w Szanghaju, wsparciu rozwoju ośrodka duszpasterskiego Chrystusa Króla Wszechświata w Kijowie czy wsparciu dla kół gospodyń wiejskich nigdy nie będą klikały się tak dobrze jak teksty o tytułach takich jak np. „Dawid Woliński bezlitośnie punktuje stylizację Agaty Dudy!".

Jednak wizyta w Chinach wywołała silniejszy niż poprzednie atak polityczny. Komentatorom niechętnym prezydentowi wystarczył jeden artykuł chwalący chińskie stroje pierwszej damy. „Ponad milion ludzi więzionych jest w chińskim gułagu. A ich dwoje pojechało sobie do Chin poszpanować i zabrało ze sobą klakierów" – tak tekst dotyczący stylizacji Kornhauser-Dudy o pozytywnym wydźwięku skomentował Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej". W komentarzach na portalu X próbował dowodzić, że pozytywne oceny są zupełnie nie na miejscu, podobnie jak cała wizyta pary prezydenckiej w Chinach (cóż z tego, że z Xi Jinpingiem spotykali się m.in. Olaf Scholz czy Ursula von der Leyen).

Znacznie większym brakiem kultury wykazał się prof. Wojciech Sadurski. „Poleciała do gułagu, zachwyciła kobiecością i kwadratowym dekoltem – relacjonuje PiS-owskie truchło dziennikarskie" – to jego wpis odnoszący się tego samego artykułu. Po ogromnej fali krytyki Sadurski wpis usunął, jednak stało się to, co znamienne, dopiero po chwalącej efekty wizyty w Chinach wypowiedzi premiera Donalda Tuska.

FEJKI W RUCH

Do politycznego ataku na parę prezydencką wykorzystano niedawno fejka (rozpowszechnił go w serwisie X użytkownik „Henryk Ćwiacz" – najprawdopodobniej były członek egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie). Po sieci zaczęło krążyć zdjęcie pierwszej damy z 2018 r., w koszulce z godłem Polski oraz marynarce. Użytkownik „Ćwiacz" twierdził z oburzeniem, że w takim półoficjalnym stroju Agata Kornhauser-Duda brała udział w państwowej wizycie na Łotwie. Szybko okazało się, że w koszulce z orłem pierwsza dama wsiadała do powrotnego samolotu, a podczas spotkań oficjalnych ubrana była elegancko i adekwatnie do okazji.

„Biały orzeł na stroju pierwszej damy! Skandal! Henryk »nie chciał uwierzyć«, a ja bym wolał nie wierzyć, że ktoś ma taki bałagan na strychu" – skomentował Radosław Fogiel z PiS. Jednak wprowadzający w błąd wpis – do chwili oddania tego numeru „Do Rzeczy" do druku – nie został usunięty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Wycieczki do PRL

W Krakowie można przejechać się po Nowej Hucie samochodem nazywanym kiedyś „zemstą Honeckera" FOT. CRAZY GUIDES

Łukasz Zboralski

Jeździć plastikowym trabantem i mieć meblościankę w mieszkaniu z wielkiej płyty było w PRL smutnym przymusem, a i tak dla wielu niedoścignionym marzeniem. Dlaczego po latach ludzie płacą, by tego przez chwilę doświadczyć?

Jest coś, co nas w przeszłości pociąga. Nawet gdy przeszłość ta była fatalna. Tak jest z okresem PRL. Chyba najmocniej widać to w motoryzacji. Była ona niezwykle siermiężna. Kto miał możliwość jazdy motocyklem WSK – a autor tego tekstu miał – ten wie, jak awaryjny i mało atrakcyjny był to jednoślad. Patrząc na motocykle dostępne w wolnych krajach, już wtedy można było znienawidzić to, czym jeździło się po Polsce Ludowej. Jednak dziś ceny odnowionych motocykli WSK na internetowych aukcjach przekraczają często 10 tys. zł. I wciąż znajdują się nabywcy.

Wydaje się, że właśnie motoryzacja była tym, co kilkanaście lat temu rozpoczęło boom turystyczny na atrakcje związane z socjalizmem i komunizmem. Piętnaście lat temu niezwykłą popularność w Berlinie zdobyło „safari trabantem". Turyści płacili – i do dziś płacą, bo usługa wciąż jest dostępna – by móc zasiąść za kierownicą auta wykonanego z duroplastu (bawełny utrwalonej lepikiem z żywicy), otworzyć kranik paliwa (tak, otwierało się je tak jak w dawnych motocyklach, a kto zapomniał, ten krótko po ruszeniu był zaskakiwany zgaśnięciem silnika), odpalić dwutaktowy silnik, który zostawi za sobą chmurę z charakterystycznym zapachem mieszanki benzyny i oleju. Można tak przejechać się ulicami Berlina. Lub po prostu podziwiać miasto jako pasażer takiego auta. Siedemdziesiąt pięć minut jazdy trabantem po niemieckiej stolicy kosztuje dziś równowartość 340 zł. Można nawet wynająć z grupą – za odpowiednik 1,2 tys. zł – trabanta przerobionego na długą limuzynę.

NIE TYLKO ZABAWA

W Polsce zadziałał ten sam mechanizm. Mniej więcej w tym samym czasie i u nas powstawały firmy, które pozwalają się przenieść w lata PRL. Taką atrakcję turystyczną oferują dziś w Krakowie Crazy Guides. Można tam odbyć „melancholijną podróż w czasie trabantem do Nowej Huty". Taka dwuipółgodzinna wycieczka po socrealistycznym mieście na siedzeniu tzw. zemsty Honeckera kończy się wstępem do utrzymanej w stylizacji z czasów Gierka restauracji Stylowa i kawą z fusami.

Kto chce doświadczyć tego i jeszcze za to zapłacić? – Aktualnie sytuacja wygląda tak, że obsługujemy więcej gości z zagranicy niż Polaków. Ja jednak nie wiem, czy ten PRL ich przyciąga, czy tak to można ująć – zastanawia się Michał Ostrowski z Crazy Guides I dodaje, że najnowszym hitem jest właśnie koncept turystyczny osadzony w latach 90., z nawiązaniami do gangsterskiego półświatka z tamtych czasów. – Nie przeintelektualizowywałbym tej sprawy wycieczek z PRL. W mojej ocenie ludzie tu nie mają takich głębszych przemyśleń. Po prostu wpadają do Krakowa, czasem się nudzą i chcą się zabawić. To ta zabawa tu jest. Biorą wycieczkę, są wiezieni starym autem, to jest zwykła rozrywka – uznaje Ostrowski.

Zaznacza, że turyści z zagranicy wybierający rozrywkę osadzoną w czasach

eprasa.pl 52e0f83c74

PRL często po prostu chcą zobaczyć to, czego nie widzieli i nigdy nie doświadczyli. Ich interesuje, jak wyglądał świat za żelazną kurtyną, gdy Polska była w szponach komunizmu. Przy tym oczywiście dobrze się bawią. „Moi goście zapamiętali super tekst, że w Meksyku są tequila i lemonka, a w Nowej Hucie ogórek i wódka" – napisał na stronie organizacji turystycznej człowiek, który zabrał z przewodnikami po PRL znajomych z Francji.

Bywają i momenty, w których nie jest zabawnie. Przynajmniej przewodnikom. – Raz mieliśmy wycieczkę włoskich komunistów. Okazali się ludźmi wielbiącymi Władimira Putina. Powiem, że to był najgorszy przypadek. Kolega, który zajmował się tymi turystami, po fakcie powiedział: „Nigdy więcej!". W Polsce trudno nam takie postawy, które oni prezentowali, akceptować – przyznaje Ostrowski.

W Warszawie taki turystyczny projekt kilkanaście lat temu startował również jako przejażdżka samochodem z dawnych lat oraz zwiedzanie mieszkania w wielkiej płycie, urządzonego tak jak w tamtych latach – z meblościanką i bibelotami. Dziś ten projekt rozrósł się do znacznych rozmiarów i prawdziwego Muzeum Życia w PRL. To już nie tylko zabawa, to duża dawka wiedzy na temat życia ludzi w tamtym okresie.

– Rzeczywiście zaczęło się od mieszkanka, a ewoluowało do niezależnego muzeum, które ma historię do opowiedzenia. Muzeum jest głównym elementem – mówi Rafał Patla, właściciel muzeum i firmy Adventure Warsaw.

Patla dzieli dzisiejszych turystów na dwie podstawowe grupy. Pierwszą są turyści z kraju, a także sami warszawiacy. Przychodzą w pojedynkę, w parach, całymi rodzinami. – Kupują bilet do muzeum i dostają do tego taką dodatkową atrakcję, jaką jest przejażdżka nysą. Odwiedzają wówczas kilka miejsc, takich jak Pałac Kultury, Dom Partii, prezydium Bieruta – opisuje Patla. – Następuje wtedy takie liźnięcie tematu, pokazujemy obiekty, opowiadamy związane z nimi anegdoty.

Poważniejsze wycieczki to „Komunizm tour". Nie są tanie. Cena zaczyna się od 1,1 tys. zł. Trwa ok. trzech godzin. – To jest produkt przygotowany w stu procentach dla klienta z zagranicy. Raczej dla dorosłego – mówi Rafał Patla. – To są ludzie zainteresowani XX w., historią Warszawy, historią Polski. Zależy im na zrozumieniu tego, czym był komunizm, socjalizm. Chcą dowiedzieć się, co przeżyliśmy nad Wisłą i jak doprowadzono do tego, że jesteśmy dziś wolni. Miejsca, które podczas wycieczki odwiedzamy, są pewnym tłem do opowiedzenia tych wszystkich rzeczy. To nie tylko stricte opowieści o socrealistycznej architekturze, lecz także pretekst, by wejść w życie ludzi, którzy wtedy tu żyli i mieszkali, by opowiedzieć, co się u nas wydarzyło.

NOSTALGIA I CIEKAWOŚĆ

Dla tych, którzy „posmakowali" życia w szarzyźnie PRL, gdy atrakcyjne wydawały się nawet puszki po zagranicznych napojach i dzieci zbierały je, by dekorować nimi swoje pokoje, pomysł powrotu do tamtej atmosfery pozornie powinien wydawać się odrzucający. Tak jednak nie jest. Część osób wybierających takie atrakcje w Polsce żyła w PRL.

– Ja urodziłem się w 1985 r., więc tego nie przeżyłem, choć w latach 90. obcowaliśmy jeszcze z przedmiotami z PRL – one od razu nie zniknęły, były też takie samochody. Ale u osób starszych obserwujemy dużą nostalgię za tamtymi czasami – mówi właściciel warszawskiego Muzeum Życia w PRL. – Oni chcą się przejechać nyską nie dlatego, że to był dobry samochód, podchodzą do tego z pewnym rozrzewnieniem. Nie chcą wracać do tamtej motoryzacji, ale do swojej młodości. Czasem przychodzą z dzieckiem, wnukiem, by pokazać mu, jak dawniej się jeździło – dodaje.

Według Rafała Patli widać jednak u zwiedzających, że rozdzielają ocenę historii tamtego okresu od tego, że wówczas żyli i że na zawsze będzie to po prostu częścią ich życia.

Zupełnie inaczej do tego wszystkiego podchodzą młodzi Polacy. Dla nich PRL jest podobnie odległą sprawą z przeszłości jak polska przedwojenna czy rozbiory. – Dla ludzi z roczników 2000 i młodszych to jest kosmos. To tak, jakbyśmy ich zabierali na wycieczkę na Księżyc – mówi Patla. I podaje przykłady: – Walkman jest dla nas jeszcze jakąś oczywistością, ale dla młodego pokolenia jest czymś, czego nie rozumieją. Oni nie są w stanie włożyć do niego kasety magnetofonowej. A gdy cofamy się jeszcze dalej, jest jeszcze ciekawiej. Na przykład gdy oglądają przedmioty z lat 50. ubiegłego wieku. Niby niektóre z nich nie różnią się od współczesnych, ale dla nowych pokoleń zaskoczeniem jest to, że nie ma plastiku, że go nie było i dlatego wiele rzeczy wykonywanych było z drewna, metalu czy ze szkła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dla niektórych powót do PRL to powrót do chwil młodości FOT. ADVENTURE WARSAW

eprasa.pl 52e0f83c74

Trzeci muszkieter

Wiesław Chełminiak

Rembrandta i Vermeera zna cały świat. Trzeci z wielkich holenderskich malarzy złotego wieku zniknął w cieniu sławnych kolegów

W tym roku może się to zmienić dzięki zmowie londyńskiej National Gallery, Rijksmuseum w Amsterdamie i berlińskiej Gemäldegalerie. Owe szacowne instytucje, działając wspólnie i w porozumieniu, zorganizowały wystawę arcydzieł Fransa Halsa. Historycy sztuki, twierdzący, że mistrz z Haarlemu „zdefiniował XVII stulecie", być może grzeszą przesadą, lecz z pewnością można go nazwać jednym z najlepszych portrecistów w dziejach Europy.

ROZWAŻNY I SPONTANICZNY

Powiedzieć o obrazach Halsa, że są realistyczne, to mało. Dwa wieki przed wynalezieniem fotografii twórca „Uśmiechniętego kawalera" potrafił zatrzymywać w kadrze ulotną chwilę. Gdyby odnalazły się jakieś szkic czy rysunek jego autorstwa, byłaby to sensacja. Wszystko bowiem wskazuje, że ten etap pracy pomijał. Nie zmuszał również modeli do wielogodzinnego pozowania. Malował alla prima, nakładając grube warstwy farby. Z ewentualnymi poprawkami musiał zdążyć, zanim płótno wyschło. Przed impresjonistami niewielu miało czelność tworzyć w taki sposób.

Nasz bohater z identyczną brawurą tworzył wizerunki mężczyzn, kobiet i dzieci (sam miał 10). Uwieczniał miejskich notabli, córkę i zięcia burmistrza, ludzi interesu, a także ulicznych komediantów czy Pietera Verdoncka, osławionego hulajgębę. „Malle Babbe" – jeden z częściej reprodukowanych obrazów mistrza z Haarlemu – to konterfekt wariatki lub alkoholiczki. Utarł się pogląd, że Rembrandt, psycholog z pędzlem, przewyższał innych holenderskich malarzy wnikliwością. Hals, starszy o pokolenie, stawiał na empatię.

„Uśmiechnięty kawaler", 1624 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 52e0f83c74

Patrząc na stworzone przezeń podobizny, czuje się fizyczną obecność ludzi, którzy – choć już dawno temu obrócili się w proch – są tak żywi, jak to tylko możliwe. Chciałoby się do nich zagadać, odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech, gestem na gest, dołączyć do toastu za pomyślność gospodarza, miasta i Republiki.

Hals rzadko się powtarzał, wymyślał wciąż nowe pozy i ujęcia. Na wystawie są dwa wizerunki Willema van Heythuysena. Na wcześniejszym ów „książę tekstyliów" przybiera pozę zwycięzcy, opierając się na szpadzie z rękojeścią ozdobioną kamieniami szlachetnymi. Na późniejszym buja się na krześle, ryzykując bolesny upadek. Czyżby aluzja do ryzykanckiej natury kupca? Obrazy dzieli 12 lat, widać nie tylko zmiany na obliczu modela, lecz także ewolucję techniki malarza. Od bogactwa kolorów i starannego wykończenia do monochromatyki i pogardy dla detalu.

W DOMU NAJLEPIEJ

Mimo nowatorstwa Hals pozostał dzieckiem swojej epoki. Całe dorosłe życie spędził w Haarlemie. Miasto, słynące z browarów i sukiennictwa, spłynęło krwią podczas wojny o niepodległość Republiki Zjednoczonych Prowincji, lecz przyjęło wielu uchodźców z Flandrii, którzy stali się sprawcami gospodarczego cudu. Miało to przełożenie na kulturę. W Haarlemie do dziś twierdzą, że ruchome czcionki wynalazł, 10 lat przed Gutenbergiem, ich ziomek. Według szacunków w latach 1605–1630 w mieście powstało ponad 100 tys. obrazów. Inaczej niż w katolickiej części Europy popytu nie napędzali rozrzutni monarchowie czy książęta Kościoła, lecz zwykli obywatele, liczący się z każdym wydanym groszem. Dla nich malowidło było meblem służącym do zakrycia pustych ścian.

Największe wzięcie miały portrety i sceny z życia domowego, pejzaże i martwe natury. Rząd dusz sprawowali kalwiniści, do sztuki religijnej czy frywolnych tematów mitologicznych nastawieni (delikatnie mówiąc) nieufnie. Uroki życia sławiono więc pod płaszczykiem moralizatorstwa. Dirck Hals, młodszy brat Fransa, utrzymywał się, ilustrując swawole „wesołych kompanii". Warto zauważyć, że w Niderlandach tradycja tego typu przedstawień sięgała średniowiecza

„Cyganka", ok. 1632 r.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i celowali w niej twórcy najwybitniejsi: Pieter Breughel i Hieronim Bosch.

Ich XVII-wieczni następcy, z braku wielkich mecenasów, musieli polegać na gildiach, działających według odwiecznych zasad. Malarz, nawet bardzo uzdolniony, latami terminował u majstra. Gdy już się usamodzielnił, zarabiał przeciętnie, a jeśli grzeszył rozrzutnością, źle inwestował lub po prostu dostawał mało zleceń, to kłopoty były nieuniknione.

Dirck znalazł pracę w Lejdzie. Frans wyprawił się do Amsterdamu, by namalować zbiorowy portret oficerów tamtejszej kompanii kuszników. Wkrótce jednak wyjechał i odmówił powrotu. Oficerowie nie chcieli zaś udać się do Haarlemu (miasta dzieli odległość 20 km). Lukratywne zamówienie przepadło, obraz dokończył kilka lat później Pieter Codde. Dziwna historia. Czyżby amsterdamscy koledzy po fachu oskarżyli Halsa o uprawianie nieuczciwej konkurencji? A może cierpiał na agorafobię, bo wcześniej ani później nie podróżował?

ZŁOTY PĘDZEL

Mistrz z Haarlemu miał problemy z utrzymaniem dużej rodziny. Dorabiał, handlując i konserwując obrazy innych autorów, ale w 1652 r. wierzyciele doprowadzili do licytacji jego majątku. Nie było tego wiele: szafa, stół, trzy materace i pięć obrazów. Gdy Hals dożył sędziwego wieku, kogoś w ratuszu ruszyło sumienie: zaczęto wypłacać mu skromną, ale stałą rentę. Zamieszkał w miejskim przytułku. Po śmierci artysty z tego przywileju korzystała też wdowa.

Każdy geniusz ma ograniczenia. Gdy zlecenie wymagało biegłości w przedstawieniu krajobrazu, Hals brał do pomocy pejzażystę

Do naszych czasów przetrwało nie więcej niż 300 dzieł Halsa. Twórcy ekspozycji postawili na jakość: w Londynie można było podziwiać ponad 50 płócien, w Amsterdamie 48. Wersja londyńska bazowała na zbiorach brytyjskich i amerykańskich. Sugestywny „Portret mężczyzny" udostępnił król Karol III. Z Niderlandów wypożyczono siedem obrazów, co kuratorzy uznali za sukces, gdyż nigdy wcześniej nie opuściły one ojczyzny.

W Rijksmuseum z podobnych powodów cieszą się z wizyty „Uśmiechniętego kawalera". W 1862 r. lord Hertford wyłożył na aukcji w Paryżu oszałamiającą sumę, by wejść w posiadanie wizerunku anonimowego pyszałka. Od tego momentu rozpoczął się renesans popularności Halsa. Współcześni historycy sztuki, nie odmawiając mu wielkości, wskazują, że za młodu ulegał wpływom caravaggionizmu, lansowanego przez malarzy z Utrechtu. We wspaniałym skądinąd „Portrecie pary małżeńskiej w ogrodzie" widać natomiast fascynację twórczością Rubensa.

Każdy geniusz ma ograniczenia. Gdy zlecenie wymagało biegłości w przedstawieniu krajobrazu, Hals brał do pomocy pejzażystę. Malując kobietę handlującą owocami i warzywami, zwrócił się do specjalisty od martwych natur Claesa van Heussena (który niestety umarł młodo). Część obrazów, tradycyjnie uważanych za portrety, jest w rzeczywistości alegoriami zmysłów, grzechów głównych lub ilustruje niderlandzkie porzekadła. W młodzieńcu trzymającym czaszkę dopatrywano się Hamleta. Szekspir był jednak nieznany XVII-wiecznym Holendrom, więc mamy do czynienia z – przenikającym kulturę baroku – motywem vanitas.

Nie wiadomo, które płótno zainspirowało Tadeusza Różewicza do napisania wiersza „Frans Hals". Na wystawie są natomiast dzieła, które natchnęły Jacka Kaczmarskiego. Najważniejszy to „Cyganka". Dziewiętnastowieczny krytyk

eprasa.pl 52e0f83c74

„Portret pary małżeńskiej w ogrodzie", ok. 1622 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pisał o niej, że to „obraz namalowany złotym pędzlem, arcydzieło światła i radości życia". W utworze polskiego barda o zawarciu bliższej znajomości z zalotną panną marzy „Wesoły bibosz", ale ona woli „Uśmiechniętego kawalera".

ŚMIECH I MROK

Monograficzne wystawy często są okazją do reinterpretacji tudzież powrotów. W National Gallery i Rijksmuseum doszło do połączenia trzech rozdzielonych przez historię par. Mowa o portretach ślubnych. Konterfekt męża wieszano po lewej, żony po prawej. Hals dokładał starań, by się dobrze ze sobą komponowały. Dbał również o interakcje, malując wizerunki grupowe. Niderlandzkim fenomenem były straże miejskie, dowodzone przez najbardziej szanowanych obywateli. Po zwycięstwie nad Hiszpanami znaczenie militarne tych formacji spadło niemal do zera, lecz muszkiety i halabardy nie rdzewiały, a sztandary nie płowiały, gdyż panowie regularnie się spotykali i mile spędzali czas.

Holendrzy już dość dawno temu nazwali Rijksmuseum katedrą sztuki, a „Wymarsz strzelców" Rembrandta jej ołtarzem. Hals uprawiał ten gatunek wcześniej i wcale nie gorzej, sam zresztą należał do Gwardii św. Jerzego. Malował jej oficerów trzykrotnie, za ostatnim razem przemycając na płótno swój autoportret. Uwieczniał też dowództwo konkurencyjnego Bractwa św. Hadriana. Strzelcy, przyłapani przez artystę reportera w ruchu, emanują dobrym samopoczuciem.

Mistrz z Haarlemu, dopóki był młody, dopóty pasjami zapełniał płótno szczęśliwymi twarzami. Wystawę nieprzypadkowo promują plakaty z „Błaznem grającym na lutni", którego na co dzień można oglądać w Luwrze. Jak wiadomo, w XVII stuleciu Europejczycy mieli mało powodów do zadowolenia. Żyło się krótko i biednie, błagając Boga, by powstrzymał wojny, epidemie, głód, pożary i prześladowania. Na tle spustoszonych Niemiec Republika Zjednoczonych Prowincji jawiła się oazą, ale i tu wypadało panować nad mimiką. „Szczerzenie zębów było wbrew etykiecie" – podkreśla kurator Friso Lammertse.

Tymczasem postacie z płócien Halsa bezczelnie się uśmiechają, dzierżąc w dłoni rekwizyt w postaci kielicha wypełnionego winem. Nadmiar trunku wzmagał uczucie błogości, objawami były szklisty wzrok i rumiane policzki. Malarz z pewnością widywał ludzi pijanych, natomiast opowieści, że sam chętnie zaglądał do butelki, a nawet codziennie zalewał się w trupa, włóżmy między bajki. Ówczesna opinia publiczna była bezwzględna. Nałogowca nie przyjmowano by w dobrych domach, pisane mu były żebranina i śmierć w rynsztoku.

Późne dzieła autora „Bankietu oficerów" nie epatują witalnością, wkradła się do nich melancholia. Ciemne tło, czarne stroje, statyczne postacie, zatarte kontury: jedni widzą w tym objaw dekadencji, drudzy wręcz przeciwnie. „Większość prac Halsa pociąga lekkością i brawurą, jednakże na starość, gdy cierpiał niedostatek, osiągnął powagę, nadającą jego dziełom znamię wielkości" – orzekła s. Wendy Beckett.

Pięciu synów Fransa zostało artystami, ale żaden nie dorównał mu talentem. Dwieście lat po śmierci stał się wzorem dla zbuntowanych malarzy. Jego technikę naśladowali Gustave Courbet, Édouard Manet i Vincent van Gogh. Ten ostatni zachwycał się, że Hals używał co najmniej 27 kolorów. Zmieniły się kryteria oceny. Akcje twórców próbujących zbliżyć sztukę do prawdziwego życia stale szły w górę. Moderniści też rozpoznali w mistrzu z Haarlemu bratnią duszę, artystę spontanicznego i wewnętrznie wolnego. Wystawa, która nie potrzebowała jubileuszowego pretekstu, jest jak wisienka na torcie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ekspozycję „Frans Hals" można było zwiedzić do 9 czerwca w amsterdamskim Rijksmuseum, a od 12 lipca do 3 listopada eksponowana będzie w berlińskiej Gemäldegalerie.

„Błazen grający na lutni", ok. 1623/1624 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 52e0f83c74

Wakacje to czas teatralnych festiwali plenerowych FOT. K. MYSTKOWSKI/KFP

Wakacyjne adresy teatralne

Grzegorz Kondrasiuk

Wakacyjny repertuar rządzi się własnymi prawami. Większość teatrów ma urlopowe pauzy, a letnią stolicą Polski staje się – jak co roku – Trójmiasto. Lato to także czas festiwali: plenerowych, operowych i ogródkowych

W Warszawie tradycyjnie w wakacje grają swoje repertuarowe hity Capitol, Dramatyczny (cały lipiec) oraz Polonia i Och-Teatr, ze swoją dodatkową, plenerową sceną na placu Konstytucji. Do 20 lipca potrwa Letni Festiwal Polskiej Opery Królewskiej, w tym roku poświęcony Gioachinowi Rossiniemu. W Teatrze Królewskim w Starej Oranżerii, w którym sama wizyta zapewnia wyjątkowe przeżycie, można obejrzeć klasyczne opery komiczne, „Włoszkę w Algierze" i „Cyrulika sewilskiego" albo wziąć udział w rodzinnych warsztatach śpiewu operowego z Rossinim. Zakończenie wakacji w stolicy to duży, międzynarodowy Festiwal Kultury Żydowskiej Warszawa Singera, proponujący duże koncerty i kameralne recitale, wystawy, spacery miejskie, pokazy filmów – i spektakle teatralne dla dorosłych i dla dzieci.

Jednak wakacyjną stolicą Polski jest, jak co roku, Trójmiasto – co szczególnie uwidoczniło się z powodu przesunięcia na wrzesień terminu poznańskiej Malty. Na lato zapowiedziały się trzy wielkie letnie festiwale: Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych FETA (Gdańsk, połowa lipca), Baltic Opera Festival (Opera Leśna, od 20 lipca) i Festiwal Szekspirowski (całe 11 dni, od 25 lipca). Każdy z nich ma inną specyfikę i rodowód: FETA wywodzi się z kontrkultury, a festiwal operowy to impreza nowa, uruchomiona w ubiegłym roku z inicjatywy Tomasza Koniecznego. Natomiast festiwal szekspirowski to wysyp premier, w tym roku aż 10, w tym nowej produkcji Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego – „Burza. Prequel" Maliny Prześlugi, w reżyserii Joanny Zdrady. W dużym międzynarodowym programie znalazły się też spektakle z Peru, Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Rumunii, Włoch, Chorwacji i Polski, m.in. „12. noc albo co chcecie" Grzegorza Jarzyny, „Hamlet" Declana Donellana oraz inna, tym razem peruwiańska inscenizacja tej arcytragedii czy ukraińska postapokaliptyczna wersja „Romea i Julii" Rostyslava Derzhypilskiego. Także Gdynia ma swój sierpniowy festiwal – Pociąg do Miasta – obok letniej sceny czy spektakli na „Darze Pomorza", co jest z kolei specjalnością gdyńskiego Teatru Miejskiego.

Klasyczna XX-wieczna dramaturgia z USA wraca na polskie sceny po sukcesie spektaklu Luka Percevala, który był jednym z wydarzeń minionego sezonu, na podstawie tego samego tekstu wystawionego w Starym Teatrze w Krakowie. Teatr Atelier im. Agnieszki Osieckiej, z urokliwą siedzibą tuż obok sopockiej plaży, przygotował program koncertów i spektakli na swoje 35. urodziny. Częścią obchodów jest sopocka premiera spektaklu „Zmierzch długiego dnia" Eugene'a O'Neilla, w reżyserii André Hübner-Ochodlo. Gdański teatr Wybrzeże proponuje natomiast premierę innego słynnego amerykańskiego tytułu: „Szklanej menażerii" Tennesseego Williamsa, w reżyserii Stanisława Chludzińskiego – w lipcu do obejrzenia na Scenie Kameralnej w Sopocie. Wybrzeże, jak zawsze w wakacje, gra intensywnie, niemal do końca sierpnia, także na stałej Scenie Letniej w Pruszczu Gdańskim.

Od ćwierć wieku w Katowicach odbywa się Letni Ogród Teatralny, w zacnej formule teatru ogródkowego (co niekoniecznie oznacza granie na działkowych rabatach, raczej odsyła do XIX-wiecznej jeszcze konwencji występów w teatrach ogrodowych, czyli restauracyjnych i knajpianych). Katowicka impreza pokaże spektakle z całej Polski w podcieniach budynku Katowice Miasto Ogrodów na pl. Sejmu Śląskiego, a towarzyszy jej Letnia Grządka Teatralna – czyli program teatralny dla dzieci. Impreza wystartowała 6 lipca i potrwa do końca wakacji. Z festiwali nietypowych i alternatywnych należy koniecznie wymienić Wioskę Teatralną, organizowaną przez Teatr Węgajty w warmińskiej wsi Jonkowo.

Teatralna mapa Polski to wiele teatralnych wydarzeń o lokalnym kolorycie i wieloletniej tradycji, ale tak naprawdę każde porządne miasto ma ambicję organizowania, choćby przez weekend, jakiejś teatralnej imprezy. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. COURTESY OF NETFLIX

Gliniarz na emeryturze

Piotr Gociek

Nowy film z serii „Gliniarz z Beverly Hills" jest niemal tak dobry, jak ten z 1984 r. Dlaczego? Bo najwięcej z oryginału pożycza

Czasem nie wystarczy być geniuszem. Trzeba jeszcze trafić na swego. Charlie Chaplin był królem bez niczyjej pomocy, ale już Stan Laurel potrzebował Olivera Hardy'ego, żeby magia Flipa i Flapa zadziałała. Eddie Murphy najwyżej latał solo, gdy stał się królem amerykańskiej komedii typu stand-up za sprawą legendarnych programów „Raw" i „Delirious". Potem bywało różnie, bo tylko czasem trafiał na idealnych partnerów. A w kinowym biznesie trzeba ich tak wielu naraz: odpowiedniego scenarzysty, reżysera, producenta, studia. I tak dalej.

Efekt jest taki, że choć filmowa kariera Eddiego Murphy'ego trwa od ponad 40 lat (debiutował w filmie „48 godzin" z roku 1982), to chcąc wskazać jej szczyt, musimy cofnąć się o owe cztery dekady. Były to czasy, gdy wydawało się, że czegokolwiek tknie się Murphy, zamienia się to w złoto. W latach 1983–1988 wystąpił w sześciu filmach, z których cztery stały się megahitami: „Gliniarz z Beverly Hills" i jego kontynuacja, „Nieoczekiwana zmiana miejsc" oraz „Książę w Nowym Jorku". Piąty, „Złote dziecko", dziwna podróbka kina nowej przygody, zjechany został przez krytyków, ale i tak zarobił wielokrotnie więcej, niż kosztował. Eddie Murphy był jednym z królów rozrywki lat 80., symbolem pewnej epoki. I nigdy później nie wiodło mu się tak dobrze – a przecież bardzo próbował.

Nie może więc dziwić, że dziś przypomina się kolejnym odcinkiem serii, która przyniosła mu sławę i fortunę. „Gliniarz z Beverly Hills: Axel F" to próba wskrzeszenia dawnych sukcesów, tak jak nakręcony trzy lata temu „Książę w Nowym Jorku 2". A wraz z Murphym na ekranie znów pojawiają się weterani Judge Reinhold i John Ashton jako para zaprzyjaźnionych z nim policjantów z Los Angeles (Rosewood i Taggart). Wspomnijmy historię ich znajomości: pierwszy „Gliniarz…" był przebojem roku 1984 wyreżyserowanym przez Martina Bresta (później autora m.in. „Zapachu kobiety" z Alem Pacino). Twórcą sequelu z 1987 r. był już Tony Scott, świeżo po sukcesie „Top Gun". Za trzeci film (z roku 1994) odpowiadał John Landis, który nie tylko już dwukrotnie współpracował z Murphym („Nieoczekiwana zmiana miejsc", „Książę w Nowym Jorku"), lecz także mógł się pochwalić kultowym hitem „The Blues Brothers".

„BEZBŁĘDNE ARCYDZIEŁO"

Jedynka pozostaje jednym z największych sukcesów kasowych w historii amerykańskiego kina, a jeśli wierzyć Christopherowi Hitchensowi, to Kingsley Amis określił film mianem „bezbłędnego arcydzieła" („a flawless masterpiece"). Dwójka zarobiła jeszcze więcej, ale była filmem nieco mniej udanym. U Bresta mieliśmy idealny balans komedii i akcji, u Scotta bywało z tym różnie, widać też było charakterystyczny dla jego kina przerost formy nad treścią. Trzeci film okazał się katastrofą. Zdaniem Eddiego Murphy'ego (mówił o tym niedawno w programie „Late Night with Seth Mey-

eprasa.pl 52e0f83c74

ers”) stało się tak, ponieważ zabrakło w filmie mocnej postaci arcyłotra. Oczywiście komik jest zbyt łagodny dla siebie i reżysera; w trójce wszystko leżało, od scenariusza do tempa.

I tak oto teraz, 40 lat po pierwszym filmie, 30 lat od klapy trzeciego, wracamy na ulice Beverly Hills w reżyserskim debiucie Marka Molloya nakręconym dla Netflixa, co sprawia, że od razu w głowach zapalają się lampki alarmowe. Netflix wszak najlepszy jest w, hm… netflixyzacji wszystkiego, a Molloy znany dotąd głównie z telewizyjnych reklamówek. Złośliwi powiedzą: mogło być jeszcze gorzej. Molloy zastąpił zatrudniony pierwotnie do pracy nad projektem duet reżyserski Adil El Arbi i Bilall Fallah, czyli osobników odpowiedzialnych za wskrzeszenie (takie sobie) serii „Bad Boys” w Willem Smithem. Ale i tak miałem jak najgorsze przeczucia.

Tym razem przeczucia się nie sprawdziły. Film Molloya to sprawne połączenie klimatów pierwszego filmu z nadużywaną ostatnio formułą „następne pokolenie” lub „dawny heros na emeryturze”. O to pierwsze zadbano w sposób najprostszy z możliwych, odtwarzając w dużym stopniu styl oryginalnego „Gliniarza z Beverly Hills” – pierwsze sceny, rozgrywające się na chłodnych ulicach Detroit, robią wręcz wrażenie, jakby nakręcono je 40 lat temu. Jak zrzynać, to na całego – twórcy filmu „Axel F” sięgnęli nie tylko po pamiętny motyw muzyczny serii skomponowany przez Harolda Faltermeyera, lecz także po piosenki z pierwszych filmów („The Heat Is On” Glena Freya z jedynki czy „Shakedown” Boba Seegera z dwójki). Hollywood zna tę grę doskonale: to samo, ale trochę inaczej.

DUCH MŁODZIEŃCA, MOTORYKA EMERYTA

Eddiemu Murphy’emu w to graj: znów jest bezczelnym, uśmiechniętym, lekceważącym zasady gliniarzem o gorącej głowie, żelaznej woli i pustych kieszeniach. Charyzmy i talentu komediowego nie utracił, natomiast scenarzyści nie zmuszają go do biegania. Mądry wybór, bo w krótkim ujęciu pościgu za rabusiami z początku filmu widać, że duch młodzieńca, ale motoryka emeryta. Ale kiedy Axel znów trafi do Beverly Hills i spotka dawnych ziomków, okaże się i tak, że jako jedyny z całej ferajny opanował trudną sztukę starzenia się z klasą.

Wiele zmieniło się w Beverly Hills – Taggart jest miejscowym szefem policji, funkcjonariusze to już nie wysocy blondyni o uśmiechach surferów, lecz Latynoski i Afroamerykanki. Nic się nie zmieniło w Beverly Hills – kapiące od bogactwa ulice wyglądają tak samo, targowisko próżności lśni w kalifornijskim słońcu, a gliniarz z Detroit zupełnie do tych klimatów nie pasuje. Axel Foley tym razem przybywa do Los Angeles, bo niebezpieczeństwo grozi jego córce. Jane (Taylour Paige) jest prawnikiem, nie chce ojca widzieć na oczy, zmieniła nawet nazwisko na Saunders, ale dochodzenie w sprawie niesłusznie oskarżonego o morderstwo drobnego przemytnika narkotyków złączy znów nie tylko ojca z córką, lecz także Foleya z Taggartem i Rosewoodem. Oczywiście nie od razu. Oprócz córki Axela całkiem nową figurą jest jej były chłopak, niegdyś żołnierz – dziś gliniarz Sam Abbott, którego gra Joseph Gordon-Levitt (tym razem z brodą).

SEKRET SUKCESU

Czas przyznać rację Eddiemu Murphy’emu, który wychwalał nowego ekranowego łotra – Kevin Bacon jest stworzony, by grać czarne charaktery, choć oczywiście jego umiejętności wykraczają daleko poza tę szufladę. W nowym „Gliniarzu…” gra szefa specjalnego zespołu antynarkotykowego, który zamiast zwalczać handlarzy, wraz z nimi zarabia pieniądze. Nie zdradzam żadnej specjalnej tajemnicy, niemal od początku wiadomo, kto w tej historii stoi po której stronie. Sekret sukcesu – i cała zabawa – w odpowiednim wykonaniu. A to, moim zdaniem, jest bez zarzutu, więc wcale się nie dziwię tym z amerykańskich krytyków, którzy okrzyknęli „Axela F” najlepszym filmem serii od czasów sukcesu jedynki. I zgadzam się również, że jest to sequel bardzo inteligentnie pomyślany, tak jak sprytnie rozszerzono uniwersum Rocky’ego serią „Creed”, tak jak odświeżono stary „Top Gun”, kręcąc „Top Gun: Maverick”.

Jednocześnie jak bardzo by się starali reżyser Mark Molloy i jego trzech scenarzystów, okazuje się, że „Axel F” najbardziej zabawny, ciepły, szczery – po prostu udany – jest tam, gdzie czerpie bezpośrednio z pierwszego filmu. Naśladownictwo jest najwyższą formą uznania. A nowa generacja nie dorasta do pięt starej. W nowym filmie główną emocjonalną osią ma być relacja ojciec – córka. OK, mają sobie wiele do zarzucenia. OK, Axel musi dorosnąć do roli taty. OK, Taylour Paige i Joseph Gordon-Levitt bardzo się starają. Ale i tak wszystko blednie w chwili, gdy na ekranie odtworzony zostaje stary kumpelski trójkąt, który był fundamentem oryginału. Dynamika między Axelem, Rosewoodem i Taggartem to czyste złoto.

REŻ. MARK MOLLOY
„GLINIARZ Z BEVERLY HILLS: AXEL F”
USA 2024

Osobną zabawą dla fanów serii – nie ukrywam, jestem jednym z nich – będzie wynajdywanie na ekranie nawiązań do poprzednich filmów. Wiele jest oczywistych (musimy ujrzeć wyścigi z udziałem wielkich pojazdów, niszczenie mienia publicznego i trudną sztukę pozbywania się kajdanek bez kluczyków), ale jest tego dużo więcej. Powtórzonych zostało wiele lokacji, poczynając od siedziby policji w Beverly Hills, a kończąc na hotelu, w którym melduje się na noc Axel. Nieco szalony zwolennik teorii spiskowych Rosewood musi powtórzyć swoje słynne „nigdy za wiele siły ognia”, stetryczały Taggart musi nieustannie narzekać, a posiadłość, w której dochodzi do ostatecznej rozprawy, dziwnie przypomina tę, którą pamiętamy z finału pierwszego „Gliniarza”. I sam nie wiem, czy bardziej cieszyć się jak dziecko, które znów dostaje swą ulubioną zabawkę, czy irytować, że tak łatwo dałem się zmanipulować nieustannym wciskaniem przycisku „nostalgia”.

Ostatecznie dostajemy kawał dobrej rozrywki w duchu złotych lat 80., cóż z tego, że to w dużym stopniu podróbka. Owszem, mamy do czynienia z podstarzałą grupą rekonstrukcyjną dawnych sukcesów, jednak magia działa częściej, niż mogłem tego oczekiwać. Niemniej bardziej uradowałaby mnie wiadomość, że to już ostatnie spotkanie z Axelem Foleyem, a nie np. początek nowej trylogii. Trzeba wiedzieć, kiedy ze sceny zejść – i ta chwila właśnie nadeszła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Łzy robota

★★★★☆☆
REŻ. JÉRÉMIE PÉRIN
„MARS EXPRESS. ŚWIAT, KTÓRY NADEJDZIE" („MARS EXPRESS")
FRANCJA 2023, ANIMOWANY

Ziemia to slums dla bezrobotnych, kolonia na Marsie jest rajem dla bogaczy. Na obu planetach androidy wykonują najrozmaitsze prace, są wśród nich służący, są i specjaliści. Aline Ruby, prywatna pani detektyw, ściga łotrów hakujących roboty i wykorzystujących je do niecnych celów. Dlaczego jednak schwytana przez nią Roberta Williams zostaje od razu wypuszczona na wolność? Ruby wkrótce dostaje kolejne zlecenie: odnaleźć zaginioną studentkę. Na ulicach popłoch sieją „wyzwolone" roboty. To maszyny, które przez hakerów pozbawione zostały wszelkich zabezpieczeń – w tym zakazu krzywdzenia ludzi. Nauka tymczasem przekracza kolejne bariery – najnowszą sensacją są stworzenia sztuczne, lecz organiczne.

Elegancka, nastrojowa francuska animacja pokazywana rok temu w Cannes reklamowana jest jako europejska odpowiedź na anime „Ghost in the Shell". Trochę późna to odpowiedź, bo od premiery filmu Mamoru Oshii minęło niemal 30 lat. Do długiej listy opowieści o relacjach człowiek – maszyna dopisuje Jérémie Périn rozdział kolejny, ale pełen znanych tropów. Kim ma być dla nas sztuczna istota? Niewolnikiem? Pomocnikiem? Przyjacielem? Wzorem? W świecie „Mars Express" najciekawsza jest granica między naturalnym i sztucznym: umarli pozostawiają potomnym swoje kopie zapasowe, które mogą żyć dalej; żywi dorabiają, odnajmując korporacjom swoje umysły w „farmach mózgów"; furorę robią nielegalne pigułki, które przywracają wykasowaną pamięć.

Fabuła „Mars Express" długo wydaje się mocno pogmatwana, by w ostatnim kwadransie okazać się prosta, lecz nie psuje to przyjemności z oglądania filmu. Bogaci zawsze chcą zarabiać jeszcze więcej, biednym wiatr w oczy wieje, nasz stosunek do metalowych „młodszych braci" jest testem naszego człowieczeństwa, naszej empatii. Ale tak jak w serialu „Westworld" przychodzi i czas na przedstawienie punktu widzenia drugiej strony. „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach?" – pytał Dick w tytule swojej słynnej powieści (zekranizowanej jako „Blade Runner"). A jeśli nie o tym, to o czym? Że stają się naszymi braćmi? Że nas wybijają? Czy może, że zostawiają to wszystko w cholerę, by szukać lepszego świata? ©℗

NOWE SERIALE: „SUNNY"

Rodzina zniknęła w tajemniczych okolicznościach? Na pocieszenie dostaniesz robota nowej generacji. Taka historia musi kojarzyć się z Japonią, więc nic dziwnego, że bohaterka tej serii to Amerykanka mieszkająca w Kioto. Rzecz oparta na powieści Colina O'Sullivana „The Dark Manual". W roli głównej Rashida Jones. Showrunnerem jest Katie Robbins, znana ze scenariuszy seriali „Ostatni z wielkich" i „The Affair". ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Sunny", USA 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 3* ***„Wikingowie: Walhalla" („Vikings: Valhalla")***
- *sezon 2* ***„The Serpent Queen"***, *USA 2024*
- *sezon 1* ***„Helgoland 513"***, *Niemcy 2024*

eprasa.pl 52e0f83c74

KINO

Pluskwa w głowie

Dla żyjących w epoce Michnika i Pegasusa podsłuchy i potajemne nagrywanie bliźnich to chleb powszedni. Pół wieku temu, gdy na ekranach grasowała „Rozmowa", jeszcze tak nie było. Możliwe, że decyzja o ponownym wprowadzeniu filmu Coppoli na wielkie ekrany ma związek z pogłoskami o nowej, serialowej wersji. Według jednych „Rozmowa" traktuje o totalnej inwigilacji, dla innych (w tym niżej podpisanego) jest to raczej studium postępującej paranoi. Uczciwość każe wspomnieć, że są ludzie, którzy nie podzielają entuzjazmu krytyków. Patrząc na rozterki Harry'ego, bezpartyjnego fachowca, który „chce tylko robić swoje", nudzą się jak mopsy. No cóż, dreszczowce pozbawione ikry tudzież satysfakcjonującego publikę finału rzadko stają się kasowymi przebojami. Reżyserowi „Ojca chrzestnego" przyświecał inny cel: chciał udowodnić, że potrafi robić kino para-europejskie. Z tej perspektywy „Rozmowa" jawi się krewniakiem „Powiększenia", wpisuje się również w amerykańską pasję tropienia spisków i konspiracji, która po wybuchu afery Watergate nabrała wielkiego wigoru. Fabułę dźwiga na swych barkach wąsaty Gene Hackman, przyszłość miała jednak należeć do Harrisona Forda, który tu jest zaledwie trybikiem w machinie. Aha, byłbym zapomniał o najważniejszym. W serialu Harry będzie kobietą. ©℗

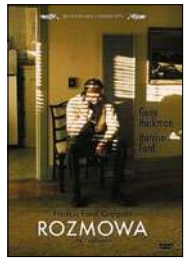

★★★★☆☆
REZ. FRANCIS FORD COPPOLA
„ROZMOWA" („THE CONVERSATION")
USA 1974

wyst. Gene Hackman, John Cazale, Allen Garfield

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIERWSZY RAZ

KINO

Sasha jest utalentowana muzycznie. Ma kolekcję winyli oraz alergię na krzyż, światło słoneczne i przemoc. Widok umierających ludzi zamiast głodu budzi w niej współczucie. Rozeźlona rodzina odbiera dziewczynie dostęp do plastikowych torebek z krwią, przechowywanych w domowej lodówce. 68-letnia Sasha musi się usamodzielnić. Kino wampiryczne ma wiele odcieni, ten jest raczej pastelowy. Ariane Louis-Seize nie gustuje w wygłupach à la Taika Waititi, historia początkującej krwiopijczyni i licealisty planującego samobójstwo jest w gruncie rzeczy opowieścią o urokach i traumach okresu dojrzewania. Eros z Tanatosem tworzą duet ponadczasowy, więc łączenie motywu inicjacji z wątkiem eutanazji nikogo dziwić ani gorszyć nie powinno. Finał trudno nazwać zaskakującym, lecz w jednym debiutantka z Kanady wydaje się mieć rację: ludzie bardziej niż śmierci boją się samotności. ©℗

★★★★☆☆
REŻ. ARIANE LOUIS-SEIZE
„HUMANITARNA WAMPIRZYCA POSZUKUJE OSÓB CHCĄCYCH POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO"
KANADA 2023

wyst. Sara Montpetit, Félix-Antoine Bérnard, Steve Laplante

VIVA SARAJEVO!

HBO max

W obleganym przez Serbów mieście brakowało wody, chleba i prądu, ale nie muzyki. „Koncerty były naszą terapią" – wspominają Bośniacy tudzież wolontariusze z Zachodu, oburzeni biernością swoich rządów wobec jugosłowiańskiej wojny domowej. Akurat ten rozdział bałkańskiej tragedii zyskał spory rozgłos, głównie za sprawą wokalisty grupy U2. Bono udzielił wywiadu sarajewskiej telewizji, a potem – podczas bijącego rekordy popularności tournée po Europie – łączył się z młodymi Bośniakami przez satelitę, by dodać im otuchy i posłuchać, co mają do powiedzenia światu. Gdy ucichły strzały, irlandzki kwartet zagrał w Sarajewie. „Miasto rock and rolla" zostało proklamowane ze sceny „miastem przyszłości". Bohaterowie dokumentu (jest wśród nich nawet były prezydent Clinton) z łezką w oku wspominają dawne, bohaterskie czasy, lecz wiara w cud gdzieś się ulotniła. Bałkański wulkan wkrótce znów eksploduje. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. NENAD CICIN-SAIN
„POCAŁUJ PRZYSZŁOŚĆ" („KISS THE FUTURE")
USA/IRLANDIA 2023

GRA TYGODNIA: „ROBIN HOOD: SHERWOOD BUILDERS" (XSX)

Polska produkcja będąca hybrydą RPG akcji z city builderem zadebiutowała na PC przed kilkoma miesiącami, od niedawna sprawdzić ją mogą (także w Game Pass) posiadacze najnowszej generacji Xboksów. Wcielamy się w samego Robin Hooda i robimy typowo robinhoodowe rzeczy: zabieramy bogatym, by dawać biednym, walczymy, polujemy na zwierzynę. A także dbamy o rozwój naszej osady (co jest ważnym elementem rozgrywki). Na minus mizeria fabularna i schematyczność rozgrywki. Na plus elementy eksploracyjne i crafting. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★☆☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *RPG akcji, TPP, city builder*
- ***Platforma:*** *XSX, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *MeanAstronauts; PlayWay*

eprasa.pl 52e0f83c74

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Edukacyjna odtrutka

Dzieje Polski opowiedziane dla młodzieży" Feliksa Konecznego mają swoją ponadstuletnią historię, pozostając książką wyjątkową, nietracącą swoich ponadczasowych wartości, a to nie tylko popularny wykład naszych dziejów pióra jednego z najwybitniejszych i najciekawszych historyków polskich, lecz także rzecz o ogromnych walorach wychowawczych. Autor akcentował bowiem, że ojczysta historia to „historia dobra wspólnego, narodowej doli i niedoli", a jej znajomość jest naszym obowiązkiem i przywilejem, czego najwyraźniej nie rozumieją kreatury, w których ręce dostała się w Polsce ostatnimi czasy szkolna edukacja. Dlatego przynajmniej o naukę historii i literatury musimy zadbać sami, a w nauczaniu domowym „Dzieje Polski opowiedziane dla młodzieży" są bezcenną pomocą dydaktyczną.

Z tego założenia wyszedł, widać, wydawca książki, który jej najnowsze wznowienie poszerzył o rozdziały napisane przez Joannę i i Jarosława Szarków, opowiadające o naszych dziejach w wiekach XX i XXI, aż do współczesności. W sumie jest to skuteczne na rozpanoszoną pedagogikę wstydu, na natrętne wciskanie ciemnoty o naszych narodowych winach, klęskach i katastrofach, na podważanie wszelkich autorytetów, zwalczanie Kościoła, całe to ponowoczesne zaprzaństwo.

Feliks Koneczny nie ukrywał naszych słabości, rzeczy nazywając po imieniu, piętnując zdrajców i renegatów, ale sławiąc bohaterów. Jak Tadeusza Kościuszkę, o którym pisał iście porywająco, czy hetmana Stanisława Żółkiewskiego, którego bohaterską śmierć

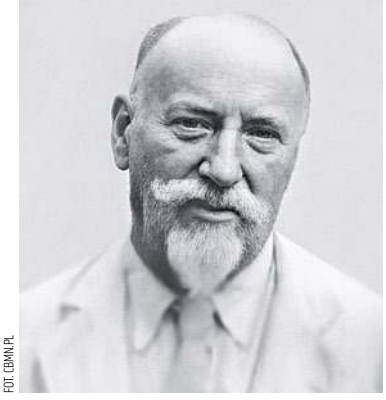

FOT. CBMN.PL

z rąk tureckich puentował tymi słowy: ***[...] zmarł jeden z największych mężów naszych dziejów, wielki wódz, a zarazem wielki człowiek, bo to był charakter czysty jak łza. Nie poznali się na nim współcześni, od których musiał znosić wiele przykrości, ale historia zapisuje jego imię wśród takich, przed którymi korzą się pokolenia.***

Za to do rozdziału o rozbiorach Polski wprowadzał jednym zdaniem: „Jak Moskale weszli do kraju na wezwanie Czartoryskich, żeby poprzeć elekcję Stanisława Augusta Poniatowskiego, tak już z Polski nie wyszli". Prawda, że Czartoryscy niebawem przejrzeli na oczy, ale mleko już się rozlało. Jeśli zaś chodzi o ostatniego króla Polski, to jakże trafnie nazwał go „trzciną chwiejącą się na wietrze".

Upaść może każdy naród, zginąć tylko nikczemny – przypominał Koneczny. – Upaść może naród najdzielniejszy, jeśli składa się z ludzi ułomnych, ale kiedy poznaje swe błędy, to może podnieść się na nowo. W historii Polski były błędy, lecz nie było nikczemności. Polak nie potrzebował się wstydzić swego narodu ani swej historii, toteż nie przestał miłować ojczyzny i pracować dla niej. Dzięki temu rozwój narodu polskiego nie przerwał się po utracie państwa i historia polska nie skończyła się na rozbiorach.

Nie skończyła się także na drugiej wojnie światowej i podwójnej okupacji niemiecko-sowieckiej, nie skończyła się za komuny i z całą pewnością nie skończy się teraz. Tyle że pamiętać trzeba o apelu Feliksa Konecznego, który przed ponad wiekiem wzywał swych młodych czytelników: ***[...] pamiętajmy o jednym: nie było łatwo odzyskać niepodległość, a utrzymać ją zdołamy, nie szczędząc ojczyźnie niczego. Bądź ofiarny na cele narodowe, a staraj się, byś całym swym życiem był przydatny Polsce. Ucz się! Pracuj!*** Na punkcie nauki autor miał, rzec by można, wręcz obsesję: ***Bez nauki – stawiał wykrzyknik – to partactwo! Nikt nam nie da rady, jeżeli będziemy dość zamożni i dość rozumni; niczego więcej nie trzeba, reszta się znajdzie.***

Optymistyczne? Tak, ale – jak słusznie pisał Józef Mackiewicz – „optymizm nie zastąpi nam Polski". Dlatego niepokojem napawa przypomnienie przez Joannę i Jarosława Szarków tego, że pozycja naukowa polskich uczelni wyższych w świecie jest bardzo niska, np. uniwersytety Warszawski czy Jagielloński nie znalazły się nawet w pierwszej setce najlepszych uczelni świata, choć mała Szwajcaria ma ich pięć, a Szwecja trzy. W podobnej zapaści znajduje się polska kultura, której repertuar od lat wpisuje się w pedagogikę wstydu i w nienawiść do wszystkiego, co polskie, epatując wulgarnością i prymitywizmem, uderzając w ponadtysiącletnie dziedzictwo naszych przodków i we wszystko to, co zawsze dawało siłę Polakom. Skutkuje to obojętnością młodzieży wobec wiary, dobra wspólnego i rodziny".

Naprawdę najwyższa pora przywrócić rangę nauczaniu domowemu. Takie są na dziś nasze obowiązki: prywatne i narodowe. Na państwo – takie, jakie mamy obecnie – nie ma się co oglądać. Nikt za nas nie odrobi tej lekcji. ©℗

★★★★☆☆

FELIKS KONECZNY JOANNA I JAROSŁAW SZARKOWIE „DZIEJE POLSKI OPOWIEDZIANE DLA MŁODZIEŻY" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2024

eprasa.pl 52e0f83c74

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Powrót Odysa

Trzy opowieści w jednej, tak naładowane interesującymi szczegółami i przepełnione pożywką dla myśli, że można (a nawet należy) czytać tę książkę tygodniami, po kawałku. Tak też uczyniłem – i nie żałuję. Podobnie jak tego, że za sprawą opowieści Jacka Hajduka czym prędzej postanowiłem przypomnieć sobie Wittlinowy przekład „Odysei" Homera.

Najpierw więc los tułacza – opowieść o pisarzu, który jak wielu z jego pokolenia szukał schronienia na amerykańskich brzegach, gdy wojenna machina Hitlera zaczęła miażdżyć Stary Kontynent. Skoro Józef Wittlin, to i inni wygnańcy": Lechoń, Wierzyński, także Tuwim, który później powrócił do Polski. Bezcenne są fragmenty niepublikowanej dotąd korespondencji, do której dotarł Hajduk.

Po drugie – i najważniejsze, bo to założenie, na którym całą książkę oparto – „Odyseja", którą tłumaczył Wittlin kilka dekad, a także którą przeżywał, będąc wygnańcem. „To Ameryka uczyniła Wittlina w pełni Odyseuszem, w pełni człowiekiem" – pisze Hajduk. „To w Ameryce poczuł i przeżył naprawdę, co oznacza utrata domu – Lwowa, Paryża, Wiednia, świata sprzed 1914 roku". Tęsknota za ojczyzną, realny kres świata spalonego w pożodze wojen, podróż tułacza, uchodźcza – wylicza Hajduk – wreszcie „unicestwienie narodu i wymazanie jego dziedzictwa, zanikanie, obumieranie i schodzenie do »państwa umarłych«".

W przypadku Wittlina unicestwienie dwóch narodów, bo Żyd z urodzenia, ale przecież i Polak, w dodatku katolik z wyboru. Opisuje Hajduk syndrom ocalonego, który dotknął pisarza mocno: „On, Żyd, żył, choć innych Żydów wymordowano". Wedle autora Wittlin widział siebie samego „jako Barabasza, tj. tego, który ocalał, by w jego miejsce zginął ktoś inny".

Niesłusznie zapomniany Józef Wittlin wrócił do nas w ostatnich latach za sprawą Instytutu Literatury i starannie opracowanych od strony krytycznej wznowień powieści „Sól ziemi" (wielu uważało, że powinien za nią dostać Nobla) oraz esejów „Orfeusz w piekle XX wieku". „Odyseję" w jego przekładzie (edycja dwujęzyczna) wznowiło właśnie wydawnictwo Austeria. Książka Jacka Hajduka (który we wcześniejszych publikacjach spacerował tropami Vincenza, Herlinga-Grudzińskiego, Kawafisa czy Stempowskiego) będzie tej kolekcji ważnym uzupełnieniem. ©℗

★★★★★☆
JACEK HAJDUK „JÓZEF WITTLIN W AMERYCE. KLASYCZNIE OBCY"
WIĘŹ 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Podążanie za dawną miłością przynosi więcej smutku niż radości. Jedna z najbardziej cenionych powieści japońskiego noblisty po raz pierwszy po polsku – jako część nowej serii dzieł wybranych.

YASUNARA KAWABATA „PIĘKNO I SMUTEK" CZYTELNIK

Certyfikowany przewodnik i doświadczony podróżnik o teraźniejszości i przeszłości Kampinoskiego Parku Narodowego (m.in. o zgrupowaniu AK „Kampinos"). Las za rogatkami Warszawy kryje wiele sekretów.

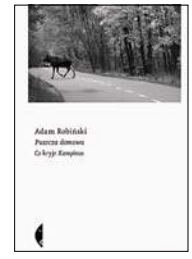

ADAM ROBIŃSKI „PUSZCZA DOMOWA" CZARNE

Jak odkrył swoje przeznaczenie i co zostało mu z wielości wspomnień? Autobiografia spisywana jako część terapii po afazji wywołanej udarem mózgu to jedno z najlepszych – i najmniej znanych – dzieł Mrożka.

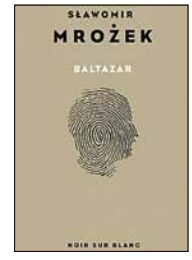

SŁAWOMIR MROŻEK „BALTAZAR" NOIR SUR BLANC

Autor „Rzeki tajemnic" i serii kryminałów o duecie Kenzie i Gennaro żegna się (tak deklaruje) z czytelnikami powieścią o gorącym lecie roku 1974, kiedy to Bostonem wstrząsnęły zamieszki na tle rasowym.

recenzuje Piotr Gociek

DENNIS LEHANE „OSTATNIA PRZYSŁUGA" REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „FRONTIER"

Guillaume Singelin znany jest już polskiemu czytelnikowi z powieści graficznej „PTSD" (2020), poruszającej opowieści o skutkach wojny, weteranach i syndromie stresu pourazowego. „Frontier" to propozycja skierowana do szerszej publiczności: pełna przygód i ciekawych postaci historia z granic skolonizowanego przez ludzi Wszechświata – plus ekologiczne przesłanie.

Piotr Gociek

GUILLAUME SINGELIN „FRONTIER" WYDAWNICTWO NAGLE! 2024

eprasa.pl 52e0f83c74

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Uskrzydlona sztuka

Wystawa poświęcona motywowi dekoracyjnemu w postaci nagiego, małego, często uskrzydlonego chłopca. Motyw ten zwany jest putto, a określenie to odnosi się także do postaci aniołków pojawiających się w dekoracjach kościelnych. Krakowska wystawa ukazuje putta na przykładzie renesansu, głównie włoskiego i krajów niemieckich, na szerokim tle sztuki starożytnej oraz nowożytnej europejskiej.

„Obejmuje głównie rysunki i grafikę, ale też rzeźbę w marmurze, metalu i ceramiczną, malarstwo, ceramikę użytkową i tkaniny z rozmaitych zbiorów polskich oraz muzeów z innych krajów Europy i Ameryki – piszą kuratorzy wystawy. W ten sposób dokumentuje starożytne pochodzenie, formę i symbolikę putta, głównie w sztuce wieku XV i XVI. Unaocznia, jak to się stało, że do kultury renesansu wprowadzono nową grupę tematów, dającą okazję do rywalizacji z antykiem, jego interpretacji, a także wzbogacenia o nowe wątki, zwłaszcza sakralne". ©℗

FOT. ANNA OLCHAWSKA

GDZIE? *Muzeum Narodowe w Krakowie*
KIEDY? *do 6 października*

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

PRZY FORTEPIANIE

Na ósmą wystawę z cyklu „Utracone/Odzyskane" składa się 15 dzieł z warszawskich kolekcji (publicznych i prywatnych), utraconych w czasie drugiej wojny światowej i odzyskanych w ostatnich latach. Są to: obraz „Przy fortepianie" Jacka Malczewskiego, okazy przyrodnicze z przedwojennego Państwowego Muzeum Zoologicznego czy figura „Bogini antycznej" z fasady pałacu Brühla. Wystawa skupia się na warszawskich kolekcjach z powodu 80. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. ©℗

GDZIE? *Kordegarda, Warszawa*
KIEDY? *do 28 lipca*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Jak brat z siostrą

W mediach rozgorzały polemiki między muzykami i dziennikarzami o banalności piosenek naszych gwiazd. Na świecie muzyką od lat rządzą Spotify, producenci i sponsorzy. Dziennikarze nie śmieją skrytykować płyt gwiazd, bo dla wydawców to samobójstwo.

Na szczęście jest Billie Eilish. Płyty realizuje z bratem Finnea'em O'Connellem, dzięki czemu nie podlega zewnętrznym naciskom. A że rodzeństwo zdolne jest…

Oczywiście Eilish nie zmienia biegu muzycznej historii. Za to bez auto-tune i wymyślnej elektroniki nagrała album, który w niebanalny sposób opisuje pożądanie, tęsknotę i miłosny zawód. Miło brzmią orkiestrowe podkłady, elektroniczne przejścia, nagłe crescenda, a wokal Billie jak nigdy dotąd eksploruje subtelne rejony. Mimo że płytę nie promuje żaden singiel, to „Birds of a Feather" bez problemu mógłby być wielkim hitem. „Wildflower" idealnie nadaje się do śpiewania przy ognisku, a „The Greatest" jest balladą doskonałą do chóralnych śpiewów na stadionach. Eilish zaskakuje jazzującym „L'amour de Ma Vie", który w finale przechodzi w pulsującego ravera z początku wieku. „Hit Me Hard and Soft" robi wrażenie dzięki ekscytująco świeżej produkcji i tekstom wciągającym w mroczną, emocjonalną głębię, którą obrazuje okładka płyty. ©℗

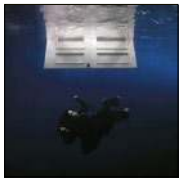

★★★★★☆
BILLIE EILISH
„HIT ME HARD AND SOFT"
INTERSCOPE

★★★★★☆
HENRYK KUŹNIAK
„SEKSMISJA"
GAD

50 lat po premierze mamy płytę z pełną ścieżką dźwiękową do filmu. Kuźniak w latach 1981–1983 napisał muzykę do 18 obrazów. „Seksmisja" jest jego perłą w koronie. Od lirycznych tematów, przez dyskotekowe fajerwerki, do dźwiękowych eksperymentów.

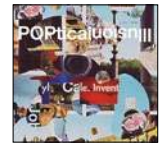

★★★★★☆
JOHN CALE
„POPTICAL ILLUSION"
DOMINO

Zaledwie po roku od ukazania się żałobnego albumu „Mercy" Walijczyk wydał równie dobrą płytę. Ta jest znacznie pogodniejsza, co nie znaczy, że miła. Zamiast politycznych analiz Cale opisuje, poprzez nowatorskie dźwięki, świat własnych rozterek. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Brama do niebios na łące

JACEK KOMUDA

Mało kto przebywający w okolicach ronda Ofiar Katynia w Gdańsku zdaje sobie sprawę z tego, że niecałe 400 lat wcześniej na łące na północ od nieistniejącej dziś Bramy Oliwskiej znajdowała się brama do nieba. Ogromna, licząca blisko 50 m luneta zbudowana przez genialnego astronoma, gdańszczanina Jana Heweliusza. Był to największy teleskop ówczesnego świata, opisany dokładnie w dziele uczonego – „Machinae Coelestis pars priori", wydanym w 1673 r. w Gdańsku.

Za jego pomocą astronom prowadził obserwacje nieba, których rezultaty przedstawił w atlasie nieba wydanym w 1690 r. i poświęconym królowi Janowi III Sobieskiemu: „Prodromus Astronomiae cum catalogo stellarum fixarum et Firmamentum Sobiescianum".

RYS. QBA

Dlaczego luneta zbudowana została poza murami miasta i czy musiała być tak ogromna? Przyczyną była niedoskonałość ówczesnej techniki szlifowania soczewek – jeśli znajdowały się blisko, to dawały rozmyty obraz. Heweliusz, który w sztuce przygotowywania szkieł doszedł do takiego mistrzostwa, że był uznawany za drugiego, po holenderskim uczonym Antonim van Leeuwenhoeku, twórcy nowoczesnego mikroskopu, potrzebował dużych powiększeń. Dlatego zbudował teleskop długości ok. 50 m, zawieszony na wieży o wysokości 30. Było to możliwe tylko dlatego, że miał on nowatorską, ażurową konstrukcję, która znacznie zmniejszała jego ciężar. Możliwe stało się więc podwieszenie go na zwykłej talii na słupie. Luneta podtrzymywana była

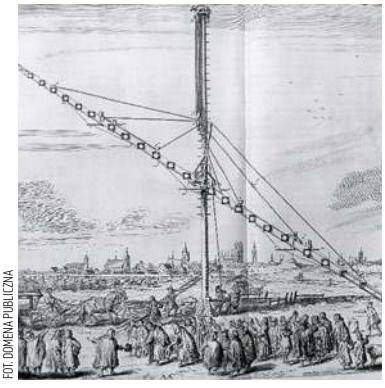

FOT. DOMENA PUBLICZNA

przez system lin charakterystyczny dla ówczesnych żaglowców. Z powodu wielkości nie mieściła się na żadnym placu w mieście, musiała zatem zostać zbudowana na łące poza Bramą Oliwską.

Jan Heweliusz, który był wyśmienitym piwowarem, już w 1641 r. zbudował przy ul. Korzennej na dachach swoich trzech kamienic jedno z najlepiej wyposażonych obserwatoriów w Europie. Domy te się nie zachowały, zostały zniszczone podczas drugiej wojny światowej w czasie walk o Gdańsk, po wojnie nie odbudowano ich; miejsce to upamiętnia jednak pomnik astronoma. Heweliusz miał tam browar, własną drukarnię i pracownię sztychów, gdyż jak większość uczonych z XVII w. łączył pasję nauki ze sztuką.

Korzystanie z teleskopu znajdującego się za wałami miasta było zapewne niewygodne, gdyż już wkrótce astronom przeniósł go do swojego obserwatorium nad dachami domów, stawiając tam m.in. ogromną, ok. 20-metrową wieżę do zawieszenia urządzenia.

Niestety, w nocy z 26 na 27 września 1679 r. pracownia spłonęła, podpalona w niejasnych okolicznościach. Heweliusz pisał, że ogień wzniecił jeden ze służących – celowo albo przypadkiem. Byli jednak i tacy, którzy uważali, że obserwatorium podpalił sam uczony, aby spełnić jedną ze swych astrologicznych przepowiedni. Jest jednak pewne, że ogromny teleskop także padł ofiarą pożaru, gdyż astronom stracił praktycznie cały dorobek życia – warsztat szlifowania soczewek, drukarnię i pracownię do wykonywania miedziorytów. Wszystkie lunety, kwadranty, sekstansy i inne przyrządy wykonane przez samego Heweliusza stopiły się lub popękały, dodatkowo zniszczeniu uległo siedem kamienic wraz z wyposażeniem, meblami, pieniędzmi, a nawet karocami i powozami. Heweliusz stracił unikalny podest, ciemnie do obserwacji Księżyca i Słońca, taras widokowy, drewniane budynki obracane zgodnie z ruchem gwiazd, z których prowadził precyzyjne obserwacje nieba. Katastrofa była przerażająca, jednak choć astronom z czasem odbudował obserwatorium, to nie wiadomo, czy odtworzył ów wielki teleskop.

Zrujnowanemu Heweliuszowi pomocy udzielił przede wszystkim król Jan III Sobieski, który wcześniej, w czasie kilkumiesięcznego pobytu w Gdańsku w 1678 r., odwiedzał obserwatorium. Wyznaczył także uczonemu stałą pensję; Heweliusz zaś odwdzięczył się w specyficzny sposób – w 1676 r. ponoć przesłał Sobieskiemu cytryny z własnej hodowli, a 10 lat później nazwał na cześć króla gwiazdozbiór znany dziś jako Tarcza Sobieskiego licząca siedem gwiazd – tyle, ilu członków miała królewska rodzina. Dodatkowo przypomina ona kształtem Janinę – herb Sobieskich. Symbol ten sam zresztą astronom niesie na miedziorycie otwierającym wspomniany atlas nieba, wydany już po śmierci Heweliusza w 1690 r. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

Szczelny system Tuska

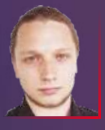

Jan Fiedorczuk

Krok po kroku Donald Tusk przekształca polski ustrój polityczny, eliminując z niego wszelkie systemowe „bezpieczniki" ograniczające władzę. Dotychczasowe rządy III RP mogły jedynie pomarzyć o takiej omnipotencji

Niedawna sprawa prokurator Ewy Wrzosek, która z wyjątkową gorliwością uczestniczyła w odbijaniu TVP z rąk nominatów PiS, ujawniła ciekawą rzecz o świecie polskiej polityki. Nie chodzi nawet o samą aferę, z której wynika, że wnioski prokurator prawdopodobnie powstawały w prywatnej międzynarodowej kancelarii prawniczej (były przecież większe i niewątpliwie bardziej szokujące działania polskich władz w ostatnich latach), tylko o szerszy obraz wyłaniający się z tej sprawy.

Po pierwsze, Donald Tusk wystąpił w obronie Wrzosek, zapewniając, że „tym, którzy bezinteresownie odważyli się kilka lat temu wystąpić przeciw kłamstwom i złodziejstwu władzy, należy się szacunek". W momencie opublikowania tego wpisu w sieci społecznościowej stało się jasne, że mimo iż Prokuratura Krajowa wszczęła postępowanie w sprawie, to Ewa Wrzosek może spać spokojnie.

Drugi, nie mniej interesujący aspekt sprawy dotyczy reperkusji, które spotkały Wirtualną Polskę, na której łamach ukazał się tekst Patryka Słowika dokumentujący aferę. Dziennikarz wskazał, że po opublikowaniu artykułu spotkał się z falą hejtu, a członkowie rządu wzięli udział w „napędzającej się na masową skalę akcji cancelowania WP". „Chodzi

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

o to – w przekonaniu panów Giertycha czy Sikorskiego, a także Tuska – by ktoś w WP, gdy zgłoszę temat, powiedział »nie no, może lepiej nie piszmy o osobie, którą lubią rządzący«. Widziałem na YouTube już akcję protestacyjną – apele do WP, że mam zostać zwolniony z pracy, bo inaczej zły los czeka portal" – napisał Słowik.

Atak na Wirtualną Polskę, tak jak wcześniejszy atak na Polsat (zarzucanie mu „pisowskości"), dowodzi, że w „uśmiechniętej Polsce" Donalda Tuska nie ma przestrzeni na prawdziwie wolne, czyli niezależne media. Fakt, że na pierwszy ogień wzięto akurat WP, jest zrozumiały. Jeżeli o aferze poinformowałyby Telewizja Republika albo „Gazeta Polska", to z centrowych wyborców, którzy na co dzień nie są politycznie zaangażowani, wiele osób nie uznałoby tego za obiektywny przekaz. Ergoafera by przepadła. Jeżeli jednak o sprawie Wrzosek – sprawie przecież drugorzędnej, która nie zmieni układu sił na scenie politycznej – informuje największy portal informacyjny w Polsce, to już zupełnie inna sytuacja. Każdy podmiot niezależny od władzy staje się automatycznie podejrzany.

Bez zmiany konstytucji, za pomocą taktyki faktów dokonanych, Donald Tusk de facto zmienia ustrój państwa polskiego. Nie chodzi o szafowanie określeniami typu „autorytaryzm", w czym przodowały liberalne media przez ostatnich osiem lat. Każda władza ma ciągoty do poszerzania swych wpływów i zakresu kontroli – taka jest już ludzka natura. Sednem problemu nie jest dążenie Tuska do omnipotencji, tylko to, że otrzymał swobodę działania, o której poprzednie rządy mogły jedynie pomarzyć. Obecna władza tworzy ustrój, w którym nie ma żadnych „wentyli bezpieczeństwa". Ma powstać szczelny, wsobny system, pozbawiony jakichkolwiek demokratycznych „bezpieczników".

PIERWSZY BEZPIECZNIK: PROKURATURA I SĄDY

Skąd jednak ta pewność, że mimo wszczętego postępowania finalnie włos z głowy nie spadnie prokurator Wrzosek? Bo tak uczy doświadczenie pierwszych miesięcy rządu Donalda Tuska. To przecież spotkało posła PO Włodzimierza Karpińskiego, w którego przypadku prokuratura zrezygnowała z wniosku o uchylenie immunitetu europosłowi. Bo tak było w przypadku szefa NIK Mariana Banasia, gdzie Adam Bodnar zdecydował zwrócić wniosek o uchylenie immunitetu. Bo tak było ze sprawą Sławomira Nowaka, byłego ministra w poprzednim rządzie Tuska, którego sprawa została bezterminowo odroczona. Bo tak było w sprawie senatora PO Tomasza Grodzkiego, gdzie nowe kierownictwo Prokuratury Regionalnej w Szczecinie zdecydowało o cofnięciu wniosku o uchylenie immunitetu. Bo tak było w sprawie Romana Giertycha, w którego przypadku nowe kierownictwo Prokuratury Regionalnej w Lublinie podjęło decyzję o niewystąpieniu z wnioskiem o uchylenie immunitetu posłowi PO. Bo tak było w przypadku umorzenia przez Prokuraturę Regionalną w Szczecinie śledztwa w sprawie inwigilowania dziennikarzy za poprzednich rządów Donalda Tuska. Bo tak było w końcu w przypadku samej Ewy Wrzosek, gdy Prokuratura Regionalna w Łodzi wycofała z Sądu Najwyższego wniosek o uchylenie jej immunitetu w zupełnie innej sprawie.

Bez zmiany konstytucji, za pomocą taktyki faktów dokonanych, premier Donald Tusk zmienia ustrój państwa polskiego

Powyższe przykłady to oczywiście przejaw szerszej tendencji. Bez większego echa przeszły choćby propozycje Adama Bodnara na temat reformy Krajowej Rady Sądownictwa, a są one tutaj wielce wymowne. Przypomnijmy, że do 2017 r. wyboru sędziów dokonywało samo środowisko sędziowskie. W grudniu 2017 r. PiS uchwalił nowelizację ustawy o KRS, na mocy której 15 sędziów członków KRS wybierał Sejm. Teraz, po nowelizacji Bodnara, 15 sędziów członków KRS ponownie ma być wybieranych w wyborach bezpośrednich i w głosowaniu tajnym przez samych sędziów. Ma zatem zostać odtworzony wsobny układ, który będzie sam sobą zarządzał (wszak Izba Dyscyplinarna też straciła rację bytu). Sędzia NSA Irena Kamińska na Kongresie Sędziów Polskich stwierdziła, że sędziowie tworzą „nadzwyczajną kastę" i nowy rząd najwyraźniej dąży do odbudowy statusu tejże „kasty". Władza zapewni sędziom ich małe udzielne księstwo w wymiarze sprawiedliwości, a „kasta" odwdzięczy się, przymykając oko na

eprasa.pl 52e0f83c74

dewastowanie praworządności przez polityków „uśmiechniętej koalicji".

A przecież jest na co przymykać oczy. W „Do Rzeczy" wielokrotnie opisywaliśmy kolejne bezprawne działania władzy. Przejęcie TVP za pomocą uchwały, przejęcie Prokuratury Krajowej z pominięciem roli prezydenta i zupełnie samowolnym ustanowieniem nieznanej w polskim porządku prawnym funkcji „p.o. prokuratora generalnego", nieuznawanie Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, nieuznawanie wyroków Trybunału Konstytucyjnego. Jak pisałem w tekście „Brunatni liberałowie u władzy" („Do Rzeczy" nr 8/2024), rząd Donalda Tuska nie zawiesił żadnych przepisów, tylko w świetle kamer zdecydował o ich ignorowaniu i siłowym forsowaniu rozwiązań.

Zauważmy, że środowiska sędziowskie niemal całkowicie poparły działania rządu. Obecna rewolucja Tuska tak naprawdę jest całkowitą kompromitacją prawników i sędziów, którzy przez osiem lat (często niebezpodstawnie) krytykowali rządy Zjednoczonej Prawicy, teraz nagle zamilkli. Takie przypadki jak prof. Ryszard Piotrowski, który miał odwagę wskazać na bezprawny charakter przejęcia prokuratury czy wygaszenia mandatów Kamińskiego i Wąsika, stanowią wyjątek od reguły. Niestety, wystarczyło 100 dni rządów Donalda Tuska, by stało się jasne dla każdego, kto miał jeszcze jakieś wątpliwości, że w kraju nie ma kogoś takiego jak „obrońcy praworządności". W Polsce nie broni się praworządności, tylko się ją naprzemiennie wyrywa. Gdy Kaczyński jeździł walcem po polskim systemie prawnym, to było źle, gdy to samo robi Donald Tusk, to jest dobrze. I tyle. Pierwszy „bezpiecznik" został wyłączony.

DRUGI BEZPIECZNIK: MEDIA

Aby system był szczelny, żadne niepożądane informacje nie powinny przeciekać do wyborców. Już nawet nie chodzi o afery rządu, o premie i podwyżki czy głosy polemiczne dotyczące działań władzy. Nawet przypominanie obietnic samego Tuska choćby z czasów kampanii wyborczej jest wielce problematyczne. Bo jak tu wyjaśnić przywrócenie pięcioprocentowej stawki VAT na żywność? Jak wytłumaczyć się, że ceny benzyny nie chciały spaść do 5,19 zł?

Obecna rewolucja Tuska jest całkowitą kompromitacją prawników i sędziów, którzy przez osiem lat – często niebezpodstawnie – krytykowali rządy Zjednoczonej Prawicy, a teraz nagle zamilkli

Dlatego też jedną z pierwszych decyzji Tuska po zdobyciu władzy było wysłanie łysych anonimowych osiłków i odcięcie sygnału TVP Info. Z jednej strony, chodziło oczywiście o igrzyska dla platformerskiego ludu, ale z drugiej strony premier budował swój szczelny układ. Teraz już dwie wielkie telewizje są protuskowe. Zresztą relacje między dwoma stacjami ciężko uznać za konkurencyjne, TVN np. zachęca do oglądania TVP i w tym celu kilka miesięcy temu nawet zmieniła ramówkę, aby jej widzowie mogli oglądać mecz reprezentacji w mediach publicznych. Z kolei w marcu program „19.30" został nagrodzony przez TVN Nagrodą Mariusza Waltera. Warto też wspomnieć o wymianie personelu i o tym, jak rządzący politycy wydzwaniali po dziennikarzach z propozycją pracy w mediach publicznych. – Kiedy polityk dzwoni do dziennikarza, to nam wszystkim powinny zapalić się ogromne czerwone światła, bo to znaczy, że oni nie planują robić wolnych mediów, tylko rządowe, podporządkowane partii – relacjonowała Magdalena Rigamonti z Onetu.

Kontrargument, że poprzednia władza również miała takie zakusy, jest nietrafiony. PiS, owszem, przejął TVP i podporządkował ją tępej, partyjnej propagandzie, ale na tym w sumie skończyły się medialne sukcesy władzy. Na rynku telewizji nadal działały dwa potężne kanały, które równoważyły sytuację – centrowy Polsat i platformerski TVN. Wykupywanie regionalnych tytułów przez państwowe spółki niewątpliwie służyło celom politycznym, jednak trudno uznać, by posiadanie 20 tytułów przez Polskę Press mogło tutaj stworzyć „szczelny system". Było wprost przeciwnie – PiS przespał olbrzymią szansę na stworzenie masowego, konserwatywnego medium, a obecnie ostatni bastion PiS, Telewizja Republika, musi mierzyć się z kolejnymi bojkotami i akcjami protestacyjnymi. Za czasów świetności Zjednoczonej Prawicy rynek medialny nie tylko mieścił TVN i Polsat, lecz także największe portale, jak Onet, WP, Interia. PiS na pewno miał zakusy na zwiększenie wpływów, ale musiał swój apetyt ograniczyć do państwowych mediów i kilkunastu regionalnych tytułów. Gdy polskie władze ośmieliły się zaproponować podniesienie podatków, co uderzałoby w TVN, to nie tylko interweniował Waszyngton, lecz także polskie media mainstreamowe wpadły w autentyczną histerię. Zawieszano nadawanie treści, emitowano czarne ekrany, gazety wychodziły z czarnymi okładkami itd. Bo władza zaproponowała zmianę fiskalną. Gdy jednak ta sama władza autentycznie prześladowała prawicowe media („Najwyższy Czas!", „Myśl Polską" czy wRealu24.pl), to nikt z lewicowo-liberalnej bańki nawet nie pisnął.

I właśnie taki porządek ma być teraz odtworzony – monowładza Tuska będzie mogła swobodnie cenzurować media przy jednoczesnej cichej aprobacie samych dziennikarzy. Jak to trafnie ujął Jarosław Kurski na łamach „Gazety Wyborczej": „Obywatele zaakceptują każdą, nawet radykalną zmianę, ale nie zaakceptują ślimaczącego się chaosu, bezhołowia i dwuwładzy". Ten wpis – dotyczący konieczności usuwania legalnych instytucji państwa – dobrze obrazuje, jakie miejsce przypadło „wolnym mediom" w tzw. uśmiechniętej Polsce. Drugi „bezpiecznik" wyłączony.

TRZECI BEZPIECZNIK: UE I USA

Nie bez powodu wspomniałem o interwencji USA, gdy rząd Zjednoczonej Prawicy chciał podnieść podatki mediom w Polsce. Waszyngton mówił wówczas wiele o wolności słowa i prasy, jednak – jak pisałem – nie przejmował się, gdy polskie władze faktycznie

eprasa.pl 52e0f83c74

uderzały w wolność prawicowych mediów.

Największa różnica między rządami PiS a KO polega na tym, że Kaczyński był nieustannie pod pręgierzem zachodnich ośrodków – UE oraz USA. Doskonałym przykładem jest KPO, które Bruksela bezprawnie zawiesiła Polsce, a które to środki za pstryknięciem palcami zostały odblokowane, gdy do władzy doszedł Donald Tusk. Mimo że nie tylko rząd niczego nie zmienił, lecz także wręcz pogłębił chaos prawny, dewastując doszczętnie pozostałości państwa prawa.

Bruksela nie może sobie pozwolić na zbyt ostrą krytykę Tuska, gdyż jego porażka mogłaby oznaczać powrót Kaczyńskiego do władzy. Unia de facto nie ma alternatywy, co czyni premiera bezkarnym. Ponadto sam Tusk bardzo umiejętnie wciągnął unijne elity w swoją rozgrywkę i gdy wiceszefowa KE Věra Jourová odwiedzała nasz kraj w grudniu, to dokładnie w tym samym momencie Bartłomiej Sienkiewicz rozpoczął odbijanie TVP. Odcięcie sygnału, łyse karki, łamanie prawa. Jourová była naocznym świadkiem tego wszystkiego i musiała milczeć, a skoro milczała, to znaczy, że akceptowała. Tak jak Tusk „ubrudził" swych koalicjantów, zmuszając ich do akceptacji bezprawnej rewolucji, a tym samym robiąc z nich współsprawców, tak samo postąpił z wiceszefową KE.

Ważniejsza od unijnych elit wydaje się jednak postać ambasadora Brzezinskiego, do którego przez kilka tygodni pielgrzymowali kolejni ministrowie, wiceministrowie, a nawet zwykli posłowie, prosząc o polityczne namaszczenie. Dotychczasowa postawa nadambasadora świadczy o tym, że dopóki w USA będzie rządziła administracja Joe Bidena, dopóty Donald Tusk i jego ekipa mają otwartą drogę do wszelkich działań. Ostatnie miesiące potwierdzają, że obecny rząd może zrobić dosłownie wszystko, łącznie z wsadzeniem polityków PiS do więzienia, a Parlament Europejski i Waszyngton nawet nie kiwnął palcem. Tak odpada trzeci „bezpiecznik".

CZWARTY BEZPIECZNIK: PREZYDENT

Ostatnim „bezpiecznikiem" pozostają natomiast ustrojowe hamulce, które KO odziedziczyła po poprzedniej władzy. Koalicja pod wodzą Tuska od razu po przejęciu władzy de facto wypowiedziała wojnę nominatom PiS bez względu na ich prawne umocowania. Najbardziej widocznym przykładem jest próba neutralizacji urzędu prezydenta. Bo to właśnie Andrzej Duda przeciwstawiał się zamachowi na Prokuraturę Krajową czy podważanie statusu sędziów.

Pierwszym uderzeniem w kompetencje prezydenta było bezprawne przejęcie TVP za pomocą uchwały. Dzięki temu władzy udało się uniknąć prezydenckiego weta. Tak samo koalicja rządząca działała w Prokuraturze, kreując pozaprawną funkcję „p.o. prokuratora krajowego", byle tylko uniknąć ustawowego nakazu konsultacji z prezydentem przy wyborze nowego prokuratora. Kolejnym uderzeniem było „unieważnienie" prezydenckiego ułaskawienia Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Również wprowadzając tabletkę „dzień po", rząd całkiem otwarcie zapowiadał, że jeżeli Andrzej Duda nie zgodzi się na liberalizację dostępu do pigułki wczesnoporonnej, to władza będzie „obchodzić" głowę państwa.

Przecież tak naprawdę ani tabletka „dzień po", ani Kamiński z Wąsikiem, ani pewnie nawet prokurator krajowy szczególnie nie interesują Donalda Tuska. Celem premiera jest po prostu za pomocą uchwał i rozporządzeń maksymalne rozmywanie kompetencji prezydenta, aby ten ostatni z „bezpieczników" rozsadzających jego wsobny system monowładzy był jak najmniej kłopotliwy.

POZA KONTROLĄ

Niemal równo rok temu („Do Rzeczy" nr 25/2023) pisałem, jak ówczesny rząd Zjednoczonej Prawicy znalazł się „poza wszelką kontrolą", coraz częściej ignorując zarówno ograniczenia prawne, jak i krytyczne głosy obywateli. Z perspektywy czasu widać jednak, że Kaczyński mógł jedynie marzyć o takiej bezkarności, którą w kilka miesięcy zapewnił sobie nowy rząd. Donald Tusk buduje niespotykany w historii III RP system monowładzy, który ma całkowicie zabetonować państwo układem wzajemnych powiązań i zależności.

Kaczyński nawet w szczycie swej potęgi musiał liczyć się zarówno z wetami prezydenta, których nie mógł „obchodzić", presją Brukseli i Waszyngtonu, jak i zachodnimi elitami, a nawet swoimi koalicjantami. Wszak to Jarosław Gowin uniemożliwił przeprowadzenie wyborów kopertowych i zmusił prezesa do zorganizowania głosowania zgodnie z przepisami Kodeksu wyborczego pomimo pandemii.

Dotychczasowa postawa ambasadora Brzezinskiego świadczy o tym, że dopóki w USA będzie rządziła administracja Joe Bidena, dopóty Donald Tusk i jego ekipa mają otwartą drogę do wszelkich działań

Donald Tusk jest dziś zupełnie bezkarny, a żaden z jego politycznych partnerów nie ma siły i odwagi, by mu się sprzeciwić. Zarówno Lewica, jak i Trzecia Droga zostały już wciągnięte w bezprawne działania władzy i stały się wspólnikami premiera. Wydaje się, że „uśmiechnięta rewolucja" zaszła już zbyt daleko, by stać je było na bunt. Nie tyczy się to tylko koalicjantów, ale i samej KO – jeżeli nowa władza już na starcie poszła tak bardzo na rympał, to nie tylko pojawi się pokusa, by w przyszłości nie utrudniać sobie życia prawem, lecz także niemal na pewno zacznie kiełkować strach, do czego posunie się PiS po ewentualnym odzyskaniu władzy. Dlatego też rządzącej większości nie rozbiją żadne niesnaski personalne i spory programowe.

„Uśmiechnięta rewolucja" będzie się tylko zaostrzać, a władza będzie musiała brnąć coraz dalej i dalej. Jeżeli w 2025 r. premierowi Tuskowi uda się obsadzić swojego nominata w Pałacu Prezydenckim, to z polskiego systemu zniknie ostatni „bezpiecznik", co będzie oznaczać, że system monowładzy został w końcu szczelnie domknięty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. ADOBE STOCK

Nie chcemy jeździć wolniej

Łukasz Warzecha

Ograniczanie prędkości do 30 km/h w miastach to ideologiczna walka z kierowcami

Nienawiść, którą rzecznicy postępu żywią wobec samochodu, a już zwłaszcza takiego z tradycyjnym napędem spalinowym, zasługiwałaby na odrębne studium. Samochód jest zwalczany, ponieważ jako środek transportu uosabia wszystkie te wartości, z którymi lewica ze swojej natury walczy: indywidualną wolność, niezależność od państwa, własność oraz jej powszechność, a na dodatek „zabija planetę".

W walce z samochodami można wyróżnić trzy główne wątki. Pierwszy to wątek ekologiczny i klimatystyczny: samochodów trzeba się pozbyć, ponieważ przyczyniają się do tego, że „planeta płonie". Można je ewentualnie częściowo zastąpić autkami na baterię, ale wiadomo, że nie będzie to zastąpienie jeden do jednego. Tu w awangardzie postępują organizacje takie jak Ostatnie Pokolenie (à propos: zauważyli państwo, że przed wyborami do Parlamentu Europejskiego ich aktywność jakoś nagle ustała?) czy Just Stop Oil, fizycznie blokujące ruch w trakcie swoich chuligańskich akcji, a w łagodniejszej formie polski Alarm Smogowy.

Drugi jest wątek urbanistyczny. Skoro samochodów jest w miastach „za dużo", to trzeba zmusić kierowców, żeby przestali nimi jeździć. Osiąga się to poprzez systematyczne zwężanie ulic, likwidowanie miejsc parkingowych, wprowadzanie opłat za wjazd do miast lub stref czystego transportu, tworzenie kolejnych buspasów. Tutaj wyróżniają się organizacje w rodzaju Miasto Jest Nasze, a oszalali ideolodzy diagnozują u kierowców problemy psychiczne, które mają odpowiadać za ich rzekomo chorobliwe przywiązanie do aut, tak jak w książce Marty Żakowskiej „Autoholizm. Jak odstawić samochód w polskim mieście". Proszę zwrócić uwagę na grę słów: autoholizm – alkoholizm; odstawić samochód – odstawić alkohol. Ma z tego wynikać, że kto chce po prostu korzystać z własnego auta, ten jest uzależniony jak alkoholik.

Wreszcie trzeci wątek to aktywiści od bezpieczeństwa ruchu drogowego, którzy przekonują, że polskich kierowców trzeba coraz bardziej brać za twarz, nieustannie podwyższać kary, pilnować na każdym kroku i cały czas ograniczać prędkość – bo każdy kierowca to właściwie morderca za kółkiem, tyle że nie każdy miał jeszcze okazję kogoś zabić.

Nakładanie się na siebie wszystkich tych czynników, dodatkowo wsparte przez fiskalną presję państwa na właścicieli aut, ma jeden cel: jazda własnym samochodem ma być coraz bardziej stresująca, nieprzyjemna, ryzykowna dla kieszeni i uciążliwa. Rezultatem ma być porzucenie samochodów.

30 KM/H W MIASTACH?

Sięga się przy tym po dobrze znany rodzaj manipulacji, polegającej na przedstawianiu całkowicie arbitralnych polityk o ściśle ideologicznych korzeniach jako obiektywnie koniecznych i wynikających z „nauki". W rzeczywistości nic tu nie jest oczywiste ani niezbędne.

Rugowanie samochodów z miast nie wynika z żadnej obiektywnej konieczności, ale z przyjęcia jako jedynie słusznej wizji miasta mającego przypominać wieś i coraz bardziej pozbawionego ściśle miejskiego charakteru. Pomija się też naturalny w wielu społecznych kwestiach mechanizm poświęcenia jednej wartości w zamian za inną w ramach wolnego wyboru. I tak w tym wypadku poświęca się w jakiejś mierze bezpieczeństwo oraz spokój w zamian za swobodę i szybkość podróżowania.

W ostatnim czasie środowisko walczące z samochodami i kierowcami doznało niezwykłego wzmożenia z powodu analizy mającej dowodzić, że limit prędkości na poziomie 30 km/h gwarantuje największą przepustowość i najpłynniejszy ruch. Manipulacja pojawia się nawet w tytułach

eprasa.pl 52e0f83c74

artykułów. Na przykład portal brd24 ogłasza: „Prędkość, przy której w miastach są najmniejsze korki? Nowe badanie". Badanie oznacza przedsięwzięcie naukowe, w którym – jak sama nazwa wskazuje – bada się stan rzeczy. Prowadzi się doświadczenia, stawia hipotezę wyjaśniającą przyczyny zjawiska. Tymczasem nie mamy tu bynajmniej do czynienia z badaniem.

Mowa o siedmiostronicowym opracowaniu niemieckiego matematyka Nielsa Benediktera, zatrudnionego na Uniwersytecie w Mediolanie, zatytułowanym „How to Reduce Congestion I: The Optimal Speed Limit for Urban Traffic" („Jak zmniejszyć korki: optymalny limit prędkości w ruchu miejskim"). Opracowanie nie jest badaniem. Benedikter nie badał ruchu samochodowego w żadnym mieście. Nie przedstawia faktycznych danych dotyczących przepustowości ulic, które sam zdobył, ani też nie jest autorem żadnych doświadczeń. Stworzył jedynie najczyściej teoretyczny model, a jego tekst jest rodzajem matematyczno-intelektualnej zabawy, prowadzonej w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, w świecie matematycznej abstrakcji. To jest zresztą właśnie dziedzina, w której Benedikter się specjalizuje. Jego prace naukowe dotyczą matematyki na styku z fizyką, np. tzw. gazu Fermiego – teoretycznego konceptu opisującego gaz idealny. Benedikter nie ma nic wspólnego z urbanistyką, naukami społecznymi czy wiedzą o organizacji ruchu w miastach.

Można by zatem spytać: Skąd jego nagłe zainteresowanie sprawą prędkości samochodów w miastach? Wiadomo, że w czysto teoretycznych modelach faktycznie porównuje się ruch samochodowy do ruchu cząsteczek, głównie cieczy, raczej nie gazów. Ale to niewiele wyjaśnia.

Odpowiedzi należy być może szukać gdzie indziej – w pozanaukowej aktywności czy raczej aktywizmie Benediktera. Często zapomina się, że naukowcy nie są idealnie bezstronnymi mózgami. Mają swoje poglądy, także polityczne, oraz angażują się w polityczne inicjatywy. Nierzadko ulegają ideologiom.

BADACZ ZAANGAŻOWANY W KLIMATYZM

Benedikter jest głęboko zaangażowany w klimatyzm. Na swojej stronie umieścił zakładkę zatytułowaną „kryzys klimatyczny". Poleca tam w istocie propagandowy, kilka lat temu głośny film fabularny „Nie patrz w górę!", który poprzez sprytną manipulację przedstawiał rzekomą katastrofę klimatyczną jako nieuniknione uderzenie asteroidy w ziemię. Stwierdza, że przemysł naftowy tworzy „fałszywe inicjatywy obywatelskie", które mają wykolejać „proces polityczny" – wiadomo, czego dotyczący. Inna jego rekomendacja to film „Handlarze wątpliwości", oparty na książce Naomi Oreskes i Erika M. Conwaya pod tym samym tytułem. Książka sprzedaje czytelnikowi opowieść o tym, jak „garstka naukowców maskowała prawdę, od palenia tytoniu począwszy, na globalnym ociepleniu skończywszy" (jak głosi podtytuł książki). Smaczek w tym, że Oreskes jest autorką pierwszej analizy, mającej dowodzić, że w sprawie antropogenicznych przyczyn globalnego ocieplenia (obecnie: zmiany klimatu) istnieje naukowy konsensus – przy czym analiza ta oparta była na wadliwej, zmanipulowanej metodzie, która następnie została skopiowana we wszystkich kolejnych podobnych zestawieniach, z najnowszym („99-procentowy konsensus") włącznie. Trudno zatem nazwać Oreskes inaczej niż agitatorką i manipulantką.

Ten zestaw rekomendacji na profilu Benediktera poprzedzony jest cytatem zawierającym wezwanie, aby do 2050 r. świat stał się neutralny klimatycznie. Wskazuje to, że jego praca na temat ruchu samochodowego może mieć pozanaukowe motywacje.

Nie zmienia to tego, że model przedstawiony przez matematyka jest zapewne poprawny – lecz właśnie wyłącznie jako model. Benedikter dochodzi do wniosku, że maksymalna przepustowość (1923 samochody) pojawia się przy prędkości 31 km/h. Tyle że przyjmuje mnóstwo arbitralnych założeń: wszyscy kierowcy jadą dokładnie z tą samą prędkością, w identycznych odstępach, a samochody mają określoną średnią długość. Kompletnie abstrahuje od tego, że ulice mają po kilka pasów ruchu, w niektórych miejscach się zwężają, w innych rozszerzają. W praktycznie każdym polskim mieście przez jego środek przebiegają szerokie arterie, gdzie pojazdy na ogół mogą jechać szybciej niż 30 km/h. Z kolei na wąskich ulicach w godzinach szczytu taka prędkość bywa w ogóle nieosiągalna.

Benedikter w swojej pracy odwołuje się do danych, które mają potwierdzać sensowność wypracowanego przez niego modelu. Tak jednak nie jest. Matematyk przywołuje np. jakieś bliżej niesprecyzowane brytyjskie badania, które pokazują spadek liczby wypadków – co oczywiście jest logiczne przy obniżeniu prędkości, ale przecież nie o liczbie wypadków była mowa, ale o płynności ruchu i przepustowości. Pisze także o badaniach szwajcarskich – również bez szczegółów. Według nich liczba wypadków wskutek obniżenia prędkości miała zmaleć o 22 proc. i „odpowiednio o tyle mniej było korków". Zadziwiająco nieprecyzyjne sformułowanie jak na artykuł naukowy.

W przywoływanym przez niego w przypisach tekście z 2020 r. z portalu Quarks.de, omawiającym przede wszystkim brak limitów prędkości na części niemieckich autostrad, na temat ograniczenia prędkości w miastach do 30 km/h możemy wręcz przeczytać, że niemiecki ADAC (Allgemeiner Deutscher Automobil-Club – największa niemiecka organizacja zajmująca się ruchem samochodowym, testami aut, a także pomocą drogową) wskazuje rzecz oczywistą: że redukcja dopuszczalnej prędkości z 50 km/h do 30 km/h wydłuża czas podróży. Jest to zatem stwierdzenie stojące w sprzeczności z tezą Benediktera.

Nie jest zatem tak, że antysamochodowi aktywiści odkryli Świętego Graala w postaci siedmiostronicowego, na poły zresztą publicystycznego opracowania mało znanego niemieckiego matematyka, które rozstrzyga wszystko w sprawie stref Tempo 30. W gruncie rzeczy mamy do czynienia tylko z ciekawostką.

Warszawski projekt strefy Tempo 30 zakłada natomiast narzucenie ograniczeń na ogromnej części stołecznych ulic – również tam, gdzie korki się nie tworzą niemal nigdy, a podróżowanie z prędkością wyższą niż 30 km/h przekłada się w oczywisty sposób na szybsze pokonanie trasy podróży. Z upłynnianiem ruchu nie ma to zgoła nic wspólnego, za to wiele z ideologiczną walką z kierowcami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Amerykańska fascynacja prawosławiem

Paweł Chmielewski

Coraz więcej Amerykanów interesuje się prawosławiem. Do chrześcijaństwa wschodniego odwołują się znani publicyści i mówcy, a nagrania „ortodoksów" budzą duże zainteresowanie w Internecie. Fascynacja światem prawosławia nie jest tylko przemijającą modą lub kolejnym dziwactwem amerykańskich liberałów. Można zaryzykować tezę, że to wyraz autentycznego poszukiwania świętości i radykalnie ewangelicznej wiary – czego coraz częściej próżno szukać w mainstreamowym rzymskim katolicyzmie

Chyba najbardziej znanym w Polsce i na świecie prawosławnym z USA jest Tom Hanks, który w 1988 r. zawarł związek z prawosławną Ritą Wilson urodzoną w greckiej rodzinie. Hollywoodzki aktor, wychowany przez katolików i mormonów, przyjął nową wiarę na potrzeby ślubu. Gdyby do takich konwersji miał ograniczać się fenomen zainteresowania prawosławiem w USA, nie byłoby o czym mówić; Hanks równie dobrze mógłby zostać adwentystą albo scjentologiem, jak wielu innych aktorów jego pokolenia. Zjawisko ma jednak również inne, dalece poważniejsze oblicze: nie brakuje Amerykanów, którzy sympatyzują z prawosławiem albo wprost przechodzą na to wyznanie z autentycznego przekonania o jego prawdziwości.

BOGACTWO WSCHODNIEJ LITURGII

Tak zrobił np. Rod Dreher, popularny publicysta i autor bestsellerowych książek, m.in. wydanych i szeroko komentowanych w Polsce prac „Opcja Benedykta" oraz „Żyć bez kłamstwa". Dreher urodził się w 1967 r. w rodzinie metodystów, a w wieku 26 lat przeszedł na rzymski katolicyzm. Pisarzem skandal wykorzystywania seksualnego dzieci przez duchownych wstrząsnął do tego stopnia, że zwątpił w prawdziwość Kościoła. Wpływ na zniechęcenie Drehera miał zwłaszcza systemowy charakter procederu molestowania nieletnich i ukrywania tego przez zwierzchników kościelnych związanych z homoseksualną mafią klerykalną. W 2006 r. przeszedł na prawosławie przekonany, że Kościół prawosławny w Ameryce jest wolny od tej budzącej grozę i obrzydzenie patologii.

Dziś Dreher mieszka na Węgrzech, gdzie współpracuje m.in. z metropolitą budapeszteńskim Hilarionem, wcześniej szefem wydziału spraw zewnętrznych patriarchatu Moskwy. Nie wiem, czy Dreher dobrze trafił, biorąc pod uwagę jego wyjściowe motywacje. Jeżeli wierzyć informacjom Andrieja Kurajewa, prawosławnego teologa wyrzuconego w 2013 r. z Moskiewskiej Akademii Duchownej, rosyjskie prawosławie jest głęboko zinfiltrowane przez homoseksualne lobby. Ważne jest jednak to, że w oczach katolickiego konwertyty Drehera prawosławie w USA jawiło się jako przestrzeń o wiele zdrowsza od Kościoła katolickiego. Do tej pory o wykorzystywanie seksualne dzieci albo tuszowanie przestępstw oskarżono kilkudziesięciu amerykańskich biskupów, z czego część została skazana, nie wspominając o tysiącach księży – ani o wielu biskupach, którzy analogiczne działania prowadzili wobec seminarzystów, z byłym kard. Theodore'em McCarrickiem na czele.

Światem prawosławia interesuje się też psycholog Jordan Peterson, autor sprzedających się w milionowych nakładach książek i mówca oglądany przez miliony widzów. Peterson wypowiada się o prawosławiu bardzo ciepło, widząc w nim drogę radykalnego naśladowania Jezusa Chrystusa, bardziej praktyczną i bliższą konkretnemu doświadczeniu cierpienia w ludzkim życiu niż katolicyzm czy protestantyzm. Peterson zwraca też uwagę na niezaprzeczalne piękno i bogactwo wschodniej liturgii, rzucające się w oczy każdemu, kto odwiedzi najzwyczajniejszą nawet cerkiew. Jak bardzo różne jest doświadczenie człowieka, który odwiedza przeciętny amerykański kościół katolicki, zbudowany zgodnie z prawidłami ducha epoki po Vaticanum II…

Fascynację prawosławiem pośrednio wykazał nawet… katolicki arcybiskup Carlo Maria Viganò, wprawdzie Włoch, ale piszący dziś głównie do Amerykanów i związany z USA ze względu na pełniony w przeszłości urząd nuncjusza apostolskiego w Waszyngtonie. W 2022 r. w jednym ze swoich esejów wychwalał współczesną duchowość Rosji, przeciwstawiając ją temu, co dominuje na Zachodzie. Rok później w innym tekście przekonywał, że to właśnie w Moskwie kontynuowane

eprasa.pl 52e0f83c74

jest dziś cywilizacyjne dzieło Rzymu i Konstantynopola. Tezy arcybiskupa trzeba przyjąć z najwyższą ostrożnością, bo w gruncie rzeczy ocierają się o powtarzanie teorii Moskwy jako trzeciego Rzymu, antykatolickiej idei wymyślonej przez prawosławnego mnicha Filoteusza z Pskowa (1450–1525). Fascynacja rosyjskością w wydaniu Viganò i wielu jego zwolenników ma jednak oczywiste i w gruncie rzeczy dość zrozumiałe źródła: Federacja Rosyjska potrafi skutecznie przedstawić się wielu konserwatywnym Amerykanom jako kraj opierający się w znacznie większej mierze niż Zachód na prawie naturalnym i religii chrześcijańskiej, zwłaszcza gdy idzie o kwestię homoseksualizmu i gender. Widząc, jak sam papież i dziesiątki amerykańskich biskupów kolaborują z aborcyjnym i tęczowym rządem Joe Bidena, Viganò może odczuwać naturalną skłonność do kierowania się w stronę Moskwy. Złudzenie – stwierdzi natychmiast wielu Polaków. Cóż, słusznie, ale trudno się dziwić, że ulega mu wielu zachodnich konserwatystów nieodczuwających militarnej presji Rosji.

Ludzie, którzy pragną powierzyć całe swoje życie Ewangelii, na gwałt szukają ewangelicznego radykalizmu

W budowaniu popularności prawosławia walnie pomaga Internet. Jedenaście lat temu grupa prawosławnych duchownych z Kalifornii założyła na YouTube kanał „PatristicNectarFilms", gdzie przedstawiają wiarę chrześcijańską, wychodząc głównie od ojców Kościoła. Jedną z głównych „gwiazd" tego kanału jest o. Josiah Trenham. Na tle zblazowanych, zniewieściałych i – nie ma co ukrywać – często homoseksualnych kaznodziejów katolickich Trenham robi naprawdę pozytywne wrażenie. Przedstawia konkretne, radykalne nauczanie, krytykuje ideologię LGBT, mówi o kryzysie męskości, odwołuje się do solidnych źródeł. Sam wychowuje 10 dzieci, dzięki czemu brzmi wiarygodnie. Jego filmy zdobywają regularnie dziesiątki, a nierzadko nawet setki tysięcy wyświetleń. Podobne „osiągi" notują nagrania innych duchownych z tej samej kalifornijskiej wspólnoty. Niekoniecznie przekłada się to na liczbę faktycznych konwersji na prawosławie, ale rzecz bez wątpienia buduje konserwatywną chrześcijańską kulturę amerykańskich odbiorców.

WNIOSKI DLA KATOLIKÓW

Jakie płyną z tego wnioski dla katolików? W Kościele rzymskim przy okazji Synodu o synodalności mówi się bardzo wiele o „znakach czasu". Część progresywnych teologów chciałaby zrobić z nich tzw. locus theologicus – źródło, z którego czerpie się argumenty teologiczne. W ramach procesu synodalnego twierdzi się np., że skoro większość ochrzczonych katolików wyznaje emancypację kobiet i egalitaryzm płciowy, to konieczne jest uznanie tego za przejaw woli Ducha Świętego i wprowadzenie żeńskiego kapłaństwa; albo jako że powszechna jest akceptacja rozwiązłości, to należy całkowicie przemodelować moralność seksualną; wreszcie, że skoro prawdą czasu jest demokracja, to Kościół powinien zrezygnować z zasady hierarchicznej na rzecz jakiejś formy eklezjalnego parlamentaryzmu... Celują w tym teologowie z przestrzeni niemieckojęzycznej, ale ten sam wątek podejmuje również papież, o czym pisał zupełnie wprost w ważnym, a w Polsce raczej zignorowanym dokumencie „Ad theologiam promovendam" z listopada 2023 r. Tym samym „znaki czasu" w interpretacji progresywnej stają się poręcznym narzędziem służącym do przeprowadzania liberalnej rewolucji wewnątrzkościelnej. Ma to swoją skuteczność retoryczną czy zgoła propagandową, bo zawiera pozory prawdy: jest przecież ustaloną nauką Kościoła, że – jak powiada Katechizm za konstytucją „Lumen gentium" Soboru Watykańskiego II – „ogół wiernych… nie może zbłądzić w wierze i tę szczególną swoją właściwość ujawnia przez nadprzyrodzony zmysł wiary całego ludu, gdy poczynając od biskupów, a kończąc na ostatnim z wiernych świeckich ujawnia on swą powszechną zgodność w sprawach wiary i obyczajów". Problem w tym, że nauka o tej nieomylności w wierze jest bardzo bogata w szczegółowe uwarunkowania; np. te mówiące o konieczności przyjmowania całej niezmiennej doktryny i moralności Kościoła czy aktywnego życia sakramentami dla tego, by stać się, by tak rzec, aktywnym podmiotem „nadprzyrodzonego zmysłu wiary". Nie ma zmysłu wiary katolicki gej żyjący w związku pseudomałżeńskim, jak chcieliby tego progresiści.

ZNAK CZASU

W USA rosnącą popularnością cieszy się dziś poza prawosławiem także rzymski katolicyzm w wydaniu tradycyjnym, to znaczy związanym z łacińską liturgią przedsoborową oraz tradycyjną doktryną i moralnością, wolną od wszelkich naleciałości liberalnych i modernistycznych. Byłoby dobrze, gdyby właśnie w tym hierarchowie Kościoła dostrzegli autentyczny znak czasu: ludzie, którzy pragną powierzyć całe swoje życie Ewangelii, na gwałt szukają ewangelicznego radykalizmu. Niektórzy, pozbawieni właściwego przygotowania, znajdują jego niepełną formę właśnie w prawosławiu: zachęceni pięknem liturgii, czystością patrystycznej teologii czy autentyzmem życia niektórych prawosławnych duchownych. Szczęśliwsi (albo bardziej otwarci na działanie łaski?) trafiają do katolickich wspólnot tradycyjnych. Tak czy inaczej: to przecież tam jest życie i w tym jest przyszłość chrześcijaństwa: w wierności prawu naturalnemu, odczytywaniu nauki Jezusa Chrystusa jako wezwania do bezkompromisowej walki z grzechem, w postrzeganiu wspólnoty Kościoła jako nieustającego znaku sprzeciwu wobec świata. Część amerykańskich biskupów próbuje wyciągać z tego wnioski; toczą jednak niełatwy bój. Mogą łatwo polec w starciu z propagującym zupełnie inną wizję przyszłości papieżem Franciszkiem, tak jak poległ choćby ordynariusz diecezji Tyler Joseph Strickland. Tam, gdzie pojawia się żywotny tradycyjny katolicyzm, tam jak złowrogi cień zjawia się wizytator apostolski, grożąc sankcjami i przejęciem diecezji przez nowego biskupa, danego z relatywistycznego i inkluzywnego klucza; dzieje się tak zarówno w USA, jak i na chyba jeszcze większą skalę we Francji.

Te watykańskie prześladowania, mimo ponawianych prób, nie były jednak jak dotąd w stanie powstrzymać trwającego rozrostu wspólnot tradycyjnych, pełnych wielodzietnych rodzin i powołań, co tak silnie kontrastuje z uwiądem parafii i diecezji oddanych liberalizmowi. Poznamy ich po owocach, nieprawdaż?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 52e0f83c74

Informator „Caritas”

Rafał Łatka

Ksiądz Kazimierz Lagosz był narzędziem w rękach władz Polski „ludowej”

Ksiądz Kazimierz Lagosz wywodził się z archidiecezji lwowskiej. Do Wrocławia trafił w 1945 r., bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych. Był jednym z pierwszych polskich kapłanów, którzy rozpoczęli prace na terenie dawnej archidiecezji wrocławskiej. Należy też wskazać, że jego aktywność nie była w żaden sposób usankcjonowana przez kościelnych przełożonych.

Pełnił następnie funkcję proboszcza parafii pw. św. Bonifacego we Wrocławiu oraz kolejno dziekana i prepozyta kapituły katedralnej (1945–1949). Dał się wówczas poznać jako dość dynamiczny organizator na polu duszpasterstwa i odbudowy świątyń. Brał udział w pełnieniu władzy administracyjnej na terenie Wrocławia jako członek Miejskiej Rady Narodowej. 19 sierpnia 1949 r. został pozbawiony mandatu. Następnie, 14 października 1949 r., został aresztowany na polecenie władz. Przebywał w więzieniu przez pięć kolejnych miesięcy.

Okres uwięzienia został wykorzystany do złamania ks. Lagosza i przygotowania go do roli całkowicie powolnego władzom komunistycznym rządcy Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska. 18 lutego 1950 r. został pozyskany do współpracy agenturalnej z aparatem bezpieczeństwa przez Józefa Dziemdzioka. Współpracował z UB/SB jako informator/agent ps. Rogulski (do 1957 r.), a następnie jako informator „Caritas” (od 1957 r. prawdopodobnie aż do śmierci w 1961 r.).

W latach 1951–1956 pełnił funkcję narzuconego przez władze wikariusza kapitulnego archidiecezji wrocławskiej. I temu okresowi warto przyjrzeć się bliżej.

BEZPRAWNIE WYBRANY RZĄDCA DIECEZJI

Ksiądz Lagosz z punktu widzenia prawa kanonicznego został bezprawnie wybrany na wikariusza kapitulnego

Ksiądz Kazimierz Lagosz
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 52e0f83c74

– i co do tego dzisiaj nie ma żadnych wątpliwości. W liście skierowanym do prymasa Polski, z 27 stycznia 1951 r., duchowny informował, że został powołany na wikariusza kapitulnego, a „stanowisko to przyjąłem li tylko dla uchronienia diecezji przed dezorganizacją i aby zachować łączność ze Stolicą. Waszą Ekscelencję proszę o przyjęcie tego aktu Kapituły do wiadomości oraz o Jego błogosławieństwo". Już treść tego pisma jasno pokazuje, że ks. Lagosz mijał się z prawdą, bo to presja funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa na jedynego kanonika wrocławskiego sprawiła, że został „wybrany".

Ksiądz Lagosz od samego początku swojej posługi jako narzucony przez władze komunistyczne rządca diecezji próbował bezprawnie poszerzać przyznane mu przez abp. Wyszyńskiego uprawnienia – mimo że prymas jasno podkreślał, iż mają one ograniczony charakter i mogą być w każdej chwili cofnięte. Przewodniczący Episkopatu Polski zdecydował się na autoryzowanie działań ks. Lagosza w obawie o wytworzenie przez komunistów schizmy w polskim Kościele, ale równocześnie stale obserwował jego aktywność i napominał w razie potrzeby.

Symbolami ograniczonego zaufania, którym obdarzył prymas ks. Lagosza, były udział abp. Wyszyńskiego w konsekracji katedry wrocławskiej oraz odnowienie Kapituły Wrocławskiej. Obydwie te kwestie miały istotne znaczenie dla stabilizacji sytuacji kościelnej i społecznej na Ziemiach Zachodnich oraz służyły do zademonstrowania zwiększania się stabilizacji struktur kościelnych na Ziemiach Odzyskanych. O ile w tej pierwszej kwestii ks. Lagosz zachował się prawidłowo i zadbał o wysoki poziom uroczystości z udziałem przewodniczącego Episkopatu, o tyle w przypadku reaktywacji Kapituły już tak nie było. Świeżo mianowany prepozyt bez jakiejkolwiek konsultacji z prymasem mianował czterech kanoników honorowych Kapituły Wrocławskiej. Byli to: ks. Jan Czuj, ks. Eugeniusz Dąbrowski, ks. Tadeusz Kruszyński i ks. Aleksy Petrani – właściwie bez wyjątku duchowni związani ze środowiskiem „księży patriotów" (można nawet przypuszczać, że ich dobór wikariusz kapitulny konsultował bezpośrednio z aparatem bezpieczeństwa). Spotkało się to ze stanowczym protestem ze strony abp. Wyszyńskiego.

Ksiądz Lagosz przekraczał swoje uprawnienia, także nakładając bezprawnie kary kościelne na podległych mu duchownych. Spotykało się to z krytyką abp. Wyszyńskiego. Najwięcej tego rodzaju zastrzeżeń prymas przedstawił w piśmie z 22 stycznia 1952 r. Jest to swego rodzaju posumowanie pierwszych 10 miesięcy rządów ks. Lagosza we Wrocławiu. Wspomniany list pokazuje, jak dalece rządca wrocławski przekraczał nadane mu kompetencje. Można je podzielić na kilka kategorii: sprawowanie jurysdykcji kanonicznej; brak zaufania do ks. Lagosza ze strony Stolicy Apostolskiej; zastrzeżenia dotyczące poszczególnych decyzji; zbytnia surowość wobec duchowieństwa; sprawy akcydentalne – do których prymas zaliczył zarzuty o pijaństwo i szabrownictwo – czyli oskarżenia odnośnie do spraw moralnych, które pojawiały się wobec rządcy Administracji Apostolskiej na Dolnym Śląsku. Ksiądz Lagosz mimo wielokrotnych napomnień nie zmienił swojego postępowania. Co więcej, potrafił odpowiadać dość absurdalnymi żądaniami konsultowania z nim wszelkich spraw archidiecezji wrocławskiej.

Ksiądz Lagosz od początku swojej posługi jako narzucony przez władze komunistyczne rządca diecezji próbował bezprawnie poszerzać przyznane mu przez abp. Wyszyńskiego uprawnienia

Prymas był zmuszony upominać ks. Lagosza także w kwestii realizowania uchwał Konferencji Episkopatu Polski. Przykładem w tym zakresie może być pismo, w którym abp Wyszyński zwracał uwagę rządcy Administracji Apostolskiej we Wrocławiu, że istnieje uchwała Episkopatu w kwestii publikowania przez duchownych w wydawnictwach PAX. Podkreślał ponadto, że rekrutowanie spośród księży współpracowników do „Słowa Powszechnego" (pisma wspomnianego stowarzyszenia) nie należy do zadań rządcy diecezji oraz że w ten sposób łamie ustalenia, które zapadły w czasie obrad plenarnych Episkopatu.

W OKRESIE INTERNOWANIA PRYMASA

Szczytowym symbolem braku wierności Kościołowi w Polsce ks. Lagosza było przesłanie przez niego do kard. Wyszyńskiego memoriału w sprawie ustanowienia biskupa w archidiecezji wrocławskiej 26 kwietnia 1953 r. Wspomniany dokument można nazwać bezpośrednią próbą wymuszenia przez wikariusza generalnego prymasa nominacji na biskupa wrocławskiego. Autor memoriału używał w tym zakresie zarówno argumentacji historycznej, jak i społecznej, politycznej, a nawet kanonicznej, dość słabo jednak maskującej jego własne ambicje. W konkluzji ks. Lagosz podkreślał, że diecezja wrocławska znajduje się w lepszej sytuacji niż pozostałe ordynariaty utworzone na Ziemiach Zachodnich, gdyż jej ciągłość historyczna nie została nigdy zniesiona. Duchowny sugerował także wprost konieczność włączenia administracji apostolskich w Opolu i Zielonej Górze do „odnowionej" archidiecezji wrocławskiej. Domagał się także, by prymas Polski, mając pełnomocnictwo od Stolicy Apostolskiej, jak najszybciej konsekrował biskupa ordynariusza wrocławskiego: „Przeciąganie bowiem i odkładanie może wyjść na szkodę Kościoła katolickiego, może spowodować schizmę i może sprowadzić niebezpieczeństwa przedstawione w piśmie niniejszym".

Prymas w odpowiedzi na memoriał rozesłał pismo do wszystkich ordynariuszy w Polsce, wyjaśniające status kościelnej administracji na Ziemiach Zachodnich i Północnych. W przerwie obrad plenarnych Episkopatu, 9 maja, przeprowadził rozmowę dyscyplinującą z ks. Lagoszem, poświęconą jego działaniom zmierzającym do włączenia administracji apostolskich w Opolu i Gorzowie do Wrocławia. Kapłan podczas spotkania miał się „zaklinać na trumnę swojej matki", że tego rodzaju koncepcja była jego autorskim pomysłem, niekonsultowanym z nikim (choć miał równocześnie wiedzieć, jakie są zamiary rządu). Ksiądz Lagosz zapewniał także, że dąży do

eprasa.pl 52e0f83c74

mitry biskupiej nie dla siebie, ale dla diecezji, którą zarządza. Zapis o wyborze biskupa przez kapitułę wrocławską miał być zaś tylko po to, żeby zadowolić rząd. Prymas jasno oświadczył w odpowiedzi: „Bez względu na osobiste konsekwencje będę bronił odrębności Opola i Gorzowa". Kardynał Wyszyński jasno nawiązywał w tym względzie do patronów ks. Lagosza, którymi były władze komunistyczne. W notatce sporządzonej na kartach swojego dziennika, po spotkaniu, prymas zwrócił uwagę na liczne słabości charakteru ks. Lagosza. Wśród nich wymieniał daleko idącą emocjonalność oraz niepohamowane niczym ambicje, w konkluzji zaś zaznaczał, że „rozumowanie z tym człowiekiem kategoriami kanonicznymi czy teologicznymi – jest niemożliwe".

Kardynał Stefan Wyszyński został aresztowany przez komunistów w nocy z 25 na 26 września 1953 r. i spędził trzy kolejne lata na internowaniu. Był to okres, gdy władze komunistyczne próbowały przejąć kontrolę nad Kościołem katolickim. Ksiądz Lagosz realizował ich politykę w tym zakresie na terenie archidiecezji wrocławskiej. Najważniejszym jej elementem było promowanie „księży patriotów" i ich awansowanie na najwyższe stanowiska w kurii diecezjalnej oraz proboszczowskie. Było to połączone z usuwaniem z istotnych funkcji kapłanów niemających zamiaru realizować oczekiwań komunistów.

Już po kilku miesiącach takiej działalności aparat bezpieczeństwa (w raporcie z 1 grudnia 1953 r.) oceniał, że „sytuacja pod względem układu sił wśród samego kleru uległa znacznej zmianie i poprawie na korzyść postępowej części kleru katolickiego". Zdaniem bezpieki wynikało to wprost z działań ks. Lagosza, który zalecał podległym sobie duchownym pełną lojalność i współpracę z władzami PRL. W charakterystyce przygotowanej w tym okresie przez Urząd do spraw Wyznań podkreślano, że z diecezją, którą kierował wspomniany duchowny, władze mają najmniej kłopotów. Ksiądz Lagosz starał się także, by kapłani archidiecezji wrocławskiej włączali się w działania propagandowe wspierające rozmaite komunistyczne inicjatywy w sferze społeczno-politycznej (zachęcając np. do kolektywizacji rolnictwa). W naradach dekanalnych z lat 1953–1955 rządca diecezji regularnie nakłaniał podległych księży, by działali w duchu lojalnej współpracy z rządem.

Dopiero pod koniec 1955 r. ks. Lagosz zaczął odchodzić od strategii całkowitej uległości wobec władz. Wynikało to przede wszystkim z odwilży politycznej, która miała miejsce w PRL. Powoli zmieniał front. Jesienią 1956 r. wykonał także wiele gestów, które miały świadczyć o jego niezależności wobec władz. Tego typu aktywność na niewiele się jednak zdała, bo Episkopat Polski doskonale pamiętał pełne podporządkowanie komunistom i wykonywanie ich poleceń.

KONIEC KOŚCIELNEJ KARIERY

Po powrocie kard. Wyszyńskiego z internowania ks. Lagosz został usunięty z funkcji. Początkowo mieszkał jeszcze wówczas w budynku kurii wrocławskiej. Prymas uważał, że duchowny ma obowiązek podporządkować się bp. Bolesławowi Kominkowi, który urząd ordynariusza objął 5 grudnia 1956 r. Ksiądz Lagosz ostatecznie w sposób deklaratywny zaakceptował sytuację, mając także świadomość, że nie ma w tym zakresie wyboru. Biskup Kominek z aprobatą prymasa Polski dokonał wielu ważnych zmian personalnych, usuwając z kluczowych stanowisk w diecezji księży powołanych na nie przez swojego poprzednika. We Wrocławiu powołano także specjalną komisję, która miała za zadanie rozliczyć nadużycia ks. Lagosza w zakresie sprawowania rządów w Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska (ustanowionej na polecenie Stolicy Apostolskiej i kard. Wyszyńskiego). Po objęciu władzy przez bp. Kominka ks. Lagosz próbował jeszcze wpływać na sytuację w diecezji wrocławskiej. W związku z tym nowy rządca diecezji udzielił mu nagany na piśmie.

Ksiądz Lagosz próbował także uzyskać od prymasa Polski zgodę na zamieszkanie w Warszawie, gdzie mógł, jak się wydaje, mieć większą swobodę działania niż we Wrocławiu oraz być bliżej swoich mocodawców, czyli władz komunistycznych. Kardynał Wyszyński zdecydowanie odmówił, używając dwóch ważnych argumentów, że wnioskodawca posiada beneficjum w Kapitule Wrocławskiej oraz że istnieje uchwała KEP wskazująca, iż duchowni wysiedleni z terenów diecezji, które obecnie znajdowały się za wschodnią granicą Polski, pracowali na Ziemiach Zachodnich.

Mimo wszystkich swoich zastrzeżeń co do postawy ks. Lagosza bp Kominek uważał tę decyzję za słuszną, choć usunięcie tego kapłana z zarządzanej przez niego diecezji z pewnością byłoby dla niego korzystne. Rok później ks. Lagosz bez pozwolenia swoich kościelnych zamieszkał w Warszawie.

Z punktu widzenia władz komunistycznych ks. Kazimierz Lagosz był idealnym kandydatem na biskupa ordynariusza we Wrocławiu. Został złamany i pozyskany do współpracy agenturalnej, wykonywał niemal wszystkie polecenia władz, posiadał niczym nieposkromione ambicje (idealne do wykorzystania przy rozgrywaniu Episkopatu Polski od wewnątrz) oraz miał problemy natury obyczajowej. Okres, gdy zarządzał wrocławskim Kościołem w latach 1951–1956, pokazał jednoznacznie, że ks. Lagosz był głównie narzędziem komunistów do kształtowania archidiecezji wrocławskiej według oczekiwań „władzy ludowej". Z tego wynikały jego kolejne działania, polityka personalna oraz przeciwstawianie się uchwałom Episkopatu.

Na przykładzie działalności tego kapłana możemy sobie wyobrazić, jak wyglądałby Kościół w Polsce, gdyby komuniści zrealizowali swoje plany – byłby to Kościół całkowicie podporządkowany państwu, w którym główną rolę odgrywają duchowni ze środowiska tzw. księży patriotów (a więc osoby mające problemy z ortodoksją kościelną, nastawione na własne korzyści finansowe lub złamane przez władze).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, profesorem UKSW, pracownikiem BBH IPN.

Ksiądz Kazimierz Lagosz został złamany i pozyskany do współpracy agenturalnej, wykonywał niemal wszystkie polecenia komunistycznych władz

eprasa.pl 52e0f83c74

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Wywiad NSZ a Brytyjczycy

Powojenna propaganda (nie tylko komunistyczna!) nastawiona była na zarzucanie NSZ kolaboracji z wrogiem. Z jednym wrogiem, czyli z Niemcami, bo kolaboracja z sowieckimi komunistami, na olbrzymią skalę, była dobra. Przypatrzmy się temu zarzutowi, czy miał pokrycie w rzeczywistości czy wynikał z jednoznacznie antykomunistycznej postawy tej organizacji.

Służby III Rzeszy nie miały wątpliwości, uważając NSZ za swych jednoznacznych wrogów (jak również organizacje wchodzące w ich skład: NOW i ZJ). Szczególnie jednak doceniali sprawność i osiągnięcia ich wywiadu, w tym zorganizowanego na terenach rdzennej Rzeszy. Musiało być dla nich szokiem, gdy po rozbiciu jednej z konspiracyjnych drukarni w Warszawie znaleźli tam nie tylko prasę, lecz także m.in. „prawie wszystkie formularze obowiązujące w Generalnym Gubernatorstwie, w tym formularze Reichsführera SS i władz wojskowych". Dlaczego jednak zdrajcy i kolaboranci musieliby produkować takie dokumenty, zamiast pobierać je wprost u swych patronów?

W całościowej ocenie gen. Reinharda Gehlena (szefa niemieckiego wywiadu na Wschodzie, sformułowanej pod koniec wojny) zyskali jednoznaczną opinię: „Był to najsprawniej zorganizowany i najbardziej sprężyście dowodzony nielegalny polski związek zbrojny". Jeśli nielegalny i polski, to gdzie tu miejsce na kolaborację?

NSZ nie miały bezpośredniej łączności z Londynem, wszelkie meldunki szły zatem przez KG AK i tą drogą docierały do Brytyjczyków. Pośrednio potwierdzają to dokumenty AK, ale ważniejsze są ustalenia SOE (brytyjski wywiad): „SOE nie posiada informacji z polskich źródeł o zawarciu jakiegokolwiek porozumienia pomiędzy ONR a Niemcami […], ramię zbrojne ONR okazjonalnie współpracowało z ZWZ przeciwko Niemcom […], członkowie ONR muszą ukrywać się i że nie ma jakichkolwiek dowodów na to, aby byli traktowani w uprzywilejowany sposób".

Co więcej, nawet wywiad NKWD ustalił (meldunek z kwietnia 1944 r.): „Uważa się NSZ za organizację niepodległościową, mającą obecnie największe możliwości rozwojowe na prawym skrzydle wachlarza politycznego".

Brytyjczycy okazjonalnie wspierali wywiad NSZ pokaźnymi kwotami pieniężnymi na dalszą działalność. Informują o tym zachowane dokumenty organizacyjne NSZ. Ale do takich ustaleń doszła też komunistyczna bezpieka, że wywiad NSZ „zajmował się zbieraniem informacji o dyslokacji jednostek wojskowych niemieckich […]. Informacje potrzebne były dla celów zarobkowych – sprzedawane AK za pieniądze IS [Intelligence Service] […], starano się o bezpośrednią łączność z IS". ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwszy zjazd PPS

Gdy w Warszawie u schyłku XIX w. powstawały pierwsze nowoczesne partie polityczne, w prowincjonalnym Wilnie 25-letni Józef Piłsudski szukał pomysłu na życie. Rok wcześniej powrócił z zesłania i zetknął się z grupą miejscowych socjalistów, którzy nie tworzyli jednak sformalizowanej organizacji. Nie posiadali też praktycznie programu, a ich działalność ograniczała się wyłącznie do dyskusji we własnym kręgu. Sytuacja uległa jednak zmianie, gdy przyszły Naczelnik w styczniu 1893 r. spotkał Stanisława Mendelsona, doświadczonego działacza socjalistycznego i jednego z założycieli II Proletariatu i PPS. Pod jego wpływem zaczął pisać artykuły dla „Przedświtu" – organu partii wydawanego w Londynie.

Piłsudski przygotowywał korespondencje z Wilna i bez większych zastrzeżeń przyjął program PPS. Z ideologią socjalistyczną zetknął się już wcześniej, a tradycję niepodległościową wyniósł z domu. Inna sprawa, że większość jego ówczesnych artykułów mogłaby bez problemów ukazać się w periodykach Ligi Narodowej. Pozbawione frazeologii socjalistycznej nie akcentowały różnic klasowych.

Jednak już w połowie 1893 r. doszło w PPS do rozłamu. W partii pozostali wyłącznie Sekcja Litewska i działacze emigracyjni, natomiast socjaliści z Królestwa Polskiego założyli Socjaldemokrację Polską (przemianowaną później na Socjaldemokrację Królestwa Polskiego). Rozłam nastąpił z powodów ideologicznych, warszawscy działacze zdecydowanie odrzucali program niepodległościowy. I tak jak wielu innych zwolenników lewicy nie zdawali sobie sprawy z atrakcyjności haseł niepodległościowych w Polsce…

Rozłam nie wpłynął na stanowisko Piłsudskiego, a towarzysz Wiktor niemal z dnia na dzień stał się jednym z liderów PPS. Na początku lipca 1893 r. (data dzienna nie jest znana) odbyła się u stóp góry Belmont pod Wilnem narada działaczy, którą później określano jako I Zjazd PPS. Wzięło w niej udział pięć (!!!) osób (w tym Piłsudski i Stanisław Wojciechowski), panowie dyskutowali o programie, pijąc mleko i jedząc bułki przygotowane przez siostrę przyszłego marszałka, Zofię Kadenacową, która mieszkała w pobliżu. Skromne menu było dowodem braków finansowych w partii, ale z drugiej strony przypominało nieco plenerowe imprezy filomatów czy promienistych sprzed kilkudziesięciu lat.

Niezbyt liczny, delikatnie mówiąc, udział działaczy w naradzie nie powinien jednak specjalnie dziwić, gdyż sama PPS liczyła wówczas w kraju zapewne niewielu więcej członków. Ale z drugiej strony zapewne dzięki temu nie było sporów programowych… ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

Pożegnanie z Bidenem?

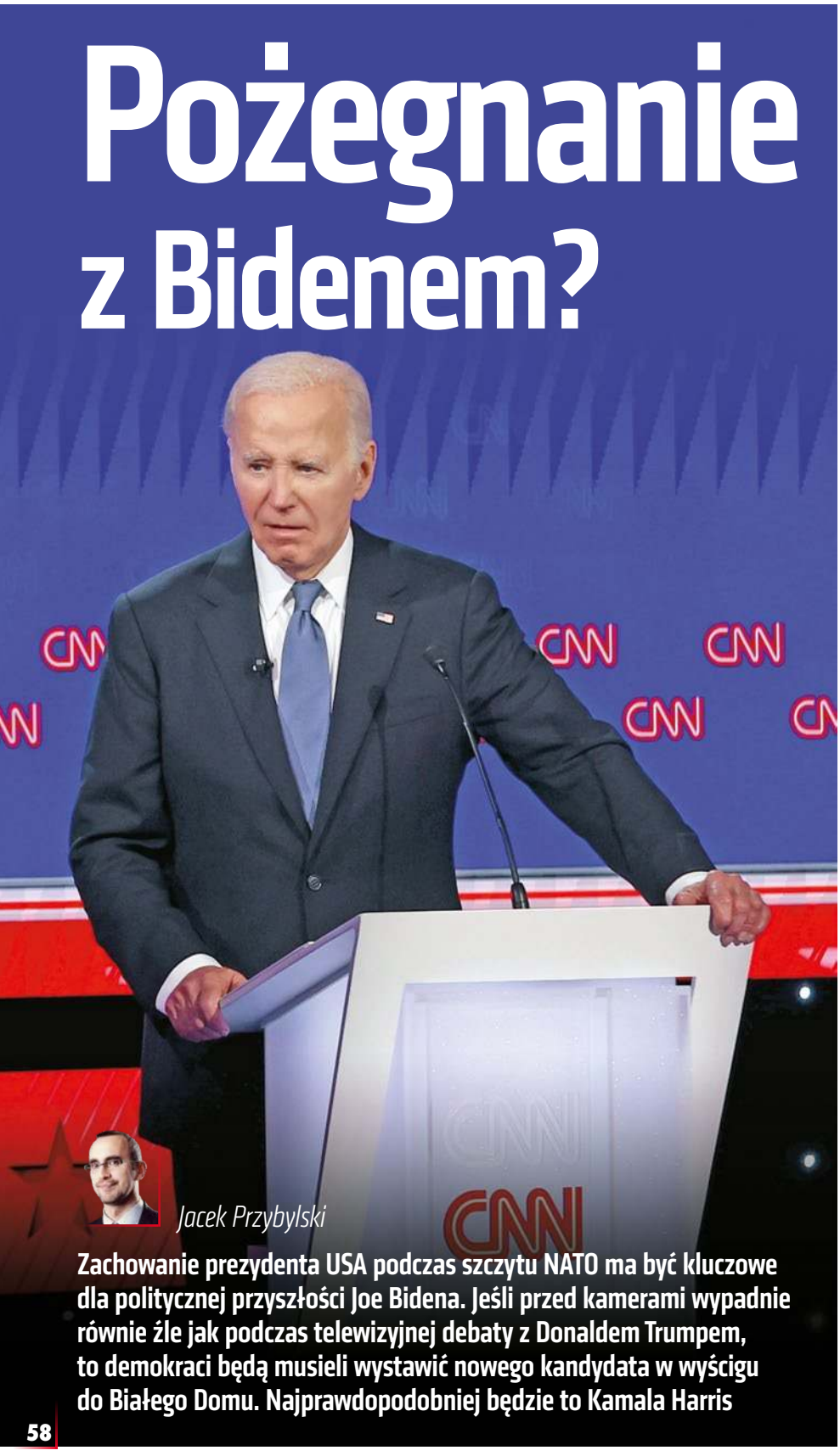

Jacek Przybylski

Zachowanie prezydenta USA podczas szczytu NATO ma być kluczowe dla politycznej przyszłości Joe Bidena. Jeśli przed kamerami wypadnie równie źle jak podczas telewizyjnej debaty z Donaldem Trumpem, to demokraci będą musieli wystawić nowego kandydata w wyścigu do Białego Domu. Najprawdopodobniej będzie to Kamala Harris

FOT. JUSTIN SULLIVAN/GETTY IMAGES

Gdy w Europie toczy się największa wojna od 1945 r., a wrogowie Zachodu stają się coraz potężniejsi, Ameryką rządzi najstarszy prezydent w dziejach USA. 81-letni dżentelmen ma duże problemy z formułowaniem sensownych wypowiedzi, a nawet z kończeniem zdań. To, w jak fatalnym stanie jest przywódca, od wielu miesięcy pokazywały nie tylko sprzedawane na Amazonie koszulki z Bidenem w roli zombie w garniturze, lecz także liczne filmiki na YouTube czy facebookowe rolki. I chociaż teoretycznie miały one śmieszyć, to akurat śmiesznego nie ma w tym nic. To właśnie ten polityk jest przecież zgodnie z konstytucją USA głównodowodzącym armii i floty Stanów Zjednoczonych, najważniejszego obecnie sojusznika Polski.

Demokraci nie tylko chcieli, aby w pełni sił dotrwał on na służbie do końca tej kadencji, lecz także, by pełnił ją przez kolejne cztery lata). O tym, że to niemożliwe, mówiło już wielu. Telewizyjna debata kandydatów na prezydenta zamieniła się jednak w 90 minut materiału dowodowego pokazującego wprost: wszystkie prześmiewcze filmiki o Bidenie nie były jedynie wredną prowokacją jego przeciwników politycznych, bo prezydent USA naprawdę jest w fatalnym stanie. Dopiero po de facto smutnej w odbiorze debacie zły stan zdrowia swego lidera zaczęli wreszcie dostrzegać też sympatycy lewej strony amerykańskiej sceny politycznej. Nagle do rezygnacji z wyścigu o prezydenturę wezwali Joe Bidena nie tylko publicyści „New York Timesa", lecz także co odważniejsi członkowie Partii Demokratycznej.

Wzywają oni, by Biden zrezygnował nie tylko dla dobra własnej partii, lecz także dla „dobra kraju". Do apeli o rezygnację z walki o prezydencki fotel dołączyli niektórzy publicyści „New Yorkera". „Naleganie przez prezydenta, aby pozostał kandydatem demokratów, byłoby aktem nie tylko samooszukiwania się, lecz także zagrożeniem dla bezpieczeństwa narodowego" – ostrzegł David Remnick. Tygodnik „Time" również nie owijał w bawełnę. Po fatalnej debacie prezydenckiej opublikował czerwoną okładkę z niewielkim, osamotnionym Bidenem zdającym się wychodzić poza krawędź strony i z jednym, krótkim słowem: „Panic" (panika). Trudno było lepiej oddać nastroje panujące w obozie liberałów.Z ubiegłotygodnio-

eprasa.pl 52e0f83c74

wych doniesień mediów w USA wynika, że Biden doskonale zdaje sobie sprawę, iż znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Miał nawet przyznać prywatnie, że „najbliższe dni będą kluczowe dla uratowania jego kandydatury".

Rodzina i przyjaciele mają go jednak przekonywać, aby nie poddawał się na tym etapie wyścigu i po prostu walczył dalej. Również rzeczniczka Białego Domu jednoznacznie zaprzecza, by obecny prezydent USA zamierzał zrezygnować z walki o reelekcję.

LEPSZE ZŁO ZNANE NIŻ NIEZNANE?

Czy Bidenowi uda się przekonać opinię publiczną, a zwłaszcza partyjnych liderów, że fatalny występ podczas debaty był tylko chwilową niedyspozycją? – Zdecydowałem się na kilka podróży po świecie niedługo przed debatą […]. Nie posłuchałem współpracowników i potem niemal zasnąłem na scenie – tłumaczył swój fatalny występ amerykański prezydent podczas spotkania z darczyńcami w McLean w Wirginii pod Waszyngtonem, podkreślając, że „to nie jest wymówka, lecz wyjaśnienie".

Biden rzeczywiście przed debatą wybrał się w podróż do Francji (4–7 czerwca), a następnie do Włoch (13–15 czerwca) – gdzie według nieoficjalnych wypowiedzi członków Białego Domu miał czasem wykazywać się bystrością umysłu, a czasem wydawał się kompletnie zagubiony – ale wymówka z zagranicznymi podróżami wyborców raczej nie przekona. Nikt nie ma bowiem wątpliwości, że akurat funkcja prezydenta USA do najlżejszych nie należy i wymaga dużej sprawności psychofizycznej. Trzy czwarte amerykańskich wyborców w sondażu przeprowadzonym na zlecenie CNN przez SSRS stwierdziły więc na początku lipca, że Partia Demokratyczna miałaby większe szanse na sprawowanie prezydentury w 2024 r., gdyby na czele listy znalazł się ktoś inny niż prezydent Joe Biden. Zapytani o to, na kogo będą głosować w listopadzie, wyborcy coraz częściej stawiają na Donalda Trumpa. Według sondażu opublikowanego przez „NYT" na Trumpa chce zagłosować 49 proc. pytanych, a na Bidena 43 proc. Podobny wynik przyniosło badanie opublikowane przez „Wall Street Journal" (Trump zdobył 48 proc., a Biden 42 proc.).

Według najnowszych sondaży przewaga Donalda Trumpa nad Joe Bidenem wynosi już aż sześć punktów procentowych

Mimo to według dziennika „Financial Times" Biden w środowy wieczór zdołał przekonać ponad 20 wpływowych gubernatorów, że jest w stanie kontynuować walkę o reelekcję. Według dziennika „New York Times" podczas tego spotkania prezydent USA miał przekonywać, że będzie w dużo lepszej formie, jeśli będzie więcej spał i nie będzie już tyle pracował po godz. 20. Biden zyskał więc trochę czasu, aby spróbować poprawić swój wizerunek wśród Amerykanów. Czy jeśli mu się nie uda, to Partia Demokratyczna zdobędzie się na odwagę, aby wymienić kandydata na

REKLAMA

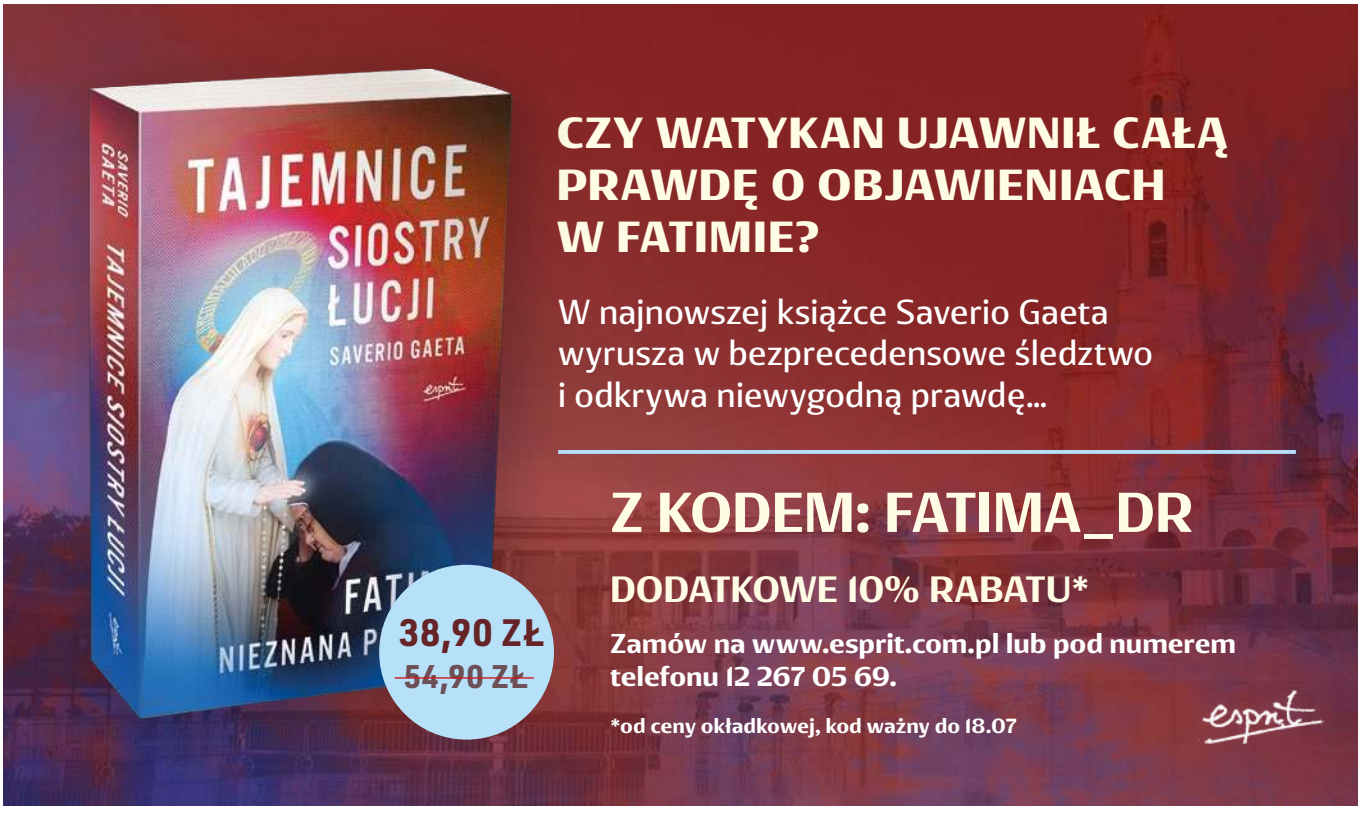

eprasa.pl 52e0f83c74

prezydenta zaledwie kilka miesięcy przed listopadowymi wyborami? Nie wiadomo. Wielu partyjnych liderów, a także liberalnych komentatorów uważa, że lepsze zło znane niż nieznane, i przekonuje, że Partia Demokratyczna nie ma już innego wyboru niż walczyć o reelekcję „śpiącego Joe" (jak nazywa swego konkurenta Donald Trump).

CZY TO NAPRAWDĘ AMERYKA?

Publicyści w USA, Kanadzie czy Europie – i zapewne miliony zwykłych Amerykanów – starają się z kolei znaleźć odpowiedź na pytanie, czy naprawdę w liczących ponad 330 mln mieszkańców Stanach Zjednoczonych nie da się już znaleźć lepszych kandydatów do pełnienia najważniejszej funkcji w państwie niż zbereźnik Donald Trump, który stara się przekonać wyborców i sędziów, że nie fałszował dokumentacji w związku z ukrywaniem zapłaty za milczenie gwiazdy porno na temat ich rzekomego stosunku seksualnego, czy dawny senator Joe Biden, który jest już w tak kiepskiej kondycji psychofizycznej, że najczęściej nie pamięta już nawet, kogo i do czego chciałby przekonać, a którego syn Hunter Biden przeszedł do amerykańskiej historii jako pierwsze dziecko urzędującego prezydenta, które stanęło przed sądem (został uznany za winnego naruszenia przepisów mających uniemożliwić narkomanom posiadanie broni palnej).

Czy to naprawdę najlepsi reprezentanci najpotężniejszego kraju świata, który przez dekady promował się jako kolebka demokracji i który swój system rządów próbował przeszczepić w różnych częściach świata? – To nie jesteśmy my. Ameryka jest lepsza niż to, co właśnie zobaczyliście. Stany Zjednoczone są lepszym krajem, niż wynikałoby to z debaty, którą obejrzeliście. Przepraszam – tymi słowami zwrócił się do widzów amerykański prezenter Brian Stelter na antenie kanadyjskiej telewizji NCBC.

Kłopot w tym, że ten wybór jest obecnie rzeczywiście mocno ograniczony. Pierwszym wyborem dla Partii Demokratycznej – jeśli Joe rzeczywiście ustąpi z wyścigu – będzie zapewne 59-letnia Kamala Harris. Teoretycznie na ławce rezerwowych są jeszcze sekretarz do spraw transportu Pete Buttigieg, demokratyczni gubernatorzy Gavin Newsom z Kalifornii, Gretchen Whitmer z Michigan czy Josh Shapiro z Pensylwanii. Wydaje się jednak, że zmuszenie Kamali Harris do rezygnacji ze swej życiowej szansy byłoby trudniejsze niż skłonienie Joe Bidena, aby z pamięci wyrecytował po polsku całego „Pana Tadeusza". Wybór Harris potencjalnie wywołałby najmniejszy chaos, gdyż – jak podał Reuters – wiceprezydent przejęłaby po prostu pieniądze, które sponsorzy wpłacili na konto kampanii Bidena, i skorzystała z jego kampanijnych struktur. Sponsorzy mogą sprzyjać zmianie nazwiska kandydata. Abigail Disney, wnuczka Walta Disneya, już ogłosiła, że wstrzyma przekazywanie darowizn na rzecz Partii Demokratycznej do czasu wycofania się Joe Bidena z prezydenckiego wyścigu.

Poza tym Harris ma najbardziej rozpoznawalne nazwisko, a do tego w sondażach wypada najlepiej z grona rozważanych dotychczas następców Bidena. Harris w tym samym sondażu przegrałaby 42 do 43 proc. (w badaniu na zlecenie CNN również zwyciężyłby Trump ze stosunkiem głosów 47:45). Pozostali kandydaci tracili wobec Trumpa od trzech do pięciu punktów procentowych więcej niż Harris. O tym, że Partia Demokratyczna wybierze właśnie ją, przeświadczony jest także Donald Trump. Portal The Daily Beast opublikował film, na którym były wiceprezydent mówi o Bidenie wprost: „On już zrezygnował. Ja go wyciąłem. A to oznacza, że mamy Kamalę".

Lepiej od Harris w przedwyborczych sondażach wypada jedynie… Obama. I to nie Barack, a jego żona Michelle

Lepiej od Harris wypada jedynie… Obama. I to nie Barack, ale jego żona Michelle. Według sondażu Reuters/IPSOS w pojedynku z Trumpem zdobyłaby ona wyraźną przewagę, pokonując byłego prezydenta stosunkiem głosów 50 do 39 proc. Była pierwsza dama konsekwentnie od dawna deklaruje jednak, że nie zamierza walczyć o Biały Dom. Z pewnością z grona potencjalnych rywali Trumpa można skreślić Roberta Kennedy'ego Jr., syna brata legendarnego JFK. Wprawdzie w ubiegłym roku rozważał on start w wyścigu do Białego Domu z listy Partii Demokratycznej, jednak ostatecznie zdecydował się wystartować jako kandydat niezależny. Taki ruch sprawił, że finansowo wsparli go również zwolennicy Trumpa, liczący na to, że piąty członek klanu Kennedych walczący o prezydenturę w listopadowym starciu odbierze choć część głosów Bidenowi. Może się to okazać kiepską inwestycją, wiele wskazuje bowiem na to, że akurat Robert może nie być najmądrzejszym z Kennedych. Według „Vanity Fair" potencjalny gospodarz Białego Domu rozsyłał znajomym zdjęcia nagich kobiet (nie wiadomo, czy robił je za ich zgodą), był oskarżany o molestowanie seksualne, a nawet o zjedzenie pieczonego psa (według kandydata na prezydenta to nie był pies, tylko koza, a poza tym „nigdy nie twierdził, że jest ministrantem").

Kłopot z wyborem godnego przeciwnika Donalda Trumpa sprawia, że liberalni politycy, publicyści i profesorowie są rzeczywiście coraz bliżsi paniki. Od miesięcy ostrzegają bowiem, że jeśli w listopadzie wygra Trump, to Ameryka błyskawicznie przemieni się w autokrację, w której okrutny i bezwzględny gospodarz Białego Domu będzie sprawował rządy dożywotnio albo i dłużej, typując zawczasu swego następcę, który ma być wrogiem demokracji. Takie proroctwa krzewi publicznie choćby filozof Jason Stanley z Uniwersytetu Yale. Wielu polityków Partii Demokratycznej również wielokrotnie ostrzegało swych wyborców, że listopadowe głosowanie będzie najważniejszym w historii i przesądzi o tym, czy wygra „demokracja" czy „tyrania". Ci, którzy uwierzyli w te polityczne brednie, teraz wychodzą na trasy przejazdu prezydenta Bidena z plakatami: „Odejdź dla dobra demokracji" lub: „Kochamy cię, ale nadszedł już twój czas"…

Partyjni liderzy nie mają prostego zadania. Pozostawienie Bidena jako kandydata może być samobójstwem Partii Demokratycznej. Nie ma bowiem gwarancji, że jeśli dotrwa do wyborów lub nawet jeśli je wygra, to będzie w stanie rzeczywiście sprawować rządy. To zaś i tak oznacza, że stery przejmie Kamala Harris. Zmiana kandydata – mimo że w sondażach chcą tego wyborcy – może zaś oznaczać polityczny chaos i doprowadzić Partię Demokratyczną do utraty nie tylko Białego Domu, lecz także większości w Senacie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Rosja na celowniku dżihadu

Witold Repetowicz

Rosja stara się prezentować w świecie muzułmańskim jako jego sojuszniczka i podjudzać wyznawców islamu przeciwko Zachodowi. Jednocześnie Rosjanie są islamofobiczni i rasistowscy, co prowadzi do rozwoju ekstremizmu islamskiego w tym kraju. Rosyjska polityka zagraniczna wprowadziła ją też na kurs kolizyjny z dżihadystami. Dlatego ani zamach w podmoskiewskim Crocus City Hall, ani dżihadystyczny atak w Dagestanie nie były zaskoczeniem

W końcu czerwca w kaukaskim Dagestanie doszło do ataków na dwa kościoły, dwie synagogi i posterunek policji. W strzelaninie dżihadyści zabili ponad 20 osób. Niespełna trzy miesiące wcześniej w zamachu na podmoskiewski Crocus City Hall zginęło 145 osób. Po tamtym akcie terrorystycznym pojawiły się głosy, że wszystko zostało ukartowane przez rosyjskie służby. Przypominano przy tym ataki, które miały miejsce przed rozpoczęciem drugiej wojny czeczeńskiej. Był to fałszywy trop, który jednak był dla Rosji wygodny. Odwracał on bowiem uwagę od problemu, który coraz mocniej ją zżera, a którego istnieniu rosyjska propaganda stara się zaprzeczać, tj. problemu Rosji z islamem. Państwo to ma go zarówno w wymiarze wewnętrznym, jak i zewnętrznym. Z jednej bowiem strony szybko rosnąca liczba muzułmanów jest w Rosji prześladowana, a Rosjanie mają uzasadnione powody, by bać się islamizacji. Rośnie też radykalizacja muzułmanów na Kaukazie, gdzie gwałtownie przybywa liczba ekstremistycznych salafitów. Z drugiej strony natomiast aktywność Rosji w Syrii, Afryce Północnej czy ostatnio w Afganistanie naraziła ją na konfrontację z Państwem Islamskim (ISIS) i Al-Kaidą.

OZNAKA SŁABOŚCI

Zamachy na budynki mieszkalne w 1999 r. posłużyły jako pretekst do rozpoczęcia drugiej wojny i utorowały Putinowi drogę do władzy. W przypadku Crocus City Hall było jednak zupełnie inaczej – Rosja nie tylko nie potrzebowała tych zamachów jako pretekstu do jakichkolwiek działań, lecz także pokazały one jej słabość, i to na wielu poziomach. Rosjanie dostali bowiem sygnał, że służby ich kraju wcale nie są takie wszechpotężne i nie są w stanie ich ochronić przed zagrożeniem dżihadystycznym. Tymczasem w autorytarnym reżimie, takim jak Rosja, lud powinien się trząść ze strachu przed carem, a nie przed jego wrogami. A gdy car pokazuje niemoc w rozprawie z wrogami, jest to dla niego kompletna klęska. A w tym wypadku tak właśnie było.

Na pytanie, jaki cel mieli dżihadyści z Państwa Islamskiego Wilajetu Chorasan (ISIS-K) w atakowaniu Rosji, wbrew pozorom odpowiedzieć jest dość łatwo. Warto jednak najpierw zadać pytanie, jaki cel mogła mieć Moskwa w organizowaniu tego zamachu, jeśli przyjmiemy teorię, że była to robota rosyjskich służb. Mobilizacja i tak by była i Putin nie potrzebował do tego pretekstu, zwłaszcza w postaci uderzenia ze strony dżihadystów. Zresztą na Ukrainie Rosja nie jest w stanie zrobić nic poza tym, co już i tak robi i co planowała robić, a rosyjska opinia publiczna będzie to akceptować dopóty, dopóki władzom uda się jej wmawiać, że skończy się to zwycięstwem. Zatem po co tu jakiś zamach, i to jeszcze taki, pod którym podpisują się dżihadyści?

Próba powiązania Ukrainy z ISIS została dokonana w sposób tak absurdalny i niezdarny, że tylko osoby, które uwierzyłyby we wszystko, w tym w sojusz Ukrainy z Marsjanami atakującymi Ziemię, mogły to kupić. Narracja ta była zresztą tworzona w trybie awaryjnym i stąd taka jej toporność. Również sugestie, że Rosja będzie chciała wykorzystać zamach do przekonywania Zachodu o konieczności porzucenia wsparcia Ukrainy na rzecz zwalczania wspólnego zagrożenia, nie znalazły potwierdzenia w późniejszej narracji rosyjskiej. Przeciwnie: Rosja aby przykryć kompromitację swoich służb, tym większą, że Putin był przecież ostrzegany przez USA, w sposób nieporadny stwierdziła, że winny jest też Zachód.

Silne państwo jest zdolne do silnej odpowiedzi, słabe natomiast ulega terrorystom. USA po takim zamachu już dawno zbombardowałyby jakiś cel. Rosja tego nie zrobiła, gdyż nie jest w stanie skutecznie uderzyć w dżihadystów. Może co najwyżej złapać jakiegoś Tadżyka, odciąć mu ucho albo podłączyć genitalia do prądu. To, że zdjęcia z tortur podejrzanych o zamach zostały opublikowane, było właśnie próbą odwrócenia uwagi od tego, że nic więcej Rosja zrobić nie może. W szczególności dotyczy to ISIS-K, które organizując ten zamach, wysłało Rosji sygnał, by trzymała się z dala od Afganistanu, a jednocześnie chciało pokazać swoją siłę i w ten sposób zwiększyć

eprasa.pl 52e0f83c74

efektywność rekrutacji nowych członków w rosyjskich miastach. Po wycofaniu się USA z Afganistanu w 2021 r. i przejęciu kontroli nad tym państwem przez talibów Rosja postanowiła się z nimi dogadać. Chodzi przy tym zarówno o dostęp do zasobów naturalnych Afganistanu, jak i o ochronę „miękkiego podbrzusza Rosji", tj. postsowieckich republik środkowoazjatyckich, przed rozprzestrzenianiem się dżihadyzmu. Ten strach przed islamskim zagrożeniem obecny jest w Rosji od dawna i związany jest nie tylko z możliwością rozwoju ruchów dżihadystycznych w bezpośrednim otoczeniu tego państwa, lecz także z możliwą radykalizacją środkowoazjatyckich migrantów mieszkających w Moskwie czy Petersburgu. A są ich miliony.

Tyle że skutki były przeciwne do zamierzonych, gdyż Rosja układając się z talibami, weszła w konflikt z ISIS-K. Organizacja ta powstała w 2015 r. i zagnieździła się w prowincji Nangarhar. Konflikt ISIS-K z talibami wpisywał się przy tym w ogólną rywalizację ISIS i Al-Kaidy. Ponadto pewna ugodowość talibów po przejęciu władzy w Afganistanie, poszukiwanie przez nich międzynarodowego uznania oraz wyrzeczenie się sponsorowania terroryzmu dały ISIS-K dodatkowe argumenty do prowadzenia dżihadu przeciwko nim i ich nowym sojusznikom. A do tych należą w szczególności Chiny oraz Rosja. Chińczycy ostrzyli sobie ząbki na przejęcie kontroli nad afgańskimi zasobami naturalnymi i kolonizację tego kraju przez strategiczne inwestycje. Talibowie byli na to gotowi i obiecali spacyfikować niegdysiejszego swojego sojusznika, tj. ujgurskich terrorystów z Islamskiego Ruchu Wschodniego Turkiestanu (ETIM). Ujgurzy jako muzułmanie są prześladowani w Chinach, ale talibowie byli bardziej zainteresowani pieniędzmi niż losami swoich braci. ETIM przeszedł zatem na stronę ISIS-K, a Chińczycy stali się celem ataków terrorystycznych w Afganistanie.

Rosja oficjalnie nie uznała stworzonego przez talibów Islamskiego Emiratu Afganistanu, ale faktycznie utrzymuje z nim bardzo intensywne stosunki dyplomatyczne. Delegacja talibów była obecna na Forum Ekonomicznym w Petersburgu w czerwcu 2022 r., po czym strony podpisały różne porozumienia. Oczywiście nie pozostało to bez odpowiedzi – 5 września 2022 r. terrorysta samobójca zaatakował ambasadę Rosji w Kabulu, zabijając kilkanaście osób. W połowie lutego br., kilka dni przed zamachem w Crocus City Hall, rosyjski ambasador w Kabulu Dmitrij Żirnow spotkał się z ministrem spraw wewnętrznych Islamskiego Emiratu Afganistanu Siradżuddinem Hakkanim w celu omówienia pogłębionej współpracy w zakresie bezpieczeństwa. Konkretnie chodziło o wspólne działania przeciwko ISIS-K. Trudno więc być zaskoczonym, że ISIS-K zareagowało w najbardziej charakterystyczny dla siebie sposób, wiedząc zresztą, że Rosjanie w odpowiedzi nic zrobić nie mogą. Nie zdecydują się na „precyzyjne" uderzenia w cele ISIS-K, bo nie mają ani rozpoznania, ani takich zdolności, a uderzenie na ślepo raczej trafi w jakichś biednych wieśniaków i nie będzie to radosna nowina dla ich nowych sojuszników, tj. talibów. Jeszcze bardziej abstrakcyjne jest wysłanie rosyjskich żołnierzy do Afganistanu. Wtedy Kijowowi nie pozostałoby nic innego jak otwierać szampana, bo jak się wejdzie do Afganistanu, to szybko się stamtąd nie wyjdzie.

Dżihadystyczny atak w Dagestanie – przeprowadzony 23 czerwca – nie był zaskoczeniem

FOT. THE NATIONAL ANTITERRORISM COMMITTEE/AP/EAST NEWS

ISIS-K nie jest jednak jedynym dżihadystycznym wrogiem Rosji. Jej interwencja w Syrii w 2015 r. naraziła ją na odwet ze strony zarówno ISIS, jak i Al-Kaidy. Znamienna w kontekście ataku na Crocus City Hall jest przy tym reakcja Rosji na zamach, do którego doszło 31 października 2015 r. ISIS zestrzeliło wówczas nad Synajem rosyjski samolot Metrojet 9268, ale Rosja przez dłuższy czas nie chciała tego przyznać, twierdząc, że była to awaria. Zginęły wówczas 224 osoby. ISIS znów uderzyło na Rosję w 2017 r., tym razem już na jej terenie. Doszło wówczas do kilku ataków, m.in. w kwietniu 2017 r. bomba wybuchła w petersburskim metrze, zabijając 15 osób. W 2019 r. doszło do kolejnej serii zamachów ISIS. Rosyjskim służbom udało się opanować sytuację, ale po wybuchu wojny w lutym 2022 r. ich aktywność została całkowicie przekierowana na Ukrainę. ISIS skorzystało więc z tego odsłonięcia się Rosji.

ODWET ZE STRONY AL-KAIDY

Z kolei aktywność Rosji w Afryce Północnej naraziła ją na odwet ze strony Al-Kaidy Islamskiego Maghrebu (AQMI).

eprasa.pl 52e0f83c74

Celom dżihadystów sprzyja też rosyjski rasizm i tego Rosja również się obawia

Rosjanie byli dość skuteczni w wyparciu Francuzów z państw Sahelu, w których wsparli prorosyjskie junty, a te zaprosiły do siebie wagnerowców. Francuzi prowadzili jednak walkę z AQMI oraz innymi dżihadystami i ich wycofanie się otworzyło przed tymi siłami możliwości ekspansji. Tymczasem stanęli im na drodze rosyjscy najemnicy i choć ich skuteczność jest niewielka, to AQMI uznało Rosję za wroga. Lider tej organizacji Youssef al-Anabi w marcu 2023 r. uznał Rosję za siłę kolonialną i zapowiedział, że będzie ona celem ataków AQMI. Oczywiście ani w Sahelu, ani w Syrii Rosjanie nie są w stanie uderzyć obecnie w żadne cele dżihadystów, gdyż nie mają takich zdolności operacyjnych. Mogą jedynie zbombardować coś na wiwat, ale realnych działań wojennych nie podejmą, gdyż musieliby przerzucić tam więcej sił, a przecież są one im potrzebne na Ukrainie.

Rosja stara się ukrywać to, że ma problem z islamskim terroryzmem, zarówno z przyczyn wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Jeżeli chodzi o ten drugi aspekt, to związane jest to z rosyjską propagandą kierowaną do świata muzułmańskiego, w której Rosja ma się jawić jako kraj, w którym panuje międzyreligijna harmonia, a ona wspiera muzułmanów uciskanych na świecie przez „kolonialne i imperialne" siły Zachodu. W szczególności związane jest to z konfliktem izraelsko-palestyńskim, gdzie rosyjska propaganda wmawia muzułmanom, że zły Zachód popiera mordowanie Palestyńczyków przez złych Żydów, a Rosja jest szczerą patronką sprawy palestyńskiej i uciskanych przez zachodnich rasistów i islamofobów muzułmańskich migrantów. Jednocześnie używa czeczeńskiego watażki Ramzana Kadyrowa jako swojej muzułmańskiej wizytówki, choć de facto jest on pogardzany przez większość Rosjan jako kaukaski dzikus, który nie przestrzega rosyjskich praw. Jego wpływy ograniczają się zatem do Czeczenii, gdzie może robić, co chce, w zamian za lojalność, odgrywanie roli dyżurnego muzułmanina Rosji i służenie w charakterze watahy dzikich psów spuszczanych z łańcucha na wrogów rosyjskiej władzy. Jego wpływ na sytuację muzułmańskich gastarbeiterów w Moskwie czy Petersburgu jest jednak żaden.

Rosyjska propaganda w świecie islamskim jest jednak dość skuteczna, gdyż pada na podatny grunt użyźniony niechęcią do Zachodu. Tymczasem muzułmańska rzeczywistość w Rosji jest zgoła odmienna od tej, którą mogą wyobrażać sobie sympatyzujący z nią muzułmanie na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. I Rosja nie chce, by jakieś zamachy skłoniły muzułmanów na świecie do dokładniejszego zapoznania się z sytuacją ich braci w wierze mieszkających w Rosji. Tymczasem muzułmanie są tam niedoreprezentowani politycznie, a ich szybko rosnąca liczba wywołuje wzrost rasizmu i islamofobii po stronie etnicznych, prawosławnych Rosjan. Obecnie muzułmanie stanowią ok. 20–25 proc. populacji Federacji Rosyjskiej, czyli znacznie więcej niż w jakimkolwiek kraju europejskim, ale niektóre prognozy mówią, że do 2030 r. co trzeci mieszkaniec tego państwa będzie muzułmaninem, a odsetek etnicznych Rosjan do 2050 r. spadnie do 46,5 proc. Jeżeli jednak porównamy udział muzułmanów w elitach politycznych w państwach takich jak Francja, Holandia, Wielka Brytania, Niemcy czy Szwecja do tego, jak to wygląda w Rosji, to widać wyraźnie dysproporcję. Ponadto ze względu na sprzeciw Rosyjskiej Cerkwi prawosławnej w Moskwie czy Petersburgu meczetów jest tylko kilka, choć muzułmanów są tam miliony. Powstają tam zatem podziemne meczety, które są gniazdem radykalizacji oraz miejscem agitacji i rekrutacji ISIS. To w ten sposób organizacja ta werbowała Tadżyków czy Uzbeków do wyjazdu do Syrii i Iraku w latach swojej świetności. Teraz ISIS potrzebuje odrodzenia i nowe zamachy, a także niezdolność Rosji do odpowiedzenia na nie są drogą do realizacji tego celu. A w Rosji są dogodniejsze do tego warunki niż na Zachodzie.

Celom dżihadystów sprzyja też rosyjski rasizm i tego Rosja również się obawia. Rosyjski imperializm spowodował rozwój skrajnie nacjonalistycznych ugrupowań i związanych z nimi bojówek. Władze nie tylko tego nie zwalczają, lecz także wręcz to popierają, gdyż służy to imperialistycznej agendzie Rosji. Tyle że jednocześnie prowadzi do wzrostu przemocy wobec nieetnicznych Rosjan, zwłaszcza migrantów z Azji Centralnej. Zasianie strachu, podejrzliwości i żądzy zemsty prowadzić będzie do wzrostu liczby incydentów, a perspektywicznie być może również pogromów. Po zamachu na Crocus City Hall doszło już do polowania na Tadżyków. A każda akcja rodzi reakcję i im bardziej muzułmanie w Rosji (lub przynajmniej ich część) będą się czuli wyobcowani i prześladowani, tym łatwiejszym staną się łupem dla ISIS. Jeśli Rosja ma ulec wewnętrznemu rozkładowi, to konflikt między etnicznymi, prawosławnymi Rosjanami a muzułmanami będzie jego najbardziej prawdopodobną przyczyną. Atak w Dagestanie to potwierdza, zwłaszcza że w ostatnich miesiącach doszło też do paru innych, mniej nagłośnionych incydentów terroryzmu dzihadystycznego w Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Bandera wiecznie żywy

FOT. ANASTASIIA SMOLIENKO/UKRINFORM/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

W przededniu rocznicy ludobójstwa na Wołyniu ukraiński nacjonalizm trzyma się mocno, choć nie jest jednolity. Neobanderowcy spierają się z neonazistami o język rosyjski. Z kolei liberalne, nienacjonalistyczne elity kraju fałszują obraz Bandery, czyniąc zeń bohatera Zachodu

Kijowskie wydawnictwo Fronezis wydało niedawno biografię wiceprzewodniczącego OUN Iwana Wowczuka. Jego historia idealnie wpisuje się w propagandowe potrzeby Kijowa, a także w dominujące nad Dnieprem myślenie o własnej przeszłości i teraźniejszości. Wowczuk był zastępcą Bandery, ale pochodził ze wschodniej Ukrainy, a poza tym instytut Yad Vashem nagrodził go medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata za uratowanie życia rodzinie żydowskiej. Dlatego, jak z dumą twierdzi sam autor biografii, Ołeh Procenko, jego książka „demaskuje najbardziej znane moskiewskie antyukraińskie mity imperialne, uderzające w ukraińskich nacjonalistów". Oczywiście w rzeczywistości Wowczuk był wyjątkiem od reguły. Jednak zarówno dla władz, jak i generalnie dla elit ukraińskich nie są ważne fakty (a już na pewno nie te ustalane przez polskich badaczy), tylko ich nadinterpretacje.

Wojna z Rosją sprawiła, że tradycja OUN i UPA stały się nawet bardziej potrzebne niż wcześniej. Bandera i Szuchewycz po 2014 r., a w jeszcze większym stopniu po 24 lutego 2022 r. służą Ukraińcom jako symbole oporu przeciwko Rosji. Zbrodnie na Polakach są nadal relatywizowane i fałszywie wpisywane w szerszy kontekst „wojny UPA z AK". Władze Lwowa z dumą ogłosiły konkurs na odbudowę muzeum Szuchewycza, zbombardowanego przez Rosjan. Swoją pomoc w tej sprawie zaoferował też Poroszenko. Udział nacjonalistów w Holokauście i ich współpraca z niemieckim okupantem są w debacie pomijane. Ukraińscy komentatorzy bronią nie tylko UPA, lecz także SS-Galizien. Gdy w obecności Zełenskiego w kanadyjskim parlamencie odznaczono weterana tej formacji, wpływowi ukraińscy komentatorzy nie tylko nie podzielali oburzenia Zachodu, lecz także uznali owo oburzenie za efekt działania rosyjskiej propagandy. Przekonywano, że skoro w Norymberdze nie przedstawiono żadnych dowodów na zbrodnie wojenne SS-Galizien, to nie ma powodu, by służących w jej szeregach Ukraińców potępiać. Z kolei według Wołodymyra Wiatrowycza polscy politycy, twierdząc, że dywizja Hałyczyna wymordowała tysiące Polaków, „powtarzają rosyjską propagandę". I żadnemu z komentujących nie przeszkadzała przynależność oddziału do niemieckiego nazistowskiego SS…

PODZIAŁ NACJONALISTÓW

W obliczu agresji ze wschodu Ukraina stanęła przed wyborem: ukrainizować na siłę rosyjskojęzycznych obywateli czy uczynić z nich atut w walce z Rosją? W teorii zwyciężyła pierwsza opcja. W praktyce funkcjonuje również ta druga. Po 2014 r. Kijów prowadził dekomunizację, po 2022 r. – derusyfikację, usuwając z przestrzeni publicznej w zasadzie wszystko, co ma związek z Rosją, jej językiem, kulturą i historią. Jednocześnie agresja dotknęła przede wszystkim regionów rosyjskojęzycznych i to ich mieszkańcy walczą na pierwszej linii frontu.

Na ten dylemat nakłada się podział współczesnych ukraińskich nacjonalistów na dwie grupy. Pierwszą stanowią „banderowcy starej daty". Czyli głównie środowisko partii Swoboda, związane z zachodem kraju, gdzie tradycje OUN i UPA są wciąż żywe. Ugrupowanie od lat 90. konsekwentnie opowiada się za całkowitą ukrainizacją, antyrosyjskim sojuszem z państwami Zachodu (głównie z USA i Europą Środkowo-Wschodnią) czy kultem Bandery i Szuchewycza. Do 2004 r. nosiło nazwę Narodowosocjalistyczna Partia Ukrainy.

Dopóki Kijów (za czasów Kuczmy) prowadził wielowektorową politykę, ciążąc jednak raczej ku Moskwie, nacjonalizm był na marginesie. Stawał się mainstreamem, gdy władzę nad Dnieprem przejmowały siły prozachodnie. Neobanderowcy byli awangardą obu ukraińskich rewolu-

eprasa.pl 52e0f83c74

cji. Retoryka porewolucyjnych prezydentów Juszczenki i Poroszenki była mieszanką haseł prounijnych, proamerykańskich i nacjonalistycznych. Jednocześnie obok „banderowców starej daty" do głosu zaczęli dochodzić „nowocześni nacjonaliści". Czyli środowisko, z którego w 2014 r. zrodził się batalion (obecnie brygada) „Azow". Jego trzon stanowili pochodzący z Charkowa bojówkarze organizacji Patriota Ukrainy, powiązanej ze Zrzeszeniem Narodowosocjalistycznym. Jeden z nich – Andrij Biłecki – został pierwszym dowódcą „Azowa". Na jego bazie utworzył partię Korpus Narodowy. „Azow" nie jest bezpośrednio powiązany z żadnym ugrupowaniem, a w jego szeregach walczą nie tylko nacjonaliści. Oficjalnie wchodzi w skład Gwardii Narodowej. Można jednak mówić o szeroko rozumianym ruchu azowskim i jego ideologii.

Ruch narodził się na rosyjskojęzycznym południowym wschodzie kraju. Dla azowców rasa jest ważniejsza niż język, dlatego – choć opowiadają się za ukrainizacją – nie uważają za zdrajcę każdego rodaka, który mówi po rosyjsku (sami zresztą tym językiem się posługują). Czują się przedstawicielami cywilizacji europejskiej, ale nie tyle chrześcijańskiej, ile aryjskiej. Poza OUN i UPA wyznają również kult dawnej Rusi Kijowskiej. Szczególnie tej pogańskiej, sprzed chrztu. W 2017 r. w bazie pułku „Azow" w Mariupolu ustanowiono pomnik Peruna – w rocznicę zwycięstwa księcia Światosława nad Chazarami. Pogański władca, który rozgromił wyznawców judaizmu, to idealny bohater dla antysemicko nastawionych narodowych socjalistów.

W szeregach „Azowa" szkolili się i walczyli biali suprematyści z krajów zachodnich. Oskarżenia pod adresem ruchu o neonazizm formułowane były nie tylko przez Rosjan, lecz także przez Amerykanów. Ruch azowski ideologicznie wpisuje się w zachodni nurt Nowej Prawicy (Nouvelle Droite), prezentujący postawę antychrześcijańską, neopogańską, a także antyliberalną i antyimigrancką (sprzeciw wobec multikulturalizmu).

Gdzieś pośrodku nacjonalistycznej sceny znajduje się Prawy Sektor – powstały na bazie Euromajdanu, łączący banderyzm z nowoczesnym nacjonalizmem. Wspólnym mianownikiem wszystkich tych grup jest sprzeciw wobec „zachodniego liberalizmu i rosyjskiego imperializmu".

Nacjonaliści walczą też z lewicową ideologią, przemycaną na Ukrainę przez zachodniego sojusznika. Sprzeciwiają się LGBT czy protestują, gdy amerykański transseksualista zostaje rzecznikiem Obrony Terytorialnej. Tymczasem ukraińskie władze i elity chwalą lewicowe pomysły, jednocześnie przy tym wypisując sobie Banderę i Szuchewycza na sztandarach. Wzrost poparcia dla wejścia do NATO wśród mieszkańców Donbasu został przez politologa Serhija Tarana skwitowany następująco: „Wschód Ukrainy staje się banderowski". LGBT, OUN i UPA łączą się w tym ideologicznym koktajlu, którego smak można określić jako antyrosyjski i prozachodni zarazem.

WALKA O JĘZYK

Między nacjonalistami też jednak wybuchają konflikty. Najbardziej jaskrawym przykładem jest burza wokół wypowiedzi Iryny Farion. Wieloletnia działaczka partii Swoboda, była parlamentarzystka, językoznawczyni wykładająca na Politechnice Lwowskiej, słynie z radykalizmu w obronie języka. Jakiś czas temu skrytykowała reprezentantkę Ukrainy na Eurowizji, ponieważ jej pseudonim (Alyona Alyona) to rosyjskie imię, którego ukraiński wariant powinien brzmieć Ołena.

Farion wyspecjalizowała się w krytyce swoich rodaków mówiących po rosyjsku. Jej zdaniem walka o język jest ważniejsza niż ta na froncie, bo dopóki język rosyjski będzie się pojawiał w ukraińskiej przestrzeni publicznej, dopóty Putin będzie miał pretekst, by Ukrainę „wyzwalać". „Jesteście śmieciami, które niechybnie wymieciemy z kraju. Inaczej wojna będzie wieczna. Suki dalej będą służyć Putinowi" – pisała językoznawczyni o rodakach mówiących w języku wroga. Jej zdaniem nie istnieje taki termin jak „ludność rosyjskojęzyczna". „Są Ukraińcy i są kacapy. I jest bagno. To bagno to janczarzy. Ci janczarzy to przestępcy, zdrajcy" – grzmiała. „Nie mogę nazwać ich Ukraińcami. Jeśli nie mówią po ukraińsku, to niech nazywają siebie »ruskimi«" – tak z kolei mówiła o rosyjskojęzycznych azowcach broniących Mariupola przed Rosją. Nie był to pierwszy raz, gdy Farion mieszała z błotem azowców. Gdy Rosjanie wypuścili część wziętych do niewoli obrońców Azowstali, Farion komentowała: „Chwała Bogu, nie wypuścili wszystkich". Swoje stanowisko w jednym z wywiadów opisała przy użyciu antypolskiego przykładu. Otóż Polacy „zagarnęli" Galicję w XIV w. Wobec tego absurdem byłoby, gdyby w 1942 r. partyzanci UPA mówili po polsku (czyli językiem ówczesnego „okupanta").

Wypowiedzi o azowcach wywołały nad Dnieprem powszechne oburzenie. SBU wszczęła przeciwko skandalistce postępowanie karne. Zareagowali również sami azowcy. „Nikt nie dał tobie prawa otwierać gęby w stronę bojowników »Azowa« […] czy jakiegokolwiek innego pododdziału armii ukraińskiej. A zatem wypier…aj" – napisał na Telegramie Maksym Żorin, były dowódca „Azowa". Choć na co dzień posługuje się ukraińskim, post napisał po rosyjsku, „specjalnie dla Iryny Farion". Nazwał ją „skończoną pi.dą", która działa na rzecz rozłamu w społeczeństwie ukraińskim, stosując metody FSB. Oficer „Azowa" i obrońca Azowstali Dmytro Andriuszczenko przyznał z kolei, że Ukraińcy powinni mówić po ukraińsku po to, aby w ten sposób wygrywać wojnę informacyjną zarówno z Rosją, jak i z takimi osobnikami jak Farion.

Sama skandalistka nie zawsze była taką ukraińską patriotką. W latach 80. była komsomołką. Przełożeni opisywali ją jako sumienną i zdyscyplinowaną aktywistkę, która propagowała naukę języka rosyjskiego wśród obcokrajowców. Farion tłumaczyła, że wstąpiła do partii komunistycznej, aby zniszczyć ją od środka. Jak się okazuje, zawsze była radykalna w swoich poglądach. I tych komunistycznych, i tych nacjonalistycznych. Za wypowiedzi o azowcach została zwolniona z Politechniki Lwowskiej. Spór z uczelnią wygrała w sądzie. Wróciła do pracy i dostała odszkodowanie.

Choć w warunkach wojny nacjonalizm stał się ostatecznie głównym nurtem nad Dnieprem, to nacjonalistyczne partie de facto zawiesiły swoją działalność, a ich działacze poszli na front. I gotowi są, w razie potrzeby, otworzyć również front wewnętrzny. Gdy pojawiły się informacje, że Zełenski rozważa kompromis z Moskwą i oddanie części okupowanych terenów, szef sztabu „Azowa" Bohdan Krotewycz stwierdził, że nie może być pokoju bez zwycięstwa, i zagroził władzom w Kijowie: „Nie zostawimy potomkom tej wojny. I wy też nie zostawicie, bo jeśli spróbujecie, to będzie z wami źle".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

Modi liczy na cud

Z dr. Krzysztofem Iwankiem, ekspertem do spraw Indii
rozmawia Piotr Włoczyk

Werdykt głosujących w największych wyborach świata był szokiem dla polityków Indyjskiej Partii Ludowej (BJP). Obóz premiera Narendry Modiego liczył, że uda mu się zdobyć nawet 400 mandatów w liczącej 543 przedstawicieli Izbie Ludowej i dzięki temu dostanie bardzo silny mandat do dalszego głębokiego reformowania państwa. Jednak 642 mln wyborców, głosując przez sześć tygodni, nie dało mu tak miażdżącej większości. Na początku czerwca okazało się, że choć koalicja pod wodzą Modiego nadal będzie rządzić Indiami (zdobyła 293 mandaty – o 60 mniej niż pięć lat temu), to pozycja premiera jest po ostatnich wyborach najsłabsza od dekady. Modi, obiecujący rodakom uczynienie z Indii światowego mocarstwa gospodarczego, będzie się musiał dużo bardziej liczyć ze zdaniem swoich współkoalicjantów. Jego własna wizja potężnych Indii staje więc pod znakiem zapytania.

PIOTR WŁOCZYK: Czy „Viksit Bharat" Narendry Modiego to odpowiednik „Chińskiego Marzenia" Xi Jinpinga?

DR KRZYSZTOF IWANEK: Widać tu duże podobieństwa. Obaj przywódcy malują przed swoimi społeczeństwami świetlane perspektywy.

Plan „Viksit Bharat" („Rozwinięte Indie") przewiduje, że do 2047 r. – 100. rocznicy uzyskania niepodległości – Indie dołączą do grona państw rozwiniętych. Czy rzeczywiście państwo to ma szansę powtórzyć chiński „cud" gospodarczy?

Indie są dziś mniej więcej na podobnym etapie rozwoju jak Chiny trzy dekady temu. Pod względem nominalnego PKB ich gospodarka jest obecnie ok. siedmiu razy mniejsza od chińskiej. To wciąż społeczeństwo w 60 proc. wiejskie. Premier Narendra Modi chce, by Indie stały się nową fabryką świata. Stara się przyciągnąć jak najwięcej inwestycji zagranicznych, głównie w przemysł ciężki. I chce też uzyskać transfer technologii, jak miało to miejsce w przypadku Chin.

Indie wciąż czeka ogromna migracja ludzi ze wsi do miast, ale najpierw trzeba zbudować wielkie zakłady produkcyjne, gdzie będą mogli pracować niewykwalifikowani lub słabo wykwalifikowani ludzie. Moment na realizację tych planów

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. ADNAN ABIDI/REUTERS/FORUM

jest teraz o tyle dobry, że Chiny mają właśnie problem z pozyskiwaniem nowych inwestycji, m.in. z powodu wzrostu kosztów produkcji w tym kraju.

Coraz ostrzejszy konflikt USA – Chiny również nie pomaga tym ostatnim w przyciąganiu inwestycji. Modi stara się wykorzystać ten moment?

Premier Indii nie ma innego wyjścia, ponieważ jego społeczeństwo cały czas rośnie pod względem demograficznym. Indie są już prawdopodobnie najludniejszym krajem świata. Nie mamy tu stuprocentowej pewności, ponieważ ostatni spis ludności przeprowadzono w Indiach 13 lat temu.

Chiny są dla Indii równocześnie największym partnerem handlowym, a także największym rywalem. Władze w Nowym Delhi chcą być niezależne od Chin, ale jednak zachodnie technologie są generalnie zbyt drogie dla tego państwa i Indie nie mogą się tak łatwo uwolnić od powiązań gospodarczych z Chinami.

Natomiast nie przywiązywałbym się za bardzo do daty realizacji „Viksit Bharat". Indie mają oczywiście szansę zbliżyć się pod względem gospodarczym do Chin, ale to jednak perspektywa wielu dekad.

Czyli nie tak łatwo będzie Modiemu powtórzyć to, co przez ostatnie dziesięciolecia działo się z gospodarką Państwa Środka?

To nie będzie takie proste, ponieważ mamy tu kilka kluczowych różnic. Przede wszystkim Indie nie są państwem autorytarnym. W Chinach rozwój jest centralnie planowany i nad wszystkim czuwa Pekin. Spójrzmy choćby na kwestię własności ziemi. Chińczykom łatwo było tworzyć wielkie strefy gospodarcze i doprowadzać do nich niezbędną infrastrukturę w sytuacji, gdy ziemia należy tam do państwa. Chińskim władzom nietrudno było przesiedlać ludzi, by robić miejsce dla ogromnych projektów.

W Indiach jest inaczej. Za każdym razem państwo musi w takich przypadkach postępować wedle określonych procedur, chłopi mogą walczyć o swoje przed sądami, w związku z czym już na tym poziomie pojawiają się problemy.

Na pewno też edukacja nie gra na korzyść „Viksit Bharat".

Tak. Chociaż w Indiach nie brakuje dobrych uczelni, to jednak generalnie państwowe szkolnictwo podstawowe i średnie jest na dość niskim poziomie. Dane z ostatniego spisu pokazywały, że co czwarty obywatel tego kraju jest niepiśmienny… W Chinach sytuacja jest w tym kontekście nieporównanie lepsza – tamtejsi robotnicy są dużo lepiej przygotowani do pracy. Problemem Indii jest też duża korupcja, która nigdy nie sprzyja pozyskiwaniu inwestycji.

Jednak akurat bardzo młoda populacja jest ogromnym plusem na tle Chin.

Indie mają w tej kwestii ewidentną przewagę, i to w perspektywie długofalowej. W Indiach nikt nie prowadził polityki jednego dziecka, która przyniosła tak fatalne skutki na dłuższą metę, zmieniając postrzeganie dzieci. Inna rzecz, że Chińczycy najprawdopodobniej ukrywają to, jak bardzo ich populacja się kurczy i starzeje – prawdziwe dane są zapewne jeszcze gorsze niż oficjalne. Jednak bardzo zdrowa demografia może być w przypadku Indii również czynnikiem niestabilności. Większość pracowników związana jest z rolnictwem, które generuje ogromne zatrudnienie, ale przynosi tylko niewielką część PKB. Jeżeli gospodarka nie będzie odpowiadała na zapotrzebowanie tego ogromnego rynku pracy, to władze w Nowym Delhi będą musiały się mierzyć z niezadowoleniem setek milionów ludzi chcących się wyrwać z biedy.

Zresztą już teraz widać ten problem. Modi ściąga inwestycje, ale za wolno, i generują one zbyt mało miejsc pracy. I to głównie dlatego elektorat pokazał mu żółtą kartkę w wyborach, które właśnie się odbyły. Wciąż więc niepewne jest, czy Indiom uda się wykorzystać czynnik demograficzny. Niewykluczony jest też przeciwny scenariusz: implozja i niepokoje społeczne.

Skopiowanie chińskiego „cudu" wcale nie jest więc oczywiste. Zresztą obecnie w Indiach, wbrew intencjom Modiego, szybciej rośnie eksport usług niż towarów. Nie kojarzymy przecież tego kraju z produkcją jakichś hitów eksportowych. No, może poza herbatą.

Jednakże wszyscy świetnie wiedzą, że Indie to potęga w sektorze call center.

Dokładnie. Indie słyną z outsorcingu, również tego bardziej specjalistycznego

eprasa.pl 52e0f83c74

niż call center. Przykładowo: amerykańskie szpitale płacą indyjskim lekarzom za analizowanie prześwietleń rentgenowskich. Z kolei indyjscy inżynierowie projektują dla amerykańskich korporacji procesory, które są następnie produkowane na Tajwanie. Relatywnie niewielka grupa ludzi wytwarza więc dużą część PKB Indii, ale Modi musi teraz stworzyć setki milionów miejsc pracy dla niewykwalifikowanych lub słabo wykwalifikowanych pracowników.

W Indiach żyje więcej supermiliarderów niż w całej Europie, ale kilkaset milionów Indusów egzystuje w standardzie życia, który może przywodzić na myśl XIX w.

Aspirujące do odgrywania coraz większej roli Indie to wciąż bardzo biedny kraj. Mieszczą się wprawdzie w pierwszej piątce państw pod kątem nominalnego PKB, ale już pod względem PKB per capita ten kraj bliski jest raczej afrykańskiej średniej.

Niedawno Indiom udało się wyprzedzić Wielką Brytanię i niewiele im brakuje do Japonii i Niemiec, natomiast od drugich Chin oddziela je już prawdziwa przepaść. Indie to w tym zestawieniu kraj o największym rozwarstwieniu społecznym. W państwie tym żyje więcej supermiliarderów niż w całej Europie, ale kilkaset milionów Indusów egzystuje w standardzie życia, który może przywodzić na myśl XIX w.

I bardzo trudno jest tu wprowadzić poważne reformy. Przykładem może tu być niedawna reforma Modiego w armii. Premier postanowił zmniejszyć nieco liczebność sił zbrojnych, by zaoszczędzone pieniądze podniosły jakość wojska. Ruch ten spotkał się jednak z wielkim niezadowoleniem ze strony jego koalicjantów. Armia jest bowiem doskonałym pracodawcą z perspektywy przeciętnego Indusa i zawsze garnie się do niej więcej ludzi, niż jest miejsc. Nie dość, że oferuje stabilne zatrudnienie za niezłe pieniądze, to jeszcze dostaje się tam pełne zabezpieczenie socjalne z emeryturą na czele. W Indiach jest to wyjątek – szacuje się, że aż 80 proc. ludzi pracuje tam bez żadnych umów.

I teraz, gdy koalicjanci Modiego mają dużo więcej do powiedzenia, będą dążyli do odkręcenia tej reformy, by zyskać w oczach wyborców. To pokazuje skalę wyzwań stojących przed reformatorskimi dążeniami Modiego.

Premier Indii wygrał wprawdzie – razem ze swoimi koalicjantami – ostatnie wybory, ale jednak osiągnął wynik dużo gorszy od spodziewanego. Czar Modiego prysł po dwóch kadencjach?

Na to wygląda. Udało mu się osiągnąć zbyt mało względem potrzeb. Nawet roczny wzrost PKB na poziomie 7 proc. nie wystarczył. Indie muszą generować kilkanaście milionów miejsc pracy rocznie, by dać zatrudnienie ludziom z terenów wiejskich, a to wciąż cel, którego na razie nie udaje się osiągnąć.

Wiele się mówi o tym, że Modi traktuje muzułmanów jako ciało obce. Czy premier Indii rzeczywiście stara się ich zepchnąć na margines?

W dużej mierze tak. Modi to hinduski nacjonalista – reprezentuje nurt nacjonalistów, którzy swoją tożsamość narodową opierają na religii hinduistycznej. Pamiętajmy, że gdy na początku XXI w. Modi był premierem stanu Gudźarat, zachowywał się kompletnie biernie podczas pogromów muzułmanów. Zamordowano wówczas ok. 2 tys. wyznawców islamu. Z tego powodu USA i Wielka Brytania długo nie wpuszczały go na swoje terytorium. Modi nigdy za to nie przeprosił. Głośno było niedawno o otwarciu przez niego świątyni Ramy zbudowanej w mieście Ajodhja w miejscu zburzonego meczetu. I to nieprzypadkowo właśnie tam Modi zaczął ostatnią kampanię wyborczą.

Do tak wielkich pogromów jak w Gudźarat nie dochodziło już, odkąd został on premierem kraju, ale jednak od czasu do czasu słyszymy o kolejnych aktach zmasowanej przemocy wymierzonej w muzułmanów. W stolicy Indii w 2020 r. doszło do zamieszek antyislamskich wywołanych przez członków partii Modiego. To zdecydowanie negatywny aspekt rządów premiera. Teraz jednak, gdy jego pozycja polityczna jest mniej pewna, ta polityka spychania islamu na margines może zostać przyhamowana.

Ostatnio znów słychać było o tym, że żołnierze indyjscy i chińscy okładali się na granicy kijami. Dlaczego siły zbrojne obu mocarstw atomowych uciekają się do takich metod?

To akurat bardzo pozytywne – w tym sensie, że pozwala unikać eskalacji. Na początku lat 90. Chiny i Indie stwierdziły, że z powodu sporów granicznych muszą zbudować taki system, by współistnieć w warunkach akceptowalnej przemocy. I skoro żołnierze obu państw dostali zakaz używania broni palnej, to w przypadku zaistnienia konfliktowej sytuacji okładają się kijami.

Indiom jest bliżej do Zachodu czy do Rosji?

Indiom zależy na tym, by nie być w sojuszu ani z Rosją, ani z Zachodem, i zachować partnerstwo z oboma stronami. Nowe Delhi nie myśli obecnie o ekspansji globalnej, powiedziałbym, że przede wszystkim skupia się na swoim własnym „podwórku". Indie nie mają takiej siły gospodarczej jak Chiny, więc nie starają się sięgać wpływami daleko w Azji czy na inne kontynenty. Zamiast tego walczą o wpływy z Chinami u swoich sąsiadów. Przykładowo: ostatnio Malediwy podpisały z Chinami umowę o bezpieczeństwie i współpracy z Chinami. Efektem było usunięcie z Malediwów żołnierzy indyjskich. Z podobnymi problemami Indie mierzą się w relacjach z Nepalem i Bhutanem, które to kraje Chiny starają się wciągnąć w swoją orbitę.

Indie czują się okrążane przez Chiny?

Tak. To jest główny problem geopolityczny Indii. Pakistan, bardzo wrogi Indiom, to już od lat oddany sojusznik Chin.

Czyli patrząc realnie: Indie wciąż są bardzo dalekie od przewodzenia Globalnemu Południu?

Używając porównania sportowego, Indie to bokser aspirujący do wagi ciężkiej, ale mimo swojej ogromnej masy, jeżeli chodzi o demografię, wciąż jednak walczy w kategorii junior ciężkiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Doktor Krzysztof Iwanek jest koordynatorem do spraw Indii w Fundacji Instytut Studiów Wschodnich.

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. KNARVIKMILA.NO

KRÓTKA RADOŚĆ Z REKORDÓW

W norweskim Knarvik odbyły się maraton i półmaraton. Sportowcy chwalili organizację, kilku ustanowiło życiowe rekordy. Po tygodniu wszyscy odebrali niemiłą wiadomość od organizatora. Okazało się, że znacznik na trasie biegu został źle ustawiony. Ci, którzy biegli półmaraton, przebiegli dystans za krótki o 440 m, a do przebiegnięcia pełnego maratonu brakowało aż 880 m. Rekordy biegaczy nie będą uznawane.

SEKSSKANDAL W LONDYŃSKIM WIĘZIENIU

Funkcjonariuszka służby więziennej w więzieniu HMP Wandsworth uprawiała seks z jednym z osadzonych. A to nie wszystko. Odbywało się to w celi, w obecności drugiego więźnia. I to jeszcze nie wszystko – ten drugi więzień nagrywał to na smartfona i strażniczka dobrze o tym wiedziała. Nagranie trafiło do Internetu. Okazało się, że strażniczka jest zamężna, a także prowadzi konto w serwisie, w którym panie rozbierają się przed kamerami czy pokazują sceny seksualne za pieniądze od widzów. Brała też wcześniej udział w brytyjskim programie telewizyjnym, w którym opowiadała o swoim zamiłowaniu do seksu. Za złamanie prawa została aresztowana i czeka na proces.

TO NIE JEST KRAJ DO PICIA

Picie piwa w niemieckiej restauracji może skończyć się wezwaniem policji. Jeśli będzie się za każde piwo płacić kartą. To spotkało pewnego Łotysza w Mamming. Kupował po kolei piwa i za każde płacił kartą. Po 16. piwie właściciel przybytku wezwał policję. Miał za złe klientowi, że płaci elektronicznie, co oznacza pobieranie od każdego zysku 20 eurocentów. Policja uznała, że do przestępstwa nie doszło, ale klienta wyproszono.

DZIADEK I SPADEK

Dwie siostry z Genui odkryły w domu zmarłego dziadka schowek z pieniędzmi. Odnalazły w nim w bankotach w sumie 158 mln lirów, czyli ok. 81 tys. euro. Radość trwała krótko. Po 10 latach od wprowadzenia euro włoskie banki nie wymieniają już lirów na inną walutę.

PO BUTELCE

Sześciu żeglarzy ze Sri Lanki wyłowiło z morza butelki z płynem. Uznali, że to alkohol, i wypili. Czterech zmarło na statku, dwóch pozostałych zabrano na statek ratunkowy – jeden z nich zdążył zejść, zanim doczekał pomocy. Butelki z płynem zabezpieczono do badań. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polska rakieta w kosmosie!

Bursztyn. A dokładnie: ILR-33 BURSZTYN 2K. Tak nazywa się suborbitalna rakieta, która w ubiegłym tygodniu pozytywnie zaliczyła testowy start z Norwegii i zdołała przekroczyć kluczowy poziom 100 km n.p.m., czyli tzw. linię Karmana, będącą umowną granicą między ziemską atmosferą a przestrzenią kosmiczną.

Ten historyczny sukces polskich inżynierów z Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa to znakomity wstęp do podboju kosmosu. Polacy przez dekady byli znakomitymi specjalistami w zakresie technologii lotniczych. I są nimi nadal. Jak czytamy w komunikacie Polskiej Agencji Kosmicznej, inżynierowie z Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa opracowali nie tylko innowacyjny hybrydowy silnik rakietowy (BURSZTYN to pierwsza w historii rakieta, w której wykorzystano ekologiczny nadtlenek wodoru), a także np. modułowy komputer pokładowy czy mobilną autonomiczną wyrzutnię WR-2. BURSZTYN potrafi się poruszać z prędkością niemal 1,4 km/s.

Polski rząd powinien więc zrobić, co możliwe, aby pomóc naszym naukowcom w szybkim rozwoju polskich technologii rakietowych, które można będzie wykorzystywać i w celach naukowych (np. do badań atmosfery), i dla potrzeb przemysłu kosmicznego.

Sektor kosmiczny to najbardziej dynamicznie rozwijająca się gałąź gospodarki na świecie. Wartość kosmicznego rynku już szacowana jest na ponad 400 mld (!) dol., a w ciągu najbliższej dekady ma przekroczyć 900 mld dol. Polacy mają coraz więcej ambitnych specjalistów, którzy mogą brać udział w kluczowych kosmicznych projektach. Czas więc na polski podbój kosmosu! ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

Jakub Wozinski

Unijny dług widmo

Zaciągnięty na potrzeby Funduszu Odbudowy wspólny dług przekroczył już wartość 1 bln euro, a mimo to nie zalicza się go do zadłużenia żadnego z państw członkowskich. Kogo dokładnie więc obciąża?

Przez wiele lat wydawało się, że każde państwo członkowskie Unii Europejskiej pragnące żyć ponad stan musi liczyć się z pewnymi istotnymi konsekwencjami. Uchwalony w 1997 r. pakt stabilności i wzrostu wprowadzał limity zakazujące utrzymywania deficytu wyższego niż 3 proc. PKB oraz zadłużenia przekraczającego 60 proc. PKB. Co prawda, wiele państw, z Francją czy Włochami na czele, nie przejmowało się nigdy tymi regułami, lecz przynajmniej odczuwały skutki tego rodzaju działań na własnej skórze, m.in. poprzez rosnące koszty obsługi zadłużenia.

PANDEMICZNA GENEZA

Wieloletnie przymykanie oczu na nieprzestrzeganie reguł fiskalnych było jednak zupełnie niczym wobec tego, co nastąpiło w 2020 r., gdy niemal wszystkie rządy zaczęły wyniszczać swoje gospodarki tzw. polityką pandemiczną. Bruksela wspaniałomyślnie zgodziła się na całkowite zawieszenie wszystkich zasad, co przyczyniło się do wybuchu inflacji oraz zaostrzenia kryzysu zadłużenia. Eurokraci mieli w tym jednak swój własny interes, ponieważ przy okazji pandemicznej zawieruchy udało im się przeforsować przełomowe rozwiązanie, które w zadziwiający sposób nie wzbudza niepokoju większości komentatorów ekonomicznych czy politycznych.

Owo rozwiązanie to bodajże pierwszy w historii dług zaciągnięty na tak dużą sumę, który znalazł się w absolutnej próżni, jeśli chodzi o księgowanie publicznych wydatków. Unia Europejska jest na co dzień dosyć skrupulatna, jeśli

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 52e0f83c74

chodzi o wyliczanie kwoty wszystkich zobowiązań swoich członków, a stosowana przez nią metodologia jest dużo bardziej rygorystyczna niż nasza krajowa. W niewytłumaczalny sposób nie wlicza jednak żadnemu z 27 państw członkowskich do sumy zadłużenia środków, które wspólnie wydatkują w ramach Funduszu Odbudowy. Stosowanie tego rodzaju kreatywnej księgowości zwyczajnie nie może się dobrze skończyć.

Jak dobrze wiadomo, unijny Fundusz Odbudowy od samego początku miał bardzo niewiele wspólnego z jakkolwiek pojętą odbudową, gdyż niemal w całości podporządkowany został zielonej transformacji i zrównoważonemu rozwojowi. Prawdziwą intencją jego twórców od początku było przymuszenie państw członkowskich do akceptacji mechanizmu kładącego fundament pod budowę europejskiego państwa federalnego. Notujące rekordowe deficyty i uciekające się do dodruku pieniądza na dużą skalę unijne państwa przyjęły propozycję uruchomienia ponad 800 mld euro na nowe inwestycje z niekrytym entuzjazmem; tym bardziej że owe środki miały pochodzić z zupełnie nowej puli, wykraczającej poza standardowe sześcioletnie budżety unijne.

Podczas gdy ówczesny premier Mateusz Morawiecki fetował latem 2020 r. zdobycie dla Polski 750 mld zł, na europejskich salonach świętowano „Hamiltonowski moment" Europy. Zwykło się uważać, że największy błąd popełniony przez Zjednoczoną Prawicę w związku z Funduszem Odbudowy polegał na późniejszej akceptacji dla mechanizmu warunkowości, gdyż Komisja Europejska uzyskała w ten sposób narzędzie do bezpośredniego oddziaływania na polską politykę wewnętrzną. W rzeczywistości dużo poważniejsze mogą się okazać konsekwencje wyrażenia zgody na wspólny unijny dług.

EUROPEJSKA WERSJA TREASURIES

Pierwotnie zakładano, że zaciąganie premierowego długu Unii Europejskiej zostanie rozłożone na pięć lat. Pod koniec 2022 r. wartość wyemitowanych obligacji wyniosła już 300 mld euro, a zaplanowaną dopiero na 2026 r. kwotę 1 bln euro osiągnięto już wiosną tego roku. Powód? Po pierwsze – inflacja, a po drugie – nieoczekiwane dla pomysłodawców kłopoty związane z wyceną długu. Okazało się bowiem, że inwestorzy z całego świata wycenili wspólnotowy dług tak samo, jakby zapożyczały się Hiszpania lub Francja. Tak wielkiej wizerunkowej wpadki nie zakładał chyba nikt.

W 2020 r. zakładano, że premierowe unijne obligacje staną się wielką konkurencją dla amerykańskich treasuries, czyli najbardziej płynnych instrumentów finansowych na świecie. W przeciwieństwie jednak do amerykańskich obligacji skarbowych ich europejskie odpowiedniki nie są ściśle gwarantowane przez żadne państwo. Europejskie państwo federalne jest dopiero w trakcie tworzenia, a podatki mające służyć spłacie 1 bln długu są dopiero ustalane. Unia Europejska bardzo prze do tego, aby powiększyć pulę tzw. zasobów własnych (czyli środków pozyskiwanych m.in. z systemu handlu emisjami EU ETS, węglowego cła granicznego czy też podatku od zysków korporacyjnych), ale stanowią one wciąż zdecydowanie za mało, aby spłacić tak wielkie zobowiązania. Już dziś wiadomo, że Bruksela będzie musiała sięgnąć do kieszeni mieszkańców Europy dużo głębiej niż zakładano, a przecież i tak cały kontynent stoi w obliczu ogromnych poświęceń finansowych związanych z wdrażaniem Zielonego Ładu. Nie dziwi więc to, że inwestorzy są co najmniej ostrożni wobec wspólnotowego długu.

1 bilion euro

TĘ WARTOŚĆ PRZEKROCZYŁ JUŻ ZACIĄGNIĘTY NA POTRZEBY FUNDUSZU ODBUDOWY WSPÓLNY DŁUG

Eurokraci zakładali początkowo, że ich brawurowa decyzja z 2020 r. pomoże im upiec wiele pieczeni na jednym ogniu. Po pierwsze, wspólne zadłużenie się wspólnoty miało znacząco obniżyć koszt kredytu i otworzyć wielki kurek z pieniędzmi. To oczywiście się nie udało, o czym świadczy stosunkowo wysoka rentowność obligacji. Po drugie, nowy dług zaciągnięty na realizację zielonych inwestycji miał uczynić z Unii Europejskiej światowego lidera w zakresie wdrażania zrównoważonych inwestycji. To również się nie udało, ponieważ europejski biznes ucieka coraz częściej choćby do Stanów Zjednoczonych, gdzie uchwalony w sierpniu 2022 r. Inflation Reduction Act okazuje się dużo bardziej atrakcyjny. Po trzecie wreszcie, wspólnotowa pożyczka miała sprawić, że powstanie europejskiego superpaństwa będzie już tylko formalnością. Okazuje się tymczasem, że zamiast stworzenia mechanizmu skłaniającego wszystkie państwa członkowskie do szybszej unifikacji nowy dług przyczynił się do wytworzenia kolejnych tarć.

W dość nieoczekiwany sposób jednym z krytyków wspólnotowego długu są przedstawiciele Bundesbanku. Jego prezes Joachim Nagel stwierdził niedawno kategorycznie, że wspólne zadłużanie poza programem NextGenerationEU nie powinno mieć miejsca ze względu na niepotrzebne zwiększanie poziomu wydatków publicznych. Tego typu opinie mogą być tylko zasłoną dymną, lecz z pewnością u części niemieckich elit dojrzewa myśl, że spodziewany „moment Hamiltonowski" zamiast odciążyć Niemcy, jeszcze bardziej wzmógł na nich presję jako głównych gwarantów bilionowego długu (koszt unijnego długu jest obecnie wyższy niż niemieckiego).

CHWILA ZAWAHANIA

Obecny moment zawahania i niepewności daje niewątpliwie pewną nadzieję. Projekt wspólnego zadłużania się państwa Europa miałby dużo większą szansę na powodzenie, gdyby Unia Europejska już teraz dała rynkom jasny sygnał, że po 2026 r. będzie się dalej zadłużała na kolejne biliony. Ogromne powodzenie amerykańskich obligacji skarbowych wynika przecież m.in. z tego, że wszyscy mają absolutną pewność, iż za 10 czy 50 lat USA będą emitowały wciąż nowe transze swojego długu. W przypadku premierowej emisji europejskiego długu takiej pewności nie ma, co zdecydowanie nie sprzyja finansowej opłacalności całego projektu.

Największe niebezpieczeństwo z punktu widzenia suwerenności państw członkowskich polega na tym, że poręczywszy za tak znaczną kwotę, wszystkie rządy znajdą się wkrótce

eprasa.pl 52e0f83c74

przed dylematem: czy wziąć na siebie rozłożoną na kilkadziesiąt lat spłatę na niekorzystnych warunkach czy raczej próbować obniżyć sobie koszty, prolongując wspólne zadłużanie także po 2026 r. Nietrudno zgadnąć, do którego rozwiązania będzie chciała skłonić czy też raczej przymusić wszystkich Brukseli.

Czynnikiem, który może w szczególności zaważyć na decyzji państw członkowskich, jest wspomniany już fakt niewliczania im do całkowitego poziomu zadłużenia zobowiązań wynikających z unijnego długu. Perspektywa wydatkowania dodatkowych środków, które oferuje unijny dług widmo, może się wydać bardzo atrakcyjna dla wielu rządów. Nie wolno zapominać, że dla znacznej liczby państw niemalże głównym argumentem za przystąpieniem do strefy euro była właśnie wizja zerwania ze swoją niechlubną historią kredytową oraz możliwość zadłużania się po zupełnie nowych, niższych kosztach. Opcja uruchomienia kolejnego programu NextGenerationEU i wspólnego zadłużania się także po 2026 r. niesie ze sobą obietnicę niższych niż kiedykolwiek stóp procentowych.

WYSTRZAŁ DŁUGU

Samo w sobie dość niepokojące jest również to, że w tak krótkim czasie państwom członkowskim przybyła tak znaczna ilość długu. Pod koniec ubiegłego roku jego całkowity poziom zadłużenia wyniósł 13,8 bln euro, co stanowiło 82 proc. unijnego PKB. Gdyby uwzględnić dodatkowy 1 bln zadłużenia wynikający z NextGenerationEU, faktycznie byłoby to już 88 proc. PKB. Nie jest to wciąż dług nie do udźwignięcia, ale sam fakt, że aż 6 proc. długu w Unii Europejskiej znajduje się poza oficjalnymi zestawieniami, powinien wzbudzać co najmniej konsternację. Dla porównania: Stany Zjednoczone są obecnie zadłużone na ok. 31 bln euro, co stanowi ponad 123 proc. krajowego PKB, lecz amerykańska gospodarka zdecydowanie zdystansowała europejską pod względem innowacji, stosowanych technologii czy też dynamiki wzrostu.

Kolejna z problematycznych kwestii polega na tym, że nie są znane jasne kryteria podziału zobowiązań między poszczególnymi krajami, przez co nie wiadomo choćby, w jak wielkim stopniu obarczone są polskie państwo i polska gospodarka. Na razie wiadomo jedynie, ile każde z państw członkowskich musi zarezerwować środków w ramach tzw. zasobów własnych UE (0,6 proc. PKB), które są jednak niewystarczające do spłaty całego długu. Teoretycznie Bruksela powinna dokonać proporcjonalnego i sprawiedliwego podziału, lecz sprawiedliwość jest w Unii Europejskiej rozumiana w bardzo specyficzny sposób, o czym najlepiej przekonaliśmy się choćby przy okazji narzucenia paktu imigracyjnego.

Rozdmuchany balonik długu w końcu pęknie i niestety nie skończy się to dla Unii Europejskiej zbyt dobrze. Należy pamiętać, że Fundusz Odbudowy niemal w całości został podporządkowany wdrażaniu zielonej transformacji

Unijny dług widmo to szczególnie zuchwała próba zastosowania kreatywnej księgowości. Gdyby tego rodzaju pożyczkę próbowały uzyskać firmy prywatne lub instytucje, musiałyby się liczyć z poważnymi konsekwencjami prawnymi. W przypadku wspólnotowego długu w biały dzień stosuje się jednak rozwiązania, które stoją w jawnej sprzeczności z jakkolwiek pojętymi zasadami dobrego gospodarowania i ostrożności.

Rozdmuchany balonik długu w końcu pęknie i niestety nie skończy się to dla Unii Europejskiej zbyt dobrze. Należy pamiętać, że Fundusz Odbudowy niemal w całości został podporządkowany wdrażaniu zielonej transformacji. Gdy w 2020 r. decydowano się na zaciągnięcie 1 bln długu, mogło się jeszcze wydawać, że każde euro wpompowane w zrównoważony rozwój i klimatystyczną hucpę to najlepsza możliwa inwestycja ze wszystkich. Od tego czasu dużo się jednak zmieniło, a na całym świecie nastąpiło znaczące wycofanie środków z funduszy inwestujących w zielone i zrównoważone przedsięwzięcia. Polityka klimatyczna nie została wciąż oczywiście zakwestionowana w całości, ale coraz większa liczba krajów na świecie podchodzi do zielonych celów z większą ostrożnością i pragmatyzmem.

ZAPŁACĄ PRZYSZŁE POKOLENIA

Dla pozostających wciąż w zdecydowanej większości euroentuzjastami Polaków przypadek wspólnego unijnego długu powinien zadziałać jako kolejne ostrzeżenie. Po raz kolejny okazało się bowiem, że eurokraci podejmują niezwykle ryzykowne i nieprzemyślane działania, skrywając na dodatek swoje prawdziwe intencje. Próba wymuszenia przyspieszonej federalizacji poprzez związanie wszystkich zainteresowanych bilionowym długiem odsłoniła przede wszystkim nieroztropność i niegospodarność unijnych elit.

Unijny dług widmo doskonale podsumowuje także całą zieloną politykę, która nie jest oparta na zdrowych ekonomicznych kalkulacjach, lecz polega w znacznej mierze na politycznym hochsztaplerstwie. W czasie, gdy do większości osób zaczyna powoli docierać, z jak wielkimi kosztami będzie się wiązało wcielanie w życie Zielonego Ładu, społeczeństwa całej Europy dowiedzą się wkrótce, jakie dodatkowe podatki będzie trzeba uchwalić po to, aby spłacić wspólne bilionowe zobowiązanie.

Złośliwi twierdzą, że eurokraci niestety bardzo celnie dobrali nazwę dla swojego długu widmo. Fundusz NextGenerationEU będą musiały spłacać latami kolejne pokolenia. Rozpisany na kilkadziesiąt lat harmonogram będzie obciążać najbardziej przyszłe – coraz mniej liczne – generacje. Jeśli nawet społeczeństwa całej Europy zbuntują się przeciwko Zielonemu Ładowi i doprowadzą do likwidacji najbardziej szkodliwych zarządzeń ciążących na naszych portfelach, takich jak choćby absurdalny system handlu pozwoleniami na emisję CO_2, to i tak jeszcze przez wiele lat będą musiały spłacać dług wynikający z „Hamiltonowskiego momentu" Unii Europejskiej. Europejski dług widmo z pewnością jeszcze nieraz da o sobie znać, niestety raczej nie w pozytywny sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 52e0f83c74

FOT. JAP

SUZUKI ACROSS

Czy ten muskularny SUV nie wydaje się państwu dziwnie znajomy? Nie bez powodu. To bowiem kolejny przykład udanej współpracy z Toyotą, czyli wyjątkowo popularnej RAV4 z niewielkimi zmianami wprowadzonymi przez inżynierów z Suzuki (nieco inne reflektory, front i tylko jedna, ale za to najwyższa wersja napędu).

Potężne auto z wysokim prześwitem (190 mm) zaskakująco mało pali. Model Across wyposażony jest w oszczędny napęd hybrydowy typu plug-in. Silnik elektryczny o mocy 182 KM (270 Nm) napędza przednią oś i gwarantuje możliwość niezłego przyspieszenia przy niskich prędkościach. Masywny SUV o długości 4635 mm, wysokości 1690 mm i masie własnej wynoszącej niemal 2 t od zera do setki Across rozpędza się w zaledwie 6 s. Mocna jednostka elektryczna dobrze współpracuje z czterocylindrowym wolnossącym silnikiem benzynowym o pojemności 2,5 l (o mocy 185 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 227 Nm). Już jest całkiem nieźle, a to jeszcze nie koniec. Również przy tylnej osi znajduje się bowiem silnik elektryczny (tym razem o mocy 54 KM i 121 Nm). Łączna moc układu hybrydowego to 306 KM. Maksymalny zasięg w trybie EV wynosi zaś 75 km (przy ekologicznym stylu jazdy i sprzyjającej pogodzie).

Auto dobrze się prowadzi, a po zmianie trybu jazdy na sportowy zawieszenie usztywnia się na tyle, że z przyjemnością można wyjechać na trasę pełną serpentyn. Bezstopniowa skrzynia e-CVT sprawuje się bez zarzutu. Na średnie spalanie również nie można narzekać. Podczas testu w cyklu mieszanym wyniosło 6,7 l/100 km, a na autostradzie 7,7 l/100 km (to wyniki bez włączonego ładowania akumulatora, które istotnie zwiększa spalanie, ale nie pozwala w zamian przejechać zbyt wielu dodatkowych kilometrów na prądzie).

Przestronna kabina jest minimalistycznie wykończona. Kierowca ma do dyspozycji duży, 12,3-calowy wyświetlacz, którego obsługa nie należy do najbardziej przyjaznych dla użytkownika. Za sterowanie systemem infotainment odpowiada drugi ekran, 10,5-calowy. Na szczęście inżynierowie Suzuki pozostawili również pokrętło głośności oraz możliwość tradycyjnej (i przez to wygodnej) obsługi panelu klimatyzacji. Przednie fotele są wygodne, ale niestety nie mają opcji wentylowania. Na brak miejsca nie powinni też narzekać pasażerowie podróżujący na tylnej kanapie (miejsca zimą mogą być podgrzewane, a latem osoby siedzące z tyłu ucieszą dodatkowe nawiewy).

Pojemność bagażnika wynosi 490 l, a po złożeniu oparć tylnej kanapy rośnie do 1168 l. Szału nie ma (RAV4 oferuje 30 l więcej), ale w kabinie jest też sporo schowków i półek. Miłośników biwakowania na łonie natury ucieszą gniazdka 230 V oraz 12 V, co powinno wystarczyć na podładowanie niezbędnych sprzętów i lodówki turystycznej.

Suzuki Across 2.5 Plug-In Hybrid CVT w jedynej dostępnej wersji Elegance z napędem E-Four na wszystkie łapy kosztuje 284,9 tys. zł. ©℗

KOBO LIBRA COLOUR

Świetny kolorowy ekran E Ink, równomierne podświetlenie, szybkość reakcji na dotyk, opcjonalny rysik umożliwiający robienie kolorowych notatek – to największe zalety najnowszego czytnika kanadyjskiej firmy Rakuten Kobo.

Czytniki e-booków to dla mnie wyposażenie obowiązkowe na wakacyjne wyjazdy. Niewiele jest bowiem przyjemniejszych czynności niż czytanie podczas leżakowania na rozgrzanym słońcem piasku lub pod namiotem rozbitym na leśnej polanie. A że plany na urlop przeważnie są ambitne, łatwiej wziąć ze sobą czytnik niż kilka kilogramów tradycyjnie wydanych publikacji.

Testowany czytnik e-booków wyposażony jest w wyświetlacz E Ink Kaleido 3 o przekątnej 7 cali i maksymalnej rozdzielczości 1264 na 1680 pikseli (300 PPI w odcieniach szarości i 150 PPI w kolorze). Ważące 199,5 g urządzenie nie tylko pozwala cieszyć się widokiem kolorowych okładek książek, lecz także potrafi dodać mnóstwo przyjemności z pochłaniania kolejnych serii kolorowych komiksów czy oglądania pięknych grafik. Rodzice mogą zaś wykorzystać kolorowy ekran do wyświetlania w kolorze książeczek dla dzieci. Można też oczywiście czytać artykuły, a dzięki integracji z Pocket zapisywać ulubione teksty na później. Można też zakreślać różnymi kolorami ulubione fragmenty książek.

Czytnik ma 32 GB pamięci, co powinno wystarczyć na ponad 20 tys. książek. Ze światem cyfrowych treści łączyć się można za pośrednictwem wi-fi oraz Bluetooth. Kobo Libra Colour obsługuje pliki zapisane w formatach CBR, CBZ, EPUB, EPUB3, FlePub, HTML, MOBI, PDF, RTF i TXT. Czytnik pozwala także na słuchanie audiobooków Kobo. Można również robić notatki odręczne lub takie, w których pismo ręczne zostanie automatycznie przekonwertowane na cyfrowe (trzeba przypomnieć sobie, jak się pisze ręcznie, ale rozpoznawanie bazgrołów wychodzi temu urządzeniu całkiem nie najgorzej). Na pochwałę zasługują też bardzo szybki czas reakcji na dotyk oraz równomierne podświetlenie z opcją redukcji światła niebieskiego (z wykorzystaniem technologii ComfortLight PRO).

Bateria o pojemności 2050 mAh starcza nawet na kilka tygodni czytania. Przy zastosowaniach wakacyjnych (np. podczas czytania przy basenie) i domowych (np. w wannie) ważną zaletą testowanego czytnika jest wodoszczelność (IPX8 oznacza, że teoretycznie urządzenie powinno wytrzymać zanurzenie do 2 m głębokości do 60 minut).

Najpoważniejszą wadą testowanego urządzenia jest jego wysoka cena. Za Kobo Libra Colour trzeba zapłacić aż 899 zł (a do tego osobno dokupić jeszcze rysik Kobo Stylus 2 za ok. 300 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 52e0f83c74

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Zielony Ład?! Referendum!

PiS chce referendum w sprawie paktu migracyjnego. Nietrudno zrozumieć, dlaczego chce go właśnie w tej sprawie – w końcu niekontrolowana migracja do Polski to pewne zarzewie nie lada katastrofy, z której skutkami mierzą się już prawie wszystkie państwa zachodniej Europy.

Wszelako nie jestem pewien, czy do nie mniejszej katastrofy nie prowadzi również sprowadzany na nasze głowy przez Brukselę – za zgodą polskich rządów, najpierw Tuska, potem Morawieckiego i teraz znów Tuska – Europejski Zielony Ład. Oczywiście jaki z niego Europejski Zielony Ład, to wszyscy doskonale wiedzą – bo ani on „europejski", a unijny, ani tym bardziej „ład", a jeśli już „ład", to najwyżej w takim rozumieniu tego słowa, w jakim „ładem" był PiS-owski Polski Ład, który do czego doprowadził i ile wszystkich nas kosztował i nadal kosztuje – wszyscy wiemy aż za dobrze.

A zatem na pewno przydałoby się nam referendum w sprawie Unijnego Zielonego Nieładu. Tym bardziej że już znakomicie wiadomo, iż rachunki zań – za obowiązkową wymianę przez polskie rodziny wszystkich używanych przez nie pieców na węgiel i gaz, zarówno tych w polskich domach, jak i tych w polskich ciepłowniach, ogrzewających wszystkie polskie mieszkania – będą kosztować Polaków wprost niewyobrażalną sumę pieniędzy. Nie wspominając o obowiązkowej wymianie wszystkich aut z silnikami spalinowymi. I jeśli nawet nie doprowadzi nas do bankructwa, to na pewno wielu z nas zrujnuje, sprowadzając na nas biedę – nie tylko energetyczną, bo ta – oszczędzanie na ogrzewaniu i na prądzie – jest pewna i wielu z nas już dopadła.

Wszelako, jak wiadomo, trudno byłoby takie referendum – w sprawie Unijnego Zielonego Nieładu – zaproponować zarówno rządzącej większości, która (może z wyjątkiem PSL) i oficjalnie i nieoficjalnie, w kuluarach, jest za Unijnym Zielonym Nieładem, choć publicznie się tym rzadko chwali, bo to w Polsce popularności nie przysparza – jak i większości opozycyjnej, czyli PiS, który co prawda dziś na Unijnym Zielonym Nieładzie nie zostawia suchej nitki, ale za czasu swych rządów jego agendę koncertowo (z punktu widzenia Brukseli) realizował. I dlatego teraz trudno mu otwarcie zachęcać do złożenia Unijnego Zielonego Nieładu do grobu.

Może więc jest to wprost wymarzona okazja dla Konfederacji – która jako jedyna (nie licząc Suwerennej Polski) od początku i z żelazną konsekwencją zwalczała aberracyjny Unijny Zielony Nieład – aby wystąpić z ideą referendum w tej sprawie? Wykorzystując przy tym wezwanie do zorganizowania takiego referendum już ogłoszone przez Solidarność z jej wielkim aparatem związkowym? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Referendum mogło już być

Na poziomie jakiejkolwiek racjonalności Zielonego Ładu po prostu nie da się obronić. To projekt niepoparty żadnymi sensownymi wyliczeniami, całkowicie ideologiczny, niespójny, sprzeczny z wartościami takimi jak wolność wyboru czy poszanowanie prywatnej własności. A także immanentnie niewydolny finansowo i prowadzący do ruiny. Nie tylko Polski – dotyczy to niemal wszystkich europejskich narodów, które będą nim dotknięte.

Gotowanie żaby, technika salami, przesuwanie okna Overtona – różnie się to nazywa, ale sens jest ten sam

Przy czym Polska będzie prawdopodobnie najbardziej poszkodowana, a wielu Polaków, którzy już teraz z przerażeniem patrzą na swoje rachunki, za niedługi czas stanie w obliczu radykalnego zubożenia.

Rękę do tego przyłożyły wszystkie rządy na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, z rządem PiS włącznie. Procesy myślowe i polityczne, które stały za podejmowaniem kolejnych decyzji w tej sprawie, powinny się stać przedmiotem badań i dociekań, bo same w sobie są ciekawe. To już jednak niczego nie zmieni: jesteśmy, gdzie jesteśmy.

Zielony Ład to projekt do tego stopnia uderzający w naszą codzienność, zamożność, prawa, że przepychanie kolejnych jego elementów bez specjalnej, odrębnej akceptacji narodów poszczególnych państw nie powinno się zdarzyć. Oczywiście celowo Zielony Ład nie jest jednym, od razu sformułowanym aktem, ale ma formę siatki pojedynczych, stopniowo zaostrzanych i wielokrotnie nowelizowanych aktów, żeby ludziom trudniej było się połapać, co ich czeka. Sprytne. Gotowanie żaby, technika salami, przesuwanie okna Overtona – różnie się to nazywa, ale sens jest ten sam.

Dlatego pomysł referendum na ten temat wydaje się nie tylko dobry – on jest wręcz oczywisty. Wielka szkoda, że do niedawna rządząca Zjednoczona Prawica zmarnowała referendum, przeprowadzone przy okazji wyborów parlamentarnych, na propagandowo sformułowane i w części absurdalne pytania, zamiast wtedy właśnie zapytać Polaków o Zielony Ład i zrobić to w sposób możliwie neutralny. Mogliśmy już teraz mieć w ręku mocny argument przeciwko uczestnictwu Polski w tym absurdzie. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

Referendum w sprawie Zielonego Ładu

10 maja tego roku Solidarność rozpoczęła zbieranie podpisów pod wnioskiem o referendum ogólnokrajowe dotyczące Zielonego Ładu. Związek postanowił sięgnąć po najwyższą formę demokracji bezpośredniej, którą jest referendum ogólnokrajowe z inicjatywy obywateli, w którym chce zapytać Polaków o wprowadzenie w życie polityki klimatycznej w obecnym kształcie.

Solidarność chciałaby także, by odbyła się rzetelna debata na temat rzeczywistych skutków polityki klimatycznej UE, tak by każdy obywatel Polski mógł, opierając się na rzetelnej wiedzy, wyrazić swoje zdanie na ten temat. Polityka Unii Europejskiej, zdaniem Związku, nie powinna być bowiem ustalana przez urzędników w Brukseli, ale w oparciu o zgodę obywateli państw członkowskich.

Związek stoi na stanowisku, że unijna polityka klimatyczna będzie miała wpływ na każdego obywatela Polski. Dlatego każdy powinien mieć możliwość, by wypowiedzieć się, czy jest gotów ponieść koszty tzw. Zielonego Ładu.

NSZZ „Solidarność" zachęca i apeluje o podpisywanie się pod wnioskiem, a także o włączenie się w akcję zbierania podpisów. Następnie, zgodnie z procedurą referendalną, zostaną one przekazane marszałkowi Sejmu.

Więcej informacji znajduje się na stronie:

www.preczzzielonymladem.pl.

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowej sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii Zielonego Ładu i bieżącej polityki klimatycznej UE, zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:
Czy jest Pani/Pan za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim Zielonym Ładzie.
Odpowiedzi „Tak" lub „Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny	PESEL	Podpis
1.					
2.					
3.					
4.					
5.					
6.					
7.					
8.					
9.					
10.					

eprasa.pl 52e0f83c74

Dokąd na urlop?

Włoskie Amalfi uznawane jest za najpiękniejsze wybrzeże w Europie

FOT. ADOBE STOCK

Jacek Pałkiewicz

Grecja, Portugalia, Indonezja albo Wyspy Karaibskie? A może Narwiański Park Narodowy? Musisz zdecydować, gdzie pojechać na wakacje tego lata, i nie masz pomysłów? A może masz ich za dużo i nie potrafisz postawić kropki nad i?

Kiedy poproszono mnie, abym napisał, dokąd najlepiej wybrać się na wakacje, powiedziałem, że nie wiem. Bo każdy widzi to po swojemu. Jeden przedkłada ciszę gór nad szum morza, inny dobrze się czuje w modnym obiekcie letniskowym typu all-inclusive bądź pośród historycznych zabytków albo na łonie natury. Backpackerzy wybiorą warunki spartańskie, starsi nie będą rezygnować z komfortu. Postaram się jednak pomóc, przynajmniej tym niezdecydowanym.

Wybór miejsca i sposób spędzenia urlopu zależy od subiektywnych oczekiwań. Zwykle uzależniony jest on od usposobienia, woli, zamiłowania, a także od środków finansowych, doświadczenia, sprawności fizycznej czy posiadanego czasu. Po prostu najpierw należałoby wsłuchać się w swoje preferencje, potem zawęzić listę destynacji, a w następnej kolejności dokonać wyboru.

Polacy podróżują dużo i daleko. Niegdyś na nieuczęszczanych szlakach spotykałem tylko od czasu do czasu jednego rodaka, dziś tych młodych, obytych globtroterów można spotkać na każdym kroku. Według Światowej Organizacji Turystyki po ubiegłym roku, który zakończy się obrotami na poziomie 1,4 bln dol., bieżący sezon nie tylko przywróci obroty do poziomu sprzed czasów globalnej turbulencji związanych z COVID-19, lecz także zapowiada się jeszcze bardziej owocny i pełen nowych tendencji i trendów.

W ostatnich latach obserwujemy, że ludzie zmęczeni monotonią codzienności coraz częściej porzucają uniwersalne pakiety podróżnicze, poszukując unikalnych wakacji, dopasowanych do ich zainteresowań, preferencji i doświadczeń, ukierunkowanych na przygodę, wzbogacenie życia i poszerzenie horyzontów czy na troskę o własne dobre samopoczucie.

eprasa.pl 52e0f83c74

Nadeszła era, w której sztuczna inteligencja przestaje być abstrakcją, a staje się kluczem do wielu innowacji. Pionierskim elementem w dzisiejszych podróżach, a przynajmniej na razie podczas ich planowania, staje się współpraca z tym rewolucyjnym narzędziem o nieograniczonych możliwościach, które wkrótce przekształci krajobraz wojażowania. Ten wirtualny konsjerż, asystent podróży, zapewni osobiste, na niespotykaną dotąd skalę rekomendacje podróżnicze, starannie dopasowane do naszych gustów i preferencji, wygeneruje spersonalizowaną destynację i trasę odpowiadającą zainteresowaniom, budżetowi i ograniczeniom czasowym. Kolejny ruch zapewni wyszukanie hotelu, rezerwację lotu, a ponadto starannie wybranych atrakcji oraz opcji gastronomicznych. Udostępni bardziej płynne i precyzyjne tłumaczenia, nie mówiąc o tym, że sekretny cicerone oprowadzi po najbardziej tajemniczych zakamarkach miasta. Nasz bezcenny sojusznik poręczy także zabezpieczeniem, bo dokładnie przewidzi potencjalne zakłócenia w podróży i zagrożenia dla bezpieczeństwa, a to umożliwia elastyczność i aktualizację programu w czasie rzeczywistym. Ten personalny konsjerż wzbudza zachwyt, a jednocześnie niepokoi. Czy brak własnego zmysłu nie odbierze nam nieuchwytnej magii podróżowania i poznawania innych kultur?

TURCJA LIDEREM

Liderem popularności w Europie jest nieustannie Turcja, przed Grecją i Bułgarią. Stambuł to wybuchowa mieszanka kultury, przygody i rozrywki, gdzie wszystko jest możliwe – od kolorowego bazaru do romantycznych zachodów słońca nad Bosforem. To miasto nigdy nie śpi i jest gotowe uwieść przybysza i spowodować, że zakocha się w Turcji. Nie można tam przegapić wycieczki po Kapadocji, wyjętego z baśni, surrealistycznego miejsca wzbogacającego tę podróż o akcent magii.

Swoją trzecią pozycję utrzymuje Egipt. Na naszym kontynencie liczy się ponadto Portugalia – 850 km wspaniałych plaż i doskonały klimat przez cały rok. Piękny kraj, który ma do zaoferowania mnóstwo bajecznych krajobrazów i rozkoszy gastronomicznych. Oczywiście tradycyjnie liczą się jeszcze przewyborne Hiszpania i Chorwacja, a przede wszystkim Włochy, które ze swoim niezrównanym połączeniem historii, kultury i przyrody reprezentują, od północy do południa, multum wyjątkowości. Nie do końca zdajemy sobie sprawę, że mało słyszymy o uroku gór Albanii, Macedonii, Kosowa czy o dynamicznych republikach bałtyckich, z Tartu w Estonii na czele, asygnowaną na Europejską Stolicą Kultury 2024.

Jeśli chodzi o podróże na średnich dystansach, to jednym z najpopularniejszych kierunków w tym roku jest Jordania ze skarbem Petry i pustynnymi krajobrazami niczym przeniesionymi z Marsa. Serce Polaków zdobywa słoneczna przez cały rok Malta. W podróżach długodystansowych po staremu od lat dominuje Indonezja, królowa lata. Wybór odpowiedniej rajskiej wyspy zawsze będzie trudnym wyzwaniem. Wyjątek stanowią zjawiskowa, atrakcyjna cenowo Bali oraz wyspa Komodo ze swoimi smokami. Godnym uwagi klasykiem w tej części Azji jest Tajlandia, która utwierdza się na pozycji jednego z topowych kierunków na lato.

PERU I NAMIBIA

W Ameryce Południowej zdecydowanie rekomenduję Peru, które wykracza daleko poza wspaniałość Machu Picchu. Jest po prostu hymnem na cześć piękna świata: przyrodniczego, historycznego, artystycznego, kulturalnego i gastronomicznego. Stamtąd już blisko na otuloną gorącym rytmem Kubę o tysiącu twarzy i kontrowersyjnej historii.

W Afryce faworyzuję enigmatyczną Namibię, ze swoją różnorodnością unikalnych krajobrazów. Jej wizytówkę stanowią mozaika kulturowa plemion Herero i Himba, Park Narodowy Etosha, jeden z najważniejszych rezerwatów dzikiej przyrody w Afryce, oraz spektakularne, wznoszące się na 300 m pomarańczowe wydmy Sossusvlei. Uwagę przyciągają poza tym Swakopmund i Luderitz, mieszanka niemieckiej architektury kolonialnej z afrykańskimi krajobrazem i kulturą.

Dla niecierpiących letnich upałów idealnym kierunkiem mogą być malownicza Norwegia i jej godne podziwu fiordy, zorze polarne, przyjaźni ludzie i okazałe miejsca w ogóle. Coraz większe zastępy turystów kusi prawdziwa perła przyrody, czyli Islandia. Na przyjezdnych czekają tam majestatyczne lodowce, buchające parą gorące źródła, rozliczne wodospady i wzbudzające postrach wulkany.

Od wielu lat rutynowo spędzamy wakacje w przyjaznym dla nas kraju z pogranicza Europy i Azji, czyli w Gruzji, gdzie na słowo „Polak" otwierają się serca i butelki pysznego wina.

Niejedna osoba szuka wyjazdowych inspiracji w mediach społecznościowych. Wiele rozsławionych kierunków pochodzi właśnie od znanych, a często i nieznanych influencerów, którzy w zamian za reklamę wyłudzają darmowe wakacje w modnych, odwiedzanych przez celebrytów kurortach bądź noclegi w eleganckich hotelach. Media pokazują często oburzenie świata hotelarskiego ujawniającego przypadki szantażu: „Nie zmuszajcie mnie do opisania was w nędznej optyce". Jeden z właścicieli pięciogwiazdkowego hotelu przyznał mi: „Goniący za sukcesem samozwańczy idole od kilku lat zawzięcie próbują naciągać nas na darmowe wakacje, zasypując petycjami o »współpracę«".

KRAJOWE CUDA

Polacy na nowo odkrywają krajowe unikaty, bo nie wszyscy zdają sobie sprawę, że w Polsce mamy wiele rajskich krain. Biebrzański Park Narodowy to jedna z największych w Europie ostoja ptactwa wodno-błotnego, królestwa łosi i wilków oraz bagiennej roślinności w ogóle. Oczarowała mnie urzekająca miniaturowa „polska Amazonia" w Narwiańskim Parku Narodowym. W mrocznej Puszczy Rominckiej czułem się niczym w odludnym lesie kanadyjskim, a niezapomnianych wrażeń dostarczył mi najpiękniejszy w Europie szlak kajakowy Krutyni. Zawsze zachwycałem się też magnetyzmem Krainy Wielkich Jezior. Na dodatek sugeruję autentyzm Suwalszczyzny. Byłem tam w ubiegłym roku i przyznaję, że to wspaniały, kojący duszę azyl, gdzie nie brak zachwycających krajobrazów, czarujących jezior i niesamowitego, wyciszającego spokoju, bo czas płynie tu znacznie wolniej niż gdzie indziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywcą źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Jest autorem kilkudziesięciu książek.

eprasa.pl 52e0f83c74

SIOSTRY GOTUJĄ

Białowieskie racuszki

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Podczas wakacji sporo podróżujemy i bardzo lubimy nawet krótkie, weekendowe wypady w Polskę. Ostatnio wybrałyśmy się do Białowieży, ponieważ o tamtejszych smakach, potrawach i jakości produktów kulinarnych bardzo wiele słyszałyśmy. Białowieża w pierwszym skojarzeniu to żubr i zabudowania carskie – dworce i pozostałości po kompleksie pałacowym oraz piękny park. Ale historia tego miejsca jest dużo dłuższa i bardzo polska. W średniowieczu Białowieża leżała na ówczesnej autostradzie Kraków – Wilno, mniej więcej w połowie. Władysław Jagiełło był w niej 40 razy, co zostało odnotowane. Tutaj też odbywał polowania, m.in. to, które zapewniło prowiant wojskom polskim pod Grunwaldem.

Faktycznie dziczyzna do dzisiaj jest tu powszechna i świetnie przyrządzana. Sekretem jej wyśmienitego smaku jest doskonała znajomość zwyczajów myśliwskich, a także cyklu życia zwierzyny. Polscy władcy dali podwaliny pod ochronę puszczy, a więc pod ochronę przyrody także. Oprócz Jagiełły w Białowieży bywało 11 polskich królów, a także inne ważne postaci, jak chciałby bł. Piotr Skarga. Niedawno ustalono, gdzie znajdował się królewski drewniany dwór i gdzie mógł stać murowany już pałac. Carska i bolszewicka propaganda całymi latami robiły wszystko, by zatrzeć polskie ślady, co w świadomości wielu się udało. Ale na szczęście nie do końca. W restauracji Carska ulokowanej w dawnej stacji Białowieża Towarowa serwowane są wyśmienite, również polskie, dania oparte na tutejszych płodach rolnych, darach lasu, dziczyźnie. Na śniadanie – prócz pyszności takich jak wyśmienita pasta jajeczna, nóżki w galarecie, biała wielkopolska kiełbasa – serwuje się także racuchy. Kucharz Mariusz Dąbała – bardzo przez nas nagabywany – w końcu zdradził ich sekret.

Racuchy z Białowieży

Składniki:
• 25 ml maślanki • 2 jajka • szczypta soli • szczypta cukru • 250 g mąki • 2 kwaśne starte jabłka

Składniki mokre wymieszać, dodać suche, ponownie łącząc wszystko, odstawić na 25 min w ciepłe miejsce. Smażyć na średnim ogniu na oleju słonecznikowym z odrobiną masła do uzyskania złotego koloru z obydwu stron. Możemy dodać kwaśną śmietanę, ulubioną konfiturę lub świeże sezonowe owoce. Posypać cukrem pudrem. Smacznego! ©℗

FOT. ADOBE STOCK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

W szponach hazardu

JOANNA BOJAŃCZYK

Na wakacjach wieczorami gramy w karty. Część rodziny potępia tę rozrywkę jako niegodną inteligentów; nie przejmujemy się, wiedząc, że w każdej chwili, gdyby mogli, przyłączyliby się do naszego stolika. Ale nie, muszą wytrwać w wyniosłej pogardzie dla hazardu.

Zabawa jest wielopokoleniowa: już 11-latki zasiadają do gry i po krótkim czasie wygrywają z dziadkami. Nasza rodzinna gra nazywa się ogon i nie wiem, czy jest to jej właściwa nazwa czy też jakiś swojski twór niezatwierdzony przez językoznawców. Zasady są proste: wykładać na stół po cztery kolejne karty z jednego koloru; kto skończy pierwszy, wygrywa. Ogon to gra inteligentna – wymaga kombinowania, przewidywania, oczywiście szczęście jest czynnikiem sprzyjającym.

Odnoszę wrażenie, że karty w młodszym pokoleniu stały się rozrywką anachroniczną. Czy mogą konkurować z elektronicznymi grami? Czy mają szansę ze streamingiem, w którym w każdej chwili dnia i nocy, wyciągnąwszy się w fotelu, można zażywać relaksu? A tu potrzebni kompani, samemu się nie da. Przyklejeni do smartfonów i słuchawek nie rozumieją tego, czym jest rzeczywisty, rozgorączkowany hazard karciany. Na pieniądze oczywiście.

Nawet nieznający Dostojewskiego słyszeli o takich, którzy w karty przegrywali fortuny. W jeden wieczór można było stracić wieś, a jak ktoś się postarał – cały majątek. Gdy się wszystko przegrało, nie pozostawało nic innego, jak palnąć sobie w łeb. Nie każdy miał tyle honoru, żeby z podniesionym czołem przyjąć rolę nędzarza. Kilka takich historii przeczytałam w wydanej przed laty przez Wydawnictwo Literackie książeczce Andrzeja Hamerlińskiego-Dzierożyńskiego „O kartach, karciarzach, grach poczciwych i grach szulerskich".

Nikt nie był wolny od tej namiętności. W klasztorach braciszkowie, zapomniawszy o obowiązkach, regułach i godzinach modlitwy, trawili czas na grze. W stanisławowskiej Warszawie w licznych domach gry rżnięto w karty dniami i nocami. Hrabiowie, księża, wojskowi... Adam Poniński, podskarbi wielki koronny, marszałek pierwszego sejmu rozbiorowego, ordynat z Rydzyny August Sułkowski, Andrzej Młodziejowski, biskup poznański, książę biskup wileński Ignacy Massalski, Kajetan Miączyński, wojewoda podlaski, inspektor wojsk koronnych... W XVIII w. zapał do kart był taki, że dla karcianych spotkań urządzać poczęto specjalne gniazdka niemające połączenia z innymi pomieszczeniami dworów, nawet oddzielne pawiloniki w parkach lub ogrodach. To wszystko – by zapewnić graczom spokój i ciszę oraz uwolnić ich od konieczności spotkań, przywitań, nużącej wymiany grzeczności z postronnymi osobami… Oto do czego prowadzi hazard. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Czym rządzony jest świat?

Minęły echa debaty dwóch kandydatów na prezydenta USA. Było zabawnie, bo każdy, kto oglądał debatę, wie, że Trump wygrał, ale nie tyle argumentami, ile ugruntowaniem przekonania, również wśród demokratów, że Biden nie nadaje się do rządzenia z powodów zdrowotnego odklejenia się od rzeczywistości. Zabawne w tym było obserwowanie, jak mimo ewidentnej klęski Bidena wielu bojowników wolnych mediów wiło się, żeby wykręcić z tej klęski zwycięstwo nad Trumpem.

Mnie zasmucił jeden fakt – jaką niewielką mądrością rządzony jest ten świat. Oto imperium jeszcze światowe wysuwa na swego wodza faceta z ewidentną demencją, jego zastępczyni to jeszcze inna katastrofa. U steru wielu światowych mocarstw stoją jacyś administratorzy bez charyzmy. A ja pamiętam jeszcze czasy mężów stanu – de Gaulle'a, Reagana, Thatcher, Nixona czy Gandhiego. To były osobowości, za którymi stała wizja swego kraju, i to osadzona w porządku światowym, projektowanym na lata wprzód. Dziś widać, że na czele rządów stoją jednostki na pewno nieprzewodzące, jakieś uosobienia wypadkowych wielowektorowych wpływów. Maszyna losująca dziejów wyrzuca coraz to jakichś urzędasów polityki, w lobbystycznych zarękawkach.

Co ciekawe, jest to domena w zasadzie demokracji, i to w jej liberalnym kształcie. Autorytaryzmy, z natury rzeczy, są oparte na osobie autorytarnej, a więc w przypadku takich Chin czy Rosji możemy wszystko powiedzieć, ale nie to, że są tam na czele jakieś bezwolne marionetki pociągane za sznurki, będące w rękach ukrytych elit. Mamy więc w oparach demokracji nie tylko rozmytą decyzyjność, lecz także – co za tym idzie – wygodne rozmycie odpowiedzialności.

U nas jest inaczej. W wojnie polsko-polskiej z jednej strony wszystko jest oparte na osobie wodza, ale wcale nie prowadzi to – jak w systemach autorytarnych – do sprawczej decyzyjności. Odwrotnie – tu akurat skomplikowanie natury rządzenia w kleszczach Unii Europejskiej i geopolityki prowadzi do kompletnej, nawet politycznej nieodpowiedzialności za swe decyzje i czyny. Ktoś, kto uważał, że suweren natychmiast rozliczy swego ulubieńca, jeśli ten nie dowiezie obietnic, w dzisiejszych czasach jest żałosnym optymistą.

Debata kandydatów na prezydenta USA pokazała dobitnie, że kto inny twarzuje, a kto inny rządzi. Na świecie. Bo gdyby rządziły nami Bidny, jutro zabrakłoby prądu w gniazdkach. Obawiam się, że też jest tak u nas, choć przez wzmożone plemiona takie twierdzenie będzie odebrane jako obraźliwa herezja.

Rządzą nami albo manekiny, albo ktoś, o kim nie wiemy, a już na pewno go nie wybieraliśmy. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Samo-upokorzenie

Kwestię reparacji bądź odszkodowań Rząd Republiki Federalnej uważa za zamkniętą. Republika Federalna nie przewiduje podejmowania negocjacji w tej sprawie". Powyższe lakoniczne stwierdzenie to odpowiedź niemieckiego MSZ na notę dyplomatyczną wysłaną 3 października 2022 r., w której strona polska domaga się kompleksowego, prawnego i materialnego uregulowania kwestii strat poniesionych przez Polskę wskutek agresji i okupacji niemieckiej.

Olaf Scholz w Warszawie powtórzył stanowisko sprzed dwóch lat. Mgliste oświadczenie, że Niemcy będą „podejmować działania mające na celu wsparcie żyjących jeszcze ofiar", jest niekonkretne, za to lekceważące i aroganckie. Nie wiem, czy kanclerz (panicznie unikając słowa „zadośćuczynienie") miał na myśli „wsparcie" tylko byłych więźniów obozów czy także wszystkich żyjących, którzy ucierpieli w czasie drugiej wojny. W negocjacjach przed wizytą kwestia zadośćuczynienia żyjącym więźniom obozów podobno była dograna. Padała nawet łączna suma jednorazowych wypłat w wysokości 100–200 mln euro. Dla porównania: żydowskie ofiary obozów od lat otrzymują dożywotnią rentę, a polscy więźniowie nie dostali nic. Nie umniejszając wagi zadośćuczynienia ofiarom, należy oddzielić to, co Niemcy (być może) wypłacą kilkudziesięciu tysiącom żyjących od istoty raportu zespołu Mularczyka, potem Instytutu Strat Wojennych.

Przypomnę – Polska domaga się od Niemców odszkodowania w wysokości 6 bln 220 mld zł za niemieckie ludobójstwo i zbrodnie przeciwko ludzkości oraz zniszczenia i rabunek kraju, dokonane w latach 1939–1945. Raport zawiera precyzyjne zestawienie, a tam, gdzie nie było ono możliwe, szacunkową ocenę strat. Ramy tekstu nie pozwalają przywołać wszystkich działów raportu, przypomnę tylko: Polska poniosła największe procentowo straty ludzkie i materialne ze wszystkich państw europejskich. Ubytek demograficzny wskutek działań państwa niemieckiego to 11,2 mln obywateli, w tym 5 mln 219 tys. poległych i zamordowanych przez Niemców. Z uprowadzonych 196 tys. dzieci wróciło tylko 30 tys. W pierwszych latach wojny Niemcy zrabowali i wywieźli ok. 40 tys. wagonów polskiego majątku. Gdyby wyobrazić sobie tak olbrzymi skład, to lokomotywa wjeżdżałaby do Berlina, a ostatni wagon opuszczałby dworzec Warszawa Wschodnia. W okupowanych krajach Niemcy nie niszczyli księgozbiorów. W Polsce, z jakąś obłąkańczą zaciekłością, spalili nasze dziedzictwo i archiwa.

W tym kontekście szczególnej wymowy nabiera więc to, że jedną z pierwszych decyzji rządu Tuska było zwolnienie władz i zamrożenie działań Instytutu Strat Wojennych. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Scholz czuł się jak w domu

Drużyna Kuby Rozprawacza Szaf Pancernych wkroczyła do siedziby Krajowej Rady Sądownictwa, żeby sobie porozprawać. Stop. Kilka dni wcześniej minister sprawiedliwości Adam Bodnar powiedział, że nie wyobraża sobie siłowego wejścia do KRS, ale widać zdanie mu poewoluowało. Stop. Drużynie złożonej z uzbrojonych policjantów szefował prokurator Myszkowiec. Stop. Tu ciekawostka, prokurator całkiem niedawno chciał być sędzią i KRS mu nie przeszkadzała bynajmniej, ale – jak poinformował na portalu X Samuel Pereira – niestety oblał egzamin (nie Pereira, tylko Myszkowiec), więc nowe zadanie przeciw sędziom mógł potraktować retorsyjnie. Stop. Teraz ciekawostka druga, kiedy za Ziobry robiono podobnie, ale inaczej, to znaczy CBA weszło do domu sędzi Morawiec, za którą Ziobro nie przepadał, to sąd uznał, że decyzja prokuratora była niezgodna z prawem ze względu na immunitet sędziowski. Stop. Teraz mimo immunitetów szafy rozpruto i dokumenty sędziów pan prokurator sobie zabrał. Stop. Podobno Myszkowiec z Drużyną szukają w dokumentach podstawy prawnej...

W Polsce poprzebywał trochę kanclerz Scholz, który jest Niemcem i czuł się jak u siebie. Stop. Tym razem nie przywiózł nam niemieckimi radiowozami porcji nielegalnych imigrantów. Stop. Tym razem z uwagą wysłuchał Donalda Tuska, który stanowczo nie żądał, żeby Niemcy płacili nam za mordowanie Polaków i okradanie Polski. Stop. Natomiast miłosierny, hojny i dobroduszny Scholz powiedział Polakom, że Niemcy będą się starali realizować wsparcie na rzecz osób ocalałych z okupacji. Stop. Brzmi ładnie, ale nic nie oznacza, „będą się starali", czyli efektu nie należy się spodziewać, „wsparcie" – to może być guma do żucia, „dla osób ocalałych" – to zawęża krąg zainteresowanych do 90-latków, którzy będą jeszcze musieli udowadniać, że byli ofiarami. Stop. Reasumując, panie Scholz, milczenie jest złotem.

Nigdy się nie poddawaj – to motto PiS-owców, którzy pięć razy próbowali zrobić Łukasza Kmitę marszałkiem sejmiku małopolskiego, ale nie zrobili, bo część PiS-owców nie chce na niego głosować. Stop. W związku z tym, po przeanalizowaniu sytuacji, aktyw podjął decyzję, żeby następnym razem wysunąć jednak kandydaturę Kmity Łukasza. Stop. „Szaleństwem jest robić wciąż to samo i oczekiwać różnych rezultatów" – powiedział PiS-owi Einstein Albert. Stop.

Lubna Jaffery, norweska minister kultury i równości (44 lata, niecałe 100 kg wagi), uznała za stosowne pokazać publicznie gejom i lesbijkom swoje piersi. Stop. Niestety, zdjęcia obiegły świat. Stop. Ponoć nie z tego powodu Edyp wydłubał sobie oczy. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Umysł przeziębiony

Niezwykle niebezpieczną chorobę odkryły właśnie media w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Jest to odmiana przeziębienia, która poza bólem gardła objawia się też zaburzeniami pamięci, niezrozumiałą mową, zamieraniem w połowie zdania i niezdolnością do zakończenia go w składny sposób. Jeśli dodać do tego objawy pomniejsze, takie jak spowolnione ruchy i niepewny, chwiejny krok, jasne jest, że międzynarodowe instytucje medyczne, takie jak WHO, poddać powinny ową chorobę wszechstronnym badaniom. Czy nie grozi nam epidemia, groźniejsza nawet od COVID-19?

Nowy rodzaj przeziębienia odkryty został niedawno, w następstwie debaty wyborczej prezydenta Joe Bidena z Donaldem Trumpem. To właśnie przeziębienie, połączone z trwającym ponad tydzień jet lagiem, odpowiadać miało za objawy, które w oczach laików uchodzić mogą za oznaki starczego otępienia. Na szczęście amerykańskie media nie dały się oszukać pozorom. Co charakterystyczne, pierwsze w roli diagnostów zdecydowały się wystąpić zapomniane już nieco gwiazdki amerykańskiego kina, takie jak Barbara Streisand (82) i Bette Midler (79). Obie szacowne panie śpiewają umiejętnie do każdej zagranej im melodii, co nawet po zakończeniu kariery demonstrują z łatwością i chętnie. Później dołączył do nich znany autor horrorów Stephen King. Oświadczył on, że w zachowaniu Bidena nie umiał się dopatrzyć niczego niepokojącego. Znając jego powieści, możemy mu uwierzyć.

Dziwić się trzeba, że do wytłumaczenia kondycji prezydenta Bidena nie wykorzystano jeszcze polskich autorytetów medycznych. Od kiedy na zasłużoną emeryturę przeszedł Anthony Fauci, w Ameryce nie ma go chyba komu zastąpić. Zasłużeni profesorowie, tacy jak Krzysztof Simon lub Andrzej Horban, od niespodziewanego wygaśnięcia epidemii COVID-19 zniknęli, jak na komendę, z polskich mediów. Czy nie czas odkurzyć ich talenty, z korzyścią dla sojuszu atlantyckiego? Z pewnością umieliby oni wytłumaczyć tajemnicze zachowanie Joe Bidena w pożądany przez władze sposób. Błahostką byłoby dla nich odkrycie, że zaburzenia pamięci są u prezydenta Bidena następstwem zgagi, niewyspania lub kataru. Polscy eksperci medyczni mają we współpracy z rządzącymi bogate doświadczenie, datujące się jeszcze od zdiagnozowania u Przemysława Wałęsy „pomroczności jasnej", a u Aleksandra Kwaśniewskiego „choroby filipińskiej". Choć polskie wyższe uczelnie w naukowych rankingach pozostają za amerykańskimi daleko w tyle, to pod względem wciskania kitu zostawiają konkurentów daleko w tyle. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Uśmiechnięci hunwejbini przeciw Gigantom

Gdy władze Muzeum II Wojny Światowej postanowiły usunąć z wystawy opowieść o św. Maksymilianie Kolbem, błogosławionej rodzinie Ulmów i rtm. Pileckim, „uśmiechnięci Polacy" ruszyli na internetową rzeź przeciwko tym postaciom. Słuszne skojarzenie ich z chrześcijaństwem, polskością i z narodową dumą wywołało ściek obelg wobec wymienionych, a także wobec ludzi ich broniących. Brakło tylko znanego zarzutu „gigantomanii", chociaż to słowo akurat byłoby tu jak najbardziej na miejscu. Usunięto bowiem Gigantów.

Ulmowie, Maksymilian i Pilecki rozumieli istotę człowieczeństwa jako naśladowanie Jezusa Chrystusa

W komunikacie muzeum napisano, że „zawieszenie w centralnych punktach tej przestrzeni portretów o. Kolbego i rtm. Pileckiego zaburzyło antropologiczny charakter narracji". Zaskoczę państwa, ale to wyjaśnienie jest prawdziwe! Dlaczego? Otóż w obiegu publicznym funkcjonują dziś dwie zupełnie inne antropologie – tradycyjna, chrześcijańska, oraz nowożytna, oparta na bezbożnej filozofii i hołdująca hedonizmowi. Tej pierwszej antropologii – definiującej naturę człowieka z perspektywy chrześcijańskiej, obejmującej refleksję nad stworzeniem człowieka na obraz i podobieństwo Boga, nad upadkiem w grzech, odkupieniem przez Jezusa Chrystusa oraz ostatecznym przeznaczeniem – nie da się w żaden sposób porównać z najpopularniejszymi dziś nurtami antropologii, zwłaszcza modnej antropologii społecznej czy antropologii kultury.

Ulmowie, Maksymilian i Pilecki rozumieli świat oraz człowieka po chrześcijańsku. Rozumieli istotę człowieczeństwa jako naśladowanie Jezusa Chrystusa. Rotmistrz Pilecki prosił żonę, by czytała dzieciom książkę „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa" właśnie. Ojciec Maksymilian każdego dnia starał się naśladować Chrystusa poprzez próby naśladowania Jego Najświętszej Matki. Józef Ulma mawiał, że „czasem trudniej jest jeden dzień dobrze przeżyć niż książkę napisać", rozumiejąc „dobrze" jako „po chrześcijańsku".

Część Polaków nie ukrywała szoku po decyzji władz muzeum. Przecież ci bohaterowie to symbol Polski – to nimi właśnie trzeba by chwalić się na świecie. Dyrektor muzeum stwierdził jednak, że promowanie bohaterskich postaw… zamazuje szerszy obraz rzeczywistości. Bo przecież niektórzy Polacy denuncjowali Żydów! Przypadło mi do gustu sformułowanie jednego z internautów, który napisał, że to tak, jakby w muzeum polskiego futbolu nie wywieszać podobizny Bońka i Lewandowskiego, bo do publiczności nie dotarłoby, że właściwie to zwykle byliśmy w tę piłkę słabi. Używam tego porównania, zachowując wszelkie proporcje, bo zdaję sobie sprawę, że postawy ogółu Polaków podczas drugiej wojny światowej nijak nie da się porównać z umiejętnościami większości naszych piłkarzy.

Nie ma co także komentować braku racjonalności decyzji władz muzeum – to rozumie się bowiem samo przez się. Chcę jednak zwrócić uwagę na różnicę między chrześcijanami a poganami, bo w istocie po tej linii przebiega dziś cywilizacyjny spór – i zrobić to na przykładzie św. Maksymiliana. Nawet bowiem, gdyby uznać, że prawdziwe są zarzuty o jego „przedwojenny antysemityzm" (naprawdę szkoda tu miejsca na polemizowanie z tymi bzdurami, tłumaczenie idei, uwarunkowań i kontekstu pewnych wypowiedzi), Maksymilian pozostaje wzorem ze względu na jego pomoc Żydom w czasie wojny i przede wszystkim ze względu na oddanie życia za drugiego człowieka. Ale według sekty uśmiechniętych hunwejbinów nie istnieje możliwość zapomnienia o czyichś gorszych słowach, trzeba skazać go na zapomnienie i jeszcze pośmiertnie obrażać.

Gdyby chrześcijanie myśleli w ten sposób, nigdy… nie powstałoby chrześcijaństwo. Świętego Pawła wyzywano by wyłącznie jako prześladowcę Kościoła, św. Piotra ukamienowano by tweetami, bo trzykrotnie zaparł się Chrystusa, a wizerunki św. Augustyna usuwano by ze ścian świątyń jako rozpustnika.

Ale cywilizacja chrześcijańska dopuszcza możliwość przemiany człowieka, została wszak zbudowana na idei nawrócenia i nadziei dla każdego. Dzisiejsza antycywilizacja dopuszcza wyłącznie nienawiść.

My mamy Gigantów. Oni – wyłącznie hejt.

Nie jesteśmy tacy sami. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

NIKT

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Wzeszłym tygodniu – 4 lipca – Stany Zjednoczone obchodziły swoje urodziny. Być może ostatnie. Jeżeli ktoś chciałby zniszczyć Amerykę, to czas na to i doskonałą okazję ma teraz. Nie w przyszłym roku, nie kiedyś, lecz teraz – najbliższe pięć miesięcy do wyborów i jeszcze kolejne trzy do zaprzysiężenia nowego prezydenta. I Chiny wysłały w świat sygnał, że są jak najbardziej zainteresowane, by to były ostatnie urodziny USA. Ich sygnał składał się z dwóch elementów. Był zbudowany jak znaki chińskiego pisma…

***

Dygresja na temat chińskiego pisma: to pismo nie jest alfabetem i to nie są piktogramy ani hieroglify. Żeby umieć czytać po chińsku, musisz rozumieć i czuć ich kulturę, obyczaje, nastroje chwili… Bo znak ich pisma może być czymś w rodzaju naszego emotikonu – przykładowo uśmiech „:)" lub zdziwienie „:0", ale… takie emotikony w pewnych kontekstach, sytuacjach, konfiguracjach odczytuje się w Chinach jako sylaby (czyli dźwięki), a wtedy znak „:)" to już nie jest symbol uśmiechu, lecz „US + MIECH", i te dwie sylaby należy odcyfrować jak rebus, i nagle okazuje się, że chodziło o „Urząd Skarbowy w Miechowie", czyli zero uśmiechu. Doszedłbyś do tego bez pomocy chińskiego tłumacza? Raczej nie. I dlatego mało kto prawidłowo odczytuje sygnały płynące z Chin.

***

Chińczycy porozumiewają się symbolami, a nie tak jak my słowami. Chińczyk ci niczego nie powie wprost – on ci coś pokaże lub zasygnalizuje. W Chinach rozmowa odbywa się za pomocą gestów, za pomocą ustawienia talerzy na stole, za pomocą długości braw na sali obrad, za pomocą tego, czy podano herbatę gorącą czy trochę zbyt chłodną i czy to była herbata na „dzień dobry" czy na „do widzenia". A w dodatku te wszystkie chińskie sygnały to nie są ustalone kody, których mógłbyś się nauczyć na pamięć, tak jak kodów z podręcznika „Jak się zachowywać na dworze brytyjskim i czego nigdy nie robić". O nie! W Chinach wszystko jest kwestią wyczucia danej chwili, trendu i nastroju. Rozmowa z Chinami przypomina sytuację, w której ty do kogoś mówisz normalnie, a on ci odpowiada, grając na flecie.

***

Jak w takim razie rozmawiać z Chinami? Najlepiej wcale. Chiny to wróg. Oni sami siebie definiują jako naszego wroga: Chcemy zapanować nad światem. Chiny to Państwo Środka, a reszta świata to peryferie i plemiona (kultury/ludy) barbarzyńskie i niższe, które należy podporządkować.

Chińczycy nie mają żadnej moralności, bo nie mają żadnej religii (konfucjanizm to filozofia trochę podobna do greckiego stoicyzmu, ale nie religia). Okraść kogoś lub oszukać to w chińskiej kulturze nic złego, a raczej sukces, bo znaczy, że go pokonałeś w walce, zwyciężyłeś, a on dał się nabrać lub ograbić, okraść, wykołować, podporządkować.

Jak w takim razie prezydent Duda (czy dowolny inny) powinien się zachowywać w trakcie wizyty w Chinach? Powinien uporczywie rozmawiać o herbacie, o tym, jak ułożono talerze na stole, i o grze na fletach. Mówię to absolutnie poważnie. Żadne żarty! Komunistyczny dyktator XI (czyli „numer jedenasty") potraktowałby wtedy Dudę poważnie, a wszelkie sprawy państwowe zostałyby odesłane do urzędników niższego szczebla. Chińczycy zrozumieliby, że Andrzej Duda ma im do przekazania coś, czego oni nie rozumieją, a to jest JEDYNA sytuacja, w której Chiny traktują cię jak równego sobie.

***

Reakcją chińskich mediów na debatę prezydencką w USA był rechot. Wyśmiewanie i poniżanie, dowcipy na prymitywnym poziomie. Hm… ale tylko z naszego punktu widzenia, bo to w naszym świecie nie wypada naśmiewać się ze staruszka z demencją, gdyż któregoś dnia to ty możesz mieć taką samą demencję jak Joe Biden. Dlatego na Zachodzie można się martwić stanem Bidena, niepokoić, że najwyższy urząd na świecie sprawuje człowiek niezdolny do żadnej pracy, nawet na posadzie dziadka parkingowego; na Zachodzie można się, bać z powodu demencji Bidena, ale absolutnie nie wypada się z niej śmiać. Pierwszym sygnałem wysłanym przez Chiny był śmiech, a nawet rechot.

Drugim sygnałem były wspólne manewry w Kambodży, gdzie Chińczycy zaprezentowali swoim kambodżańskim partnerom… psa. Pies był mechaniczny, sterowany za pomocą sztucznej inteligencji, wyglądał jak z filmów science fiction, ważył 50 kg, miał zamiast głowy system kamer, a na plecach zamocowany karabin maszynowy. Ale przede wszystkim był o wiele bardziej groźny i skuteczny niż wszelkie inne mechaniczne psy na całym świecie. Armia amerykańska też ma tego typu psy, ale na razie służą jedynie do patrolowania ogrodzeń w bazie wojskowej. Nikt w USA nie zastosował ich nigdy do noszenia karabinów maszynowych i zdalnego zabijania ludzi. Chiny mają psy bojowe ofensywne. Reszta świata ma jedynie psy obronne, czyli defensywne.

Chiny nie stworzyły żadnej własnej technologii. Wszystko, co mają, jest kradzione od nas. Nas to szokuje – jak tak można? Ich to cieszy. My mamy nasz system wartości etycznych i u nas nie wypada kraść, a jeżeli już, to nie tak bezczelnie. W Chinach nie dość, że wypada, to bezczelna kradzież jest też powodem do dumy, nagrody i awansu.

***

Debata prezydencka w USA pokazała, że Joe Biden jest trupem. No dobra, zombie. Tuż po debacie administracja Białego Domu przyznała wreszcie oficjalnie coś, co było wiadomo od dawna – że prezydent pojawia się w gabinecie owalnym ok. godz. 10 i znika o godz. 16. Tylko sześć godzin pracy dziennie dla „przywódcy wolnego świata"? Ponadto od dawna wiadomo, że Joe Biden każdego tygodnia bierze wolne już w czwartek i spędza cztery dni na plaży. Prezydent Joe Biden pracuje więc 18 godzin w tygodniu. Kto panuje nad sytuacją, nad NATO, nad światem przez pozostałe 150 godzin w tygodniu? Nikt. Albo… w tym czasie światem sterują Chińczycy. ©℗

eprasa.pl 52e0f83c74

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

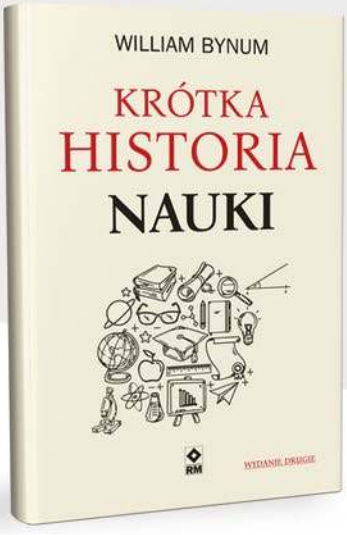

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WILLIAM BYNUM: „KRÓTKA HISTORIA NAUKI"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~854~~ ZŁ

403,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 451ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 52e0f83c74

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

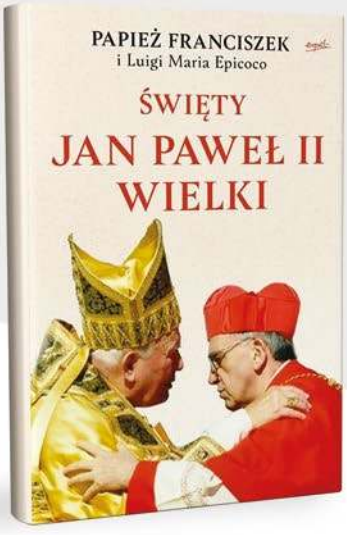

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

489 ZŁ

234,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 255 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 52e0f83c74